

Moje miasteczko

D. H. P.

30/11/01
<http://ncin.org.pl>

W. D.

M. H. RUBIN, Księgarnia we Lwowie.

poleca:

	Zł.—
Sens-Taubes, Złota legenda żydowska z ilustr. opr.	3.—
" " Sen nocy noworocznej z ilustr. opr.	3.—
Singer I., Zamknięta księga z ilustr. opr.	4.—
Stawski M., Opowieści arabskie z rycinami	4.—
" " " kart.	5.—
" " " opr. w płótno.	6.—
" toż w 6-ciu zeszytach po	—50
" Moje miasteczko, ludzie i zwierzęta, z rycin.	4.—
" " " kart.	5.—
" " " w ozd. opr. pł.	6.—

Biblioteka dla dzieci i młodz. żyd. (z ilustracjami).

I. Purym	4:50
II. Pesach	4:50
III. Chanuka	4:50
IV. Sobota	4:50

Wydawnictwo dla młodzieży „A w i w“

Tajemnica białego zamku, Bajki i nie bajki, Płonące serce, Historia o mokrej ciotce, Spadające gwiazdy, po Bilu, Legenda o Golemie, Synowie pustyni, po.	—20
Oj znowu Purim, Mocarz ducha, Legendy o nowem życiu, Za wolność i wiarę, Głos ziemi, po	—30

Antologia najmłodszej poezji palestyńskiej	2:50
Herzl T., U wrót nowego życia (Altneuland)	3:50

Graetz H. HISTORIA ŻYDÓW

w tłumaczeniu Szenhaka, 9 tomów, opr. w trzy duże tomy formatu leksykonowego w ozdobnej oprawie ze złoceniami 30.—

M. S T A W S K I

MOJE MIASTECZKO

LUDZIE I ZWIERZĘTA

przekład autoryzowany
z 19 rycinami

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71

Tel. 26-68-63



L W Ó W

Nakładem KSIĘGARNI M. H. RUBINA

Przełożyła z żydowskiego RACHEL AUERBACHÓWNA

Tytuł oryginału: DI SZTUME FREIND



22.853

Copyright by M. H. RUBIN KSIĘGARNIA LWÓW.

Drukarnia Lwowska Lwów, ul. Kopernika 11. — Telefon 8-31.

<http://rcin.org.pl>

Przedmowa.

Wprowadzenie do literatury polskiej autora o ustalonej fizjognomji literackiej, pisarza, który w dwóch językach pozostawił trwałe i cenne wartości, bę|zie rzeczą pożyteczną, wobec faktu, że przygniatąca większość społeczeństwa polskiego nie orientuje się w życiu i twórczości najbliższych swoich sąsiadów żydowskich.

Ludzie dobrej woli, którzy podejmą się trudu poznania życia żydowskiego, wzbogacą się skarbnicą zupełnie nowych i nieznanych wrażeń. Wniknięcie w ten obcy świat nie nastęrcza tynajmniej trudności nieprzewycięzonych. Poza bowiem odziedziczonemi i troskliwie strzeżonemi obyczajami i wierzeniami, poza etniczną i językową odrębnością, istnieje jeszcze szeroka platforma ogólnoludzkich uczuć, skłonności, ruchów i odruchów, pracy i niedoli, na której ułatwione jest wzajemne zrozumienie. W dziedzinie przeżyć psychicznych przemawiają Żydzi językiem, każdemu człowiekowi zrozumiałym.

Wyposażeni w krew i serce, przeżywają z tą samą, co inni, intensywnością, skąpo wymierzone radości i aż nadto obficie przydzielone smutki i cierpienia. Obserwator postronny tej żydowskiej odmiany rodzaju ludzkiego przekona się, że poza grubym i zda się nieprzebytym murem uprzedzeń i przesądów, który wznosił się na Pograniczu obu społeczeństw, uwija się liczna masa, co w znojnej skrzętniej i uczciwej pracy zdobywa niezbędny kęs chleba powszedniego. Ukaże się oczom widok ludu z niewysłowioną wdzięcznością

PRZEDMOWA

przyjmującego wszelki przejaw zyczliwości i z zdumiewającą łatwością puszczającego w niepamięć doznane krzywdy i urazy.

Postępujący proces urbanizacji grozi zagładą temu swoistemu życiu prostego ludu żydowskiego, a bukietowi kultur narodowych ubytkiem barwnego i w swoim rodzaju jedyne go kwiatu. To przeciekające między palcami bytowanie prostego Żyda, mieszkańca ws i miasteczka, nieskażonego bezwyrazistą i ujednostajniającą cywilizacją. Uchwycili i uwiecznili tacy mistrze, jak Mendele Moche Sforim i Szalom Asz, których pojedyncze utwory uprzystępnione są czytelnikowi polskiemu w przekładach. Obecnie znalazł czytelnik możliwość zaznajomienia się z twórczością trzeciego malarza życia żydowskiego, M. Stawskiego. Wszyscy trzej różnią się w ujmowaniu jednakiego nieomal tematu, barwą uczucia i nastawieniem osobistym. Gdy Mendele podchodzi do tematu z sarkastycznym krytycyzmem, zneutralizowanym w kąpieli pobłażliwości i miłosierdzia, a Asz z rzeczowym realizmem, rozmówczanym w kolorach, to Stawskiego znamionuje przedewszystkiem miłość serdeczna, bliskość uczuciowa i nieledwie identyfikowanie się z przedmiotem swojej twórczości.

Specjalnością Stawskiego jest nieskomplikowany, a podbijający bezpośrednio świat ludu prostego, dzieci i zwierząt. W tym zakresie jest Stawski w literaturze żydowskiej nieledwie jedyny, a z pewnością nieprześcigniony. Nie jest on człowiekiem oderwanych problemów, które u niejednego autora zastępują żywego człowieka, tylko porusza się w rojnym i gwarnym tłumie życiem rozpieranych postaci, z których każda jest niesfalszowanym wykrakiem najistotniejszej rzeczywistości, widzianej oczywiście przez pryzmat temperamentu autora. Oddychają one, pulsują i poruszają się bez jakiegokolwiek domieszki papierowej abstrakcji i dlatego służyć mogą jako sui generis dokumenty. Każda z nich jest typem spotykanych co krok w życiu codziennym, a wszystkie łącznie dają życia tego obraz barwny, ujmujący i prawdziwy.

Czytelnikowi otwiera się u Stawskiego świat odrębny nie tylko mową, wiarą, strojem i obyczajami, lecz także często sposobem myślenia i reagowania na podniety zewnętrzne. Natknę się tu czytelnik na nieznanne w żadnym innym społeczeństwie rozliczne typy ludzi życiowo niezaradnych, pogrążonych całkowicie w Bogu, a z drugiej

PRZEDMOWA

strony na galerję kobiet żydowskich, dzielnych, o niespożytej energii, biorących na swe słabe ramiona brzemia, pod któremi kobieta pospolita nieodzwonne ugiąć by się musiała. Pozna tryb życia prostego Żyda, którego droga bynajmniej nie jest usłana różami, a w którego sercu żadne ciosy stłumić nie zdołają głęboko zakorzonej wiary i otuchy. Pozna tę specjalną odmianę dziecka żydowskiego, na którego dzieciństwo życie nielitościwie rzuca cień przedwczesnej powagi.

Z szczególnem zrozumieniem wnika Stawski w psychikę wielkich i małych dzieci z ich rozbrajającą naiwnością, która nie wychodzi poza krąg wpojonych nawyków i zapatrywań. Tylko wrodzona dobroć i pogoda zdoła tak bez reszty pogrążyć się w duszy dzieciej i z równą miarą talentu obserwacyjnego, co intuicji i wyobraźni, oddać najłżejsze i najniepozorniejsze drgania tej duszy. Podpatrzył Stawski zdrową, niezepsutą naiwność dziecinną, która swym prostym niespaczonym rozsądkiem trafia zawsze w sedno rzeczy i nie pozwala ich sobie przesłonić wykrętne mędrkowaniem dorosłych.

Obok tych różnorodnych typów żydowskich maluje Stawski świat zwierzęcy, tych „niemych przyjaciół“, których wprowadza w każde swoje opowiadanie. Wplecione są te zwierzęta w życie codzienne ludzkich bohaterów, którzy jak autor, rozmiłowani są w całej Bożej kreaturze i darzą ją czułością i przywiązaniem właściwem prostemu człowiekowi. Człowiek i zwierzę zdają się tu zrosłe w jedną nierozzerwalną całość. Świat zwierząt jest dla Stawskiego księgą otwartą, z której zdarł wszystkie siedm pieczęci i w której czyta jak w duszy człowieka. Zwierzęta występują tu jako istoty nie tylko żywe, lecz także mądre, inteligentne, obdarzone pełną gamą nieomal ludzkiego odczuwania.

Gdy jeszcze wspomnimy o wspaniałym, iskrzącym się i perłowym humorze autora, o jego pogodnym, roześmianym i pobłażliwym sposobie patrzenia na życie i jego niedorzeczności, to zaznajomiliśmy czytelnika pokrótce z ogólnym charakterem twórczości Stawskiego: poety-rolnika palestyńskiego.

Szczególny język, jakim przemawiają mieszkańcy ghetta, wyda się czytelnikowi polskiemu nieco dziwacznym, ale wypływa to z jego odrębności i oryginalności. Dla zachowania ducha oryginału należało

PRZEDMOWA

zatrzymać w tem tłumaczeniu szereg wyrażeń żydowskich i hebrajskich w ich rodzimem brzmieniu i to w narzeczu litewkiem autora i jego bohaterów. W nielicznych tylko wypadkach od tej zasady odstąpiono, gdy narzecze litewskie odbiegało znacznie od tutejszej wymowy, lub gdy inny sposób wymawiania przyjęty jest powszechnie

Nowele, w tym zbioru zawarte, są przekładem zbioru żydowskiego „Di sztume Freind“. Tytuł zbioru oryginalnego („Niemi Przyjaciele“) jako niedość jasno oddający treść i ducha książki zastąpiono tytułem „Moje Miasteczko“, gdyż szkice, zawarte w zbiorze, są reminiscencjami z miejsca urodzenia autora (Antopola obok Brześcia Litewskiego). Na kanwie tego swojego miasteczka maluje autor całość życia żydowskiego małomiasteczkowego: dziecko żydowskie, szkołę i zabawy, życie i trud codzienny dorosłych, święta i praktyki religijne, smutki i radości.— Na końcu książki znajdzie czytelnik objaśnienie zwrotów i wyrażeń żydowskich i hebrajskich, w książce używanych.

O. Tillemann

MEIR NOACHKE

I.

Zamiast przedmowy.

Moje imię, rodowód, towarzysze i zwyczaje.

Nazywam się Meir Noach, syn Rachel Leji z Kotiuków. Noszę kortowy garnitur z krótkimi spodenkami, trzewiki z „cugiem“, ośmiokanciastą czapeczkę, z pod której wygląda para gładkich pejsików, zrównywanych i przystrzyganych przeze mnie co piątku po wymyciu głowy.

Matka moja ma kram, a ojciec studjuje dniem i nocą w „bejshamidraszu“ „tojrę łyszmo“ — wiedzę dla wiedzy. Że jednak dzieci są jeszcze bardzo drobne, zdarza się, że ojciec przychodzi niekiedy do kramu, by pomóc mamie w dzień targowy lub podczas wielkiego jarmarku. Ale, że nie rozumie przytem ani słowa po „gojsku“ i nie wie, gdzie co w sklepie leży, cała jego pomoc polega tylko na tem, że trzyma w ręce pręcik i bije nim po palcach każdego chłopca, który próbuje coś poruszyć.

Często nawinie się uprzykrzony chłop, który nabierze coniemiera po palcach, a mimo to nie przestanie się pchać do beczki, by umoczyć sobie chleb w słonym laku śledziowym.

Inny znowu naprzykrza się, by mu dosypać trochę soli do namierzonego garnca. I ile razy mu się dosypuje, wciąż nie przestaje prosić, błagać, nudzić i skomleć.

„Nu, chaziainka, nu sokoluszka, anu prikiń, anu prisip, chot troszku, chot żmenku!...”

I nie pomaga ani bicie, ani odpychanie. Wtedy ojciec bierze do pomocy swój mały zapas „gojskiego“:

„Swinja, k'czortu materi...”

Gdy mama usłyszy ten krzyk, miarkuje, że ojciec jest w niebezpieczeństwie i śpieszy mu na pomoc. Oboje wypychają chłopca ze sklepu i tak długo tłuką go czterema kułakami w plecy odziane w kozuch i jakie pół tuzina siermię, aż znajdzie się za drzwiami.

Chłop nastawia plecy pod szturchańce i śmieje się pod wąsem. Wychodzi na plac i wchodzi do drugiego kramu, by tam znowu nudzić, naprzykrzać się i dotykać wszystkich towarów.

Ja uczęszczam do chederu i uczę się teraz Chumiesz i Szwarbę.¹⁾ Zaś od czasu, gdy zabrałem się także do Gemary, uważa mój ojciec, że nie wolno mi już nic nosić w sobotę. Wypróżnia więc własnoręcznie moje kieszenie każdego piątku przed wieczorem — na wypadek, gdybym wyszedł gdzie w sobotę poza „ejrew“. że zaś łącznie zdarzyć się może, by „ejrew“ był wogóle przerwany w którymś miejscu, bierzemy ze sobą małą siostrzyczkę moją Rywkele, by niosła za nami modlitewne sidury i Chumiesz z tałesem.

Podczas modlitwy trzyma mnie ojciec przy sobie i uważa, abym się modlił z siduru i wołał wraz z wszystkimi na głos: „Amen, buruch hu, buruch szmoj“ — pochwalony On i pochwalone imię Jego.

¹⁾ „Eszrym w'arba“.

MEIR NOACHKE

Toteż, gdy mi się nie udało wykraść się zawczasu z bożnicy podczas przerwy, mogę być pewny, że będę już stał przy ojcu przez cały czas czytania Tory. Ściśnięty między jego kolanami i z trudem oddychając, będę musiał zaglądać do jednego z nim Chumeszu, podczas gdy serce moje będzie się szarpać i wrywać na wolność.

Ostatniego Symches Tojre wyszedłem już z „kol hanyorim“,²⁾ gdy zaś zostałem osobno wezwany do Tory pełnym tytułem — „jamojd hachosn Meir Noach“ — i szames wygłosił dla mnie „mi szeberach“, a ojciec ofiarował w moim imieniu „chocy chaj“ — połowę z cyfry życia osiemnastu groszy, chłopcy spoglądali na mnie z zawiścią i pożerali mnie oczyma. Gdy zeszedłem ze stopni, chcieli mnie żywcem rozszarpać. Szczypali mnie i skubali pętlice tałesu.

Niedawno zostałem przyjęty do stowarzyszenia „Szir Haszirim“. Zbieramy się w bożnicy co piątku po wyjściu z chederu. Wyjmujemy z Arki „Pieśń nad pieśniami“ pisaną na osobnym rodale ze srebrnymi rączkami i odczytujemy ją z belemeru, ustęp za ustępem, chłopiec po chłopcu — z należytych wygłosem i na piękną nutę.

I inne jeszcze uprawiam teraz zajęcia stosowne dla chłopca w moim wieku — chluby nauczycieli i wzoru stawianego przez wszystkie matki do naśladowania. Tylko własna matka nie jest nigdy zadowolona ze mnie i przeklina mnie jak najgorszego wroga; a to

²⁾ Wszyscy chłopcy — przykryci wspólnym tałesem podczas czytania Tory.

w tym celu mianowicie, by mnie ustrzec od uroków i zbytnej zarozumiałości.

To swoją drogą. A z drugiej strony jestem sobie huncwotem jak się patrzy i za pan brat z wszystkimi łobuzami na ulicy, zarówno z żydowskimi, jak i lehawdł z gojskimi:

Razem zrywamy strąki grochowe po ogrodach i wykradamy niedojrzałe gruszki ze sadu. Albo wyciągamy po gościńcach zatyczki z osi, by jadącym koła z wozów zlatywały i wyrwamy struny z ogonów koni chłopskich na rynku, przy którym to zajęciu Berisz z przydomkiem Gęba stracił jedno oko i został dlatego później uwolniony z wojska. I nastawiamy siadła na wróble z trzech cegieł przykrytych czwartą, podpartą odskakującym patyczkiem, lub zakładamy „pompy“ i ustawiamy „armaty“.

Zapytacie pewnie jak się zakłada pompy i ustawia armaty? Zaczekajcie, a opowiem wam.

Wieczorem po „Maariw“ wszyscy się potroszę rozeszli a w bejshamidraszu pozostało już tylko paru „lernerów“ na noc. Jakiś „porusz“ samotnik, będący na łaskawym chlebie u naszego miasteczka, jakiś stateczny młodzieniec „na wydaniu“ i t. p. Jest cicho, mrocznie i głowy pochylone nad księgami poczynają się skłaniać do drzemki. Borykają się ze snem i coraz na nowo rozpoczynają ten sam ustęp Gemary — aż sen ich zmoże ostatecznie i zasypiają z otwartymi ustami nad otwartym foljałem.

Gdy zaś tylko który z nich zaśnie, bierzemy kawałek papieru, skręcamy go w fajeczkę, nabijamy

starą watą, wyskubaną z czyjogoś futerka i zmieszaną z główkami siarników i wkładamy po jednej takiej fajeczce do obu otworów nosowych. Zapalamy watę i uciekamy. Śpiący wciąga oddech głęboko, wata poczy-na się kurzyć, powstaje dym, trzaskanie siarki i taki swąd, że można się udusić. Nasz gość zrywa się z kaszlem i fukaniem, kaszle i sapie, omal płuc ze siebie nie wypluje i biegnie na dwór odetchnąć świeżem powietrzem. A sapie przytem jak miech kowalski i klnie w dziesiąte pokolenie.

Nastawianie armaty odbywa się w następujący sposób:

Bierze się klucz, zwyczajny klucz — byleby tylko z dziurką, to jest najważniejsze. Do dziurki wsypuje się parę główek siarnikowych i zabija się je mocno patyczkiem ułamanym z miotły. Następnie bierze się uszko klucza w rozwidloną pałeczkę, aby w palce nie piekło i grzeje się cały aparat nad świecą. Klucz się rozgrzewa a siarka wewnątrz zapala się i z hukiem armatnim wysadza zatyczkę. Być może wprawdzie, że huk jest nieco słabszy jak przy armacie, ale myśmy to nazwali „armatą“.

Albo też kradniemy u Lejzer-„Chołema“, który oślepił na starość — niech was Bóg uchroni od tego — jego trzciniową laskę, bez której nie może zrobić ani kroku. Poczuje stary brak laski i zaraz zaczyna się szukanie.

Najpierw on sam maca naoslep naokoło siebie, później szuka szames Awremł, zjadliwy człowiek, żyjący z nami w odwiecznej niezgodzie. Za nimi dopiero

połowa bożnicy idzie w ruch. Z tałasami na głowie i jednym ramieniem opasanem rzemieniem modlitewnym, wszyscy uwijają się po bejs hamidraszu, zaglądadają do każdego kąta i rzucają co chwila podejrzliwe spojrzenia w naszą stronę. Wreszcie zlituje się któryś z nas, udaje, że pomaga szukać, zabłądzi nibyto nie chcąc za piec, gdzie drzewo się suszy i jakby zrobił wielkie odkrycie, wykrzyknie: — „otóż macie, tu leży laska!“

Kiedyindziej znowu mogło się takiemu obywatelowi jak ja łatwo przytrafić, bym zlazł z drzewa z rozdartymi spodenkami i pełną pazuchą niedojrzałych gruszek. Gruszcзки wędrowały wówczas na strych do siana, żeby się ułęgnąć i zmięknąć, a ze spodniami kryłem się na dworze aż do zmierzchu. Wtedy wsuwałem się niespostrzeżenie do domu, przytrzymując ręką gdzie należało... I tak starałem się przepchać jako tako kawał czasu do wieczery i „Kryszmy“, a potem prosto do łóżka.

Rano zaś kochana mama — jakgdyby przecuciem wiedziona — ogląda moje ubranie... Więc najpierw spada na moją głowę potok przekleństw. (Słyszę każde słówko i udaję, że śpię). A potem pomaleńku bierze igłę z czarną nicią i wyszukuje kawał tego samego materiału, z którego są uszyte spodnie. (Moja mama ma taki zwyczaj, że gdy co sprawia, chowa zawsze kawałek materiału — na wszelki wypadek). I tak nim wstanę, spodnie są już w najlepszym porządku.

Oprócz zaś powyżej wymienionych sprawek, prowadziliśmy także wielkie i liczne interesa z psami i kotami.

Naprzykład :

Taki chłopiec jak ja mógł mieć spółkę i udział w bardzo wielu interesach psich i kocich. Spółka polegała na tem, że kilku żydowskich chłopców zawierało z synem mieszkającego na naszej ulicy chłopca Semenka, umowę następującej treści i brzmienia :

— Anachnu-my szłojsze — trzej — chłopcy żydowscy i on, Goj łehawdl, jesteśmy jednakowymi spółnikami i współwłaścicielami jego czarnego psa — hamchune Borsak — imieniem Borsak — i mamy prawo i wolny wstęp przychodzić do niego na podwórze, głaśkać go i dawać mu jeść, kiedy i ile razy dusza nasza zapragnie — bli szum tane umane wyikuw mycidoj — bez żadnych wymówek i zastrzeżeń oraz przeszkód z jego strony.

Albo też zwabimy jakiego psa - włóczęgę i na spółkę oddajemy mu swój chleb ze smalcem, dany nam przez matki do chederu. Urządzamy dlań pomieszczenie w czyjejsz stodole lub śpichlerzu i zabieramy się do jego edukacji. Jeden uczy go podawać łapę na przywitanie, drugi uczy go „służyć“, a jeszcze inny nosić za sobą czapkę w zębach. Szczujemy nim świnię z całej ulicy, albo też wypuszczamy go na chłopców z drugiej połowy miasta, z którymi stale prowadzimy wojnę.

W lecie zakładamy mu sznurek na szyję i prowadzimy go za miasto do rzeczki, gdzie uczymy go pływać. Wszystko to trwa tak długo, póki czyjaś matka, nie zlituje się nad nim i obleje go garnkiem ukropu. Powstaje wówczas wrzask i pisk wniebogłosy, a poparzony pies, gdy raz drapnie, na naszej ulicy więcej już

się nie pojawi. Albo też który z nas zakupi małego szczeniaka jeszcze przy matczynej piersi i chwali się nim i prowadzi chłopców, by go podziwiali, a zazdrościli, chociaż wszyscy dobrze wiemy, że zanim to doczeka wyrósć, jeszcze dziesięć razy może zdechnąć.

— A czemużto miałyby zdechnąć?

— Ano taki już jest porządek świata, że małe pieski i kotki zdychają.

O ile zaś nawet nie zdechnie to i tak starszy brat lub ojciec naszego sprzedawcy odda go jakiemuś kumowi lub krewniakowi, nie licząc się zupełnie z naszą umową, albo też, co gorsza, przywiąże mu kamień u szyi i wrzuci go do wody. A jeżeli nawet wychowa się żyw i cały i nikt go nie utopi, ani nie podaruje, a umowa pozostanie umową, to i tak wiedzieliśmy, że jeszcze się ta żydowska matka nie urodziła, któraby pozwoliła wprowadzić pieska do domu i wdawać się z psami chłopcu uczęszczającemu do chederu.

Więcej już można było liczyć na kota. Kot to żydowskie zwierzę. I o tem właśnie chcę wam opowiedzieć.

II.

Moje marzenia o kocie. Ojciec się sprzeciwia.
Sprawa postępuje naprzód i spełza na niczem.

Jak daleko sięga moja pamięć nie było u nas w domu nigdy żadnego kota. A gdy podrosłem i do mojego dziecinnego rozumu doszedłem, wziąłem sobie to mocno do serca i zazdrościłem moim kolegom, synom lepszych rodzin, jak i ja, którzy jednak posiadali własne koty. Ubolewałem nad moim losem: czemuż to moja dola ma być gorsza od innych, dlaczego nie jest moim udziałem szczęście posiadania w domu własnej kotki z kociętami, na którą wszyscy chłopcy przychodziliby patrzeć, otaczać ją kołem i wyciągać rączki, prosząc, bym pozwolił ją pogłaskać, obiecując mi największe skarby za jedno jedyne pogłaskanie. Dlaczego i za jakie grzechy nie jest mi to danem?

A może myślicie, że u nas w domu kot nie był potrzebny i dlatego go nie trzymano? No, to popatrzcie tylko na zimową chustkę mojej mamy, a zobaczycie, jak na samym środku, w tym miejscu, gdzie się ją na głowę zakłada, widnieje wielka cerówka z białej przędzy.

Także półkożuszek mego ojca, od kiedy go pamiętam, miał na plecach białą dziurę, z której zwykliśmy wybierać watę na papierosy.

Gdyby wam zaś wypadło zajść kiedy do naszej kuchni i przyglądać się krupom, które mama wniesie

ze spiżarki, zauważycie czarne kuleczki w krupach. Zapytajcie mamy, ona dobrze wie, skąd się to bierze... Czasem znowu przytrafi się jakaś przygoda z chlebem i chociaż go mama obkroi ze wszystkich stron, mimo to, gdy przyjdzie na stół, zaraz poznać, że coś się z nim stało. Wówczas nawiązuje się między nami taka rozmowa:

— Cirele, gdy zjesz kawałek tego chleba, to nie będziesz się już nigdy bała wychodzić na dwór w nocy.

— Meirł, ugryź parę kąsków, a będziesz zabezpieczony przed piorunem.

— Rywkele, zapuścno swoje ząbki w tę kromkę, a nie będą cię nigdy zęby bolały.

I tak sypią się ze wszystkich stron docinki, aż zawstydzony bochenek chleba wędruje sobie za przeproszeniem zpowrotem do szafy, by czekać lepszej sposobności do spełnienia swego przeznaczenia.

Nieraz w zimowy wieczór, w izbie cicho, ojciec nie wrócił jeszcze z wieczornej modlitwy, a mama siedzi przy ciepłym piecu i obiera kartofle na jutro. I tak z kartoflą w jednej, a nożem w drugiej ręce, siedząco zasypia. Tylko Rywkele, małe dziewczątko z parą krótkich warkoczyków na ramionkach, siedzi u stołu przy małej lampce i bimbając nóżkami pod stołem, odpisuje wiele razy „szire-grizł“ — żydowskie zdanie, które Jidł - pisarz wykaligrafował dla niej misternie na kartce papieru jako wzór:

„Sól jest gorzka, cukier jest słodki, miód jest bardzo słodki“...

I nagle, siedząc sobie tak i odpisując literę za literą posłyszysz cichy pisk i drapanie o podłogę. Rywkele blednie, ciska pióro, zadziera nóżki do góry i chowa je pod siebie, podnosząc przy tem taki krzyk, że mama budzi się z przerażeniem, a komornica, mieszkająca u nas w alkierzu, przerywa karmienie dziecka i wbiega do pokoju. Obie obejmują małą, biorą ją na ręce, tulą ją, chuchają na nią i spluwają na próg dziewięć razy, zamawiając złe, — by odeszło skąd przyszło — na puste pola i knieje, na uroczyska i ostępy i na dzikie drogi, gdzie stopa ludzka nie stanęła... aż mała uspakaja się i przychodzi do siebie.

A wszystkiemu temu winien tylko mój ojciec, człowiek bardzo nerwowy i trwożliwy, który nie cierpi i lęka się kotów.

Kot jest, zdaniem jego, nieczystą siłą i odwiecznym wrogiem rodzaju ludzkiego. Gdy siedzi i drzemie w dzień, wówczas knuje złe zamiary przeciwko człowiekowi, planując, jakby go w nocy, gdy uśnie, udusić — uchowaj Boże. Ale Pan Bóg uprzedził zło, zsyłając lek jeszcze przed chorobą i dał kotowi krótką pamięć, tak, że w nocy zapomina, co za dnia uplanował.

I każdego wieczoru, przed udaniem się na spoczynek, ojciec napół już rozebrany, w jarmułce i białym „tales - kotenie“ chodzi po izbie, odmawia „Kryszmę“, całuje wszystkie „mezuzy“ — i, o, nu! — i zagląda do każdego najmniejszego kąciczka, czy się gdzie jaki kot do domu nie zakradł.

Niekiedy zdarza się istotnie, że w nocy posłyszemy my kota w mieszkaniu. Wówczas zaczyna się obława.



Wszyscy wyskakują z łóżek boso, w samych koszulach, chwytają co się komu pod rękę nawinie i poczynają gonić kota z izby do alkierza, z alkierza do izby, a stamtąd znowu do kuchni. Zewsząd rozlegają się głosy: „macie go tutaj!“, „tędy przebiegł“, „prędeż, prędeż, schował się pod łóżko, widzieliście jakie ma oczy zbójeckie, zielonym ognikiem łyska — „jemach szemoj“...

A kot biedactwo wtuli się gdzieś do kąta, skręci się w kłębuszek i żałośnie miauczy. Jego koci mózdzek nie może żadną miarą pojąć, czego chcą od niego. Póki wreszcie nie przyjdzie mu do głowy skoczyć na równe nogi i wymknąć się na dwór, przez drzwi, które od godziny stoją otworem. I jak długo kocia pamięć potrafi zapamiętać, kot ten omija zdala nasz dom.

W taką noc ojciec nie może już więcej zasnąć, obraca się z boku na bok mrużąc i stękając, aż nakoniec siada na łóżku, spuszcza nogi na podłogę, zlewa wodą palce i z pamięci poczyna odmawiać psalmy, — aż w oknach zaszarzeje świt.

*

Ja ze swej strony nie mogłem zgoła pojąć — jak dorosły mężczyzna, ojciec, może się obawiać kota. I próbowałem mu nieraz wykazać argumentami i faktami, że nie ma racji. Oto na przykład mój kolega Lejbl śpi z kotem i ten go jeszcze ani razu nie zardasnął.

Mojem zdaniem kot jest cichem i wiernem stworzeniem, ozdobą każdego domu. Dom bez kota nie jest wogóle prawdziwym domem.

I gdy się zdarzyło, że u któregoś z moich przyjaciół okociła się kotka, ja pierwszy wybierałem sobie kociątko, żywiąc nadzieję, że małe wpuszczą mi do domu. Jak można obawiać się małego kociaka? Zawiązywałem mu czerwoną wstążeczkę na szyi na znak i pozostawiałem je przy matce, aż podrośnie. Każdego dnia w południe i przedwieczorem biegałem dowiadywać się co porabia i nosiłem z domu jedzenie dla kocicy-matki, trzymając jednak wszystko w tajemnicy, póki Pan Bóg da, że kocię podrośnie i zacznie już samo jeść.

Wtedy brałem je pod połę mojej kapotki i zakradałem się z niem do izby, stawiałem je obok siebie na ławce i karmiłem ze swojej porcji, zaglądając mu do oczek i błagając Stwórcę, by siedziało cicho, aż się przyzwyczai. Ale właśnie jak na złość, nie podoba mu się żaden z przysmaków, którymi je częstuję. Ni stąd ni zowąd wypadnie mu w tej chwili zatęsknić za swoją mamą i wydaje ze siebie żalosne mia-a-u.

Usłyszy mama w kuchni kota. Pewny jestem, że ona sama nie ma nic przeciwko kotom. Przeciwnie, gdy kiedy obca kotka zagładnie do nas, mama podsuwa jej jeszcze coś do jedzenia. Tyle tylko, że mama zawsze uporczywie staje po stronie ojca. Dziwna to osoba moja mama — trzęsie się nad ojcem, jak gdyby był malutkiem dzieckiem, a gdy coś powie, stanowi to dla niej nietykalną świętość. I teraz, gdy tylko usłyszy miauczenie, zaraz się odzywa:

„Sza, dziecko już znowu przywlokło kociaka“. Próbuje pozyskać mamę dla moich zamiarów i przy-

pominam jej świeżo nadgryzioną gomółkę sera. Na to nie znajduje odpowiedzi. Powiada tylko, że kot — to znaczy: duży kot.

Cóż z tego — mówię — kiedy wszystkie duże koty mają już swoje domy i swoje gospodynie?

Na to odpowiada mama, że jest dosyć kotów włóczących się bezdomnie.

— A co będzie, gdy ucieknie?

— To go przywiążemy za nóżkę do stołu.

— Cóż z tego, kiedy biorąc na rozum, to uwiązany kot nie ma żadnej wartości.

Wtem daje się słyszeć głos ojca z alkierza:

— Sza, słuchajcie jak mój talmudysta o kotach rozprawia.

Nastaje milczenie. Poczynam się zbierać do chederu i stęsknionym wzrokiem żegnając się z koteczką, która stoi na ławce z czerwoną wstążeczką na szyjce, patrzy za mną, trzęsie się cała i boi się, by nie spadła.

Setny wdzięk posiada teraz w moich oczach!

— Oby cię Bóg miał w swojej opiece, kiciu moja, obyś znalazła upodobanie i życzliwość w oczach mojej dobrej mamy, a łaskę i zmiłowanie w sercu mego złego ojca, który właściwie nie jest nawet taki zły, tylko nie zna się na kotach i nie wie jak koło nich chodzić...

Idąc do chederu staram się uspokoić i wmówić sobie, że zapewne pozostawią mi kociątko w domu. Mama swoim roztropnym słowem wymoże to na ojcu. Napewno tak będzie.

I przez cały dzień myśli moje krążą około kota. Wyobrażam i przedstawiam sobie piękne dnie, jakie mnie z nim czekają. Staje mi się przez to coraz droższy i bliższy. Myślę już o tem jak go nazwę. Muszę wymyśleć jakieś piękne imię, takie, żeby mi go wszyscy chłopcy zazdrościli. Ach, jak ja strasznie lubię, kiedy chłopcy mi zazdroszczą, kiedy aż ślinka napływa im z zawiści! Moi towarzysze są okropnie zawistni.

Tak przemija dzień i nadchodzi wieczór. Ledwo się doczekam „Mynchy“ przedwieczornej i co tchu pędzę do domu.

Ale gdy przychodzę do domu, okazuje się, że po mojej kotce z czerwoną wstążeczką na szyi już dawno niema ani śladu.

III.

Tajemnica, o której mówi całe miasto. Ojciec jedzie do Ameryki. Mówią ze mną jak z dorosłym. Odjazd.

Z początku trzymano to w ścisłej tajemnicy. Rodzice moi rozmawiali o tem ze sobą szeptem w alkierzu, poczem wychodzili stamtąd z troską na twarzy.

Następnie poczęto o tem mówić w sobotę przy stole na migi, a dzieciom nakazano surowo nie wynosić z domu tego, co usłyszą. Wogóle nie powinny małe dzieci słuchać, co dorośli ze sobą mówią. Gdy zaś kto je o co zapyta, mają zawsze odpowiadać: „my nic nie wiemy“...

Ale już po kilku dniach — niewiadomo jak i jakim sposobem, dowiedziało się o tem całe miasto. Wszyscy o tem tylko mówili, dziwili się i nie mogli pojąć, że taki Żyd, jak mój ojciec, który poza swoimi modłami i swoim ustępem Gemary, nie zna się na żadnej rzeczy i nie rozumie ani słowa inaczej, jak po żydowsku, niezdarą, co to „kotu ogona zawiązać nie potrafi“..., że taki człowiek wybiera się do Ameryki.

I by się dokładniej dowiedzieć co jest na rzeczy, nie szczędzono trudu i zachodów, a w pierwszym rzędzie zabrano się do mnie. Gdy przychodziłem do bożnicy, odwoływano mnie na bok, tak, by mój ojciec nie zauważył i badano a wypytywano mnie na wszystkie sposoby, co się u nas w domu dzieje. O czem się mówi



u nas, co pisze mój wujek Joël z Ameryki, czy już nadeszła „szyfskarta“, kiedy była u nas ciocia Dobrysz? I dlaczego mama nie miała tej soboty w bożnicy swoich pereł na szyi? I czemu to i czemu tamto...

Aż mi się w głowie kręciło od tylu pytań i byłem dumny, że to właśnie mój ojciec jedzie do Ameryki i że z żadnym chłopcem dorośli nie rozmawiają tyle co ze mną.

Wreszcie Łejba „raznoszczyk“ przyniósł do naszego sklepu wielką kopertę z Ameryki. Mama przymknęła kram i pobiegła do apteki, by się dowiedzieć, co koperta zawiera. A gdy potem wybiegła stamtąd z płaczem i listem wujka w ręku wraz z „szyfskartą“ i przekazem na piętnaście dolarów — wiedzieli już wszyscy, że ojciec jedzie do Ameryki. I to, że jedzie niebawem, zaraz po Pesach.

Od kiedy „szyfskarta“ nadeszła, nabrało wszystko w domu innego wyglądu. Wszystko poczęło pachnąć Ameryką. Cokolwiek się robiło i o czymkolwiek się mówiło, czuć było w tem Amerykę.

Ojciec stał się jeszcze bardziej milczący i modlił się na cichą smutną nutę z tałesem przerzuconym przez głowę i twarzą ku ścianie. Do codziennych modłów przybyło mu teraz dziesięć ustępów Psalmów, które odmawiał co rana po modlitwie z ciężkiem, złamanem sercem.

A mama wciąż płakała. Przy każdej okazji płakała. Kładzie dzieci spać, całuje je i płacze — mama nie miała nigdy zwyczaju dzieci całować — kisi bu-

MEIR NOACHKE

raki na święta i płacze, piecze mace — płacze, kaszeruje naczynie — płacze, smaruje dziecku chleb powidłami — płacze.

Cały seder zalała łzami, a ostatniego dnia świąt w bożnicy, gdy przyszło do „Jizkor“, zapłakały wszystkie kobiety w niewieścińcu, ale głośniej od wszystkich szlochała moja mama.

Płakała i narzekała z sercem pełnym goryczy: „...„czemuż to On, Ten, którego imienia niegodni jesteśmy wymówić, czemu na nas wylał cały swój gniew, dlaczego pokarał nas, abyśmy byli bezdomni i rozprószeni po wszystkich siedmiu morzach świata i dlaczego to ma nam być odjęta radość słyszenia słodkiego głosu ojca przy modlitwie?“.

A dalej prosiła Boga, by ją wziął w obronę przeciwko złym ludziom, którzy pragną ostatni kęs chleba wydrzeć z ust jej dzieciom. Błagała Pana, by wrogowie jej nie ujrzeni na niej pomsty swojej — nie daj Boże.

Zaraz po Pesach nadszedł list z wiadomościami od agenta na adres subagenta Ezry - kotlarza.

Ojciec odczytał list na głos wobec wszystkich temi słowy:

„Pięć paczek ma być wysłanych nie później, jak „moce szabes - kojdesz, parsze Achrej - Mojs - Kedojszim“ — jak było umówione (pięć paczek — oznaczało mego ojca, Łejba Bałmuta, Antoniego Ignaca, szklarzową Cirlę i jeszcze jedną dziewczynę, którą sprowadzał do Ameryki szewc Bendet).

Dalej pisał agent, że trzy paczki mają ważyć po trzydzieści sześć funtów, (to znaczyło, że mój ojciec, Cirła i druga dziewczyna mają ze sobą zabrać po trzydzieści sześć rubli) a dwie paczki mają ważyć po siedemdziesiąt funtów (tu chodziło o Goja i Balmutowego Łejba).

Goście ślubni niechaj wezmą ze sobą jak najmniej pakunków. Na dworcu będzie ich oczekiwał żółtowłosy młody człowiek, który nazwie imię panny młodej (okrętu, którym odjadą z Hamburga); za nim niechaj pójdą, dokąd ich poprowadzi, gdyż pragnie on tylko ich dobra...“

I tak do soboty, po której ojciec miał odjechać było już wszystko wysłane, a na starej kanapie leżał w pogotowiu nowy worek ze soli, w którym się znajdowały: suchary moczone w piwie, makowe placki, piernik, kilka koszul, tałas-kotn, wiązka cyces na zapas, butelka miętówki i „jom kipurowych kropli“ cucących — kto wie, co w drodze może się przydarzyć — oraz parę ksiąg nabożnych, do których dobrze jest zaglądać w podróży.

W ostatnią sobotę wstał ojciec bardzo wcześnie, zbudził mnie i wyszedł ze mną na spacer nad staw za miastem. Był blady, roztargniony i rozmawiał ze mną jak z równym sobie.

Opowiedział mi, że czasy są kiepskie, dochody z kramu nie wystarczają na życie i dlatego musi opuścić dom i powędrować aż za morze. Nakazywał mi, bym był człowiekiem i miał ochotę do nauki. I żebym

stał na jego miejscu w bęjs hamedraszu, bo niema kto uważać na mnie. I że jestem jedyną jego nadzieją — dla kogożto będzie harował, jak nie dla mnie? I dla kogo to wyrusza teraz w świat, jak nie dla mnie? — I żebym miał baczenie na dzieci w domu. I żebym porzucił dziecinne igraszki z chłopcami, bo nie jestem już maleńkim chłopczykiem, w „Szabes-nachmu“ tego lata skończę już jedenaście lat — do studwudziestu. I żebym był posłuszny mamie, bo gdy tata niema w domu, wówczas mama zastępuje tata...

Szedłem obok z powagą, ze spuszczoną głową i chlonąłem w siebie każde słowo. W tej chwili ojciec był mi dziwnie drogi i czułem wielką litość dla niego. Od kiedy żyłem, ojciec nigdy jeszcze nie rozmawiał ze mną tak, jak wówczas.

Potem wypiliśmy sobotnią herbatę i poszliśmy się modlić. Cichym krokiem weszliśmy do Domu Bożego. Ojciec podszedł zaraz do swego miejsca i pozostał tak przez cały czas modlitwy — z twarzą obróconą ku ścianie i z narzuconym przez głowę tałasem, z pod którego słyhać było cichy, żarliwy szept i stłumione szlochanie.

Gdy go wezwano do Tory i miał wygłosić błogosławieństwo, głos począł mu drżeć. W bożnicy zapanaowała szczególna cisza. Wszyscy wstrzymywali oddech, wsłuchiwali się w błogosławieństwa i odpowiadali „Amen“.

Na wszystkich twarzach widać było troskę i przykrość, jakgdyby cała ta gromada przyszła do Najwyższego ze skargą, że takiego człowieka jak mój ojciec

— żyda - łamdana, biegłego w Piśmie — skazał, iżby był samotny na morzach, zdala od żony i dzieci i od swego miejsca modlitwy w Domu Bożym — w kraju, gdzie nikt go nie zna...

Po „Hawdołe“ poczęto się do nas schodzić, by pożegnać ojca i wkrótce cały dom napelnił się ludźmi; sąsiedzi i znajomi, swoi i obcy, krewni i przyjaciele i wrogowie. Zapanowało zamieszanie i ścisk. Wszyscy mówili naraz, hałasowali, pytali i rad udzielali.

Ojciec siedział przy stole na swoim miejscu. Twarz miał białą jak ściana i nie rozumiał co do niego mówią i czego ci wszyscy ludzie chcą od niego.

Dzieci snuły się po izbie zmęczone, śpiące, plątały się wśród dorosłych i nie wiedziały co ze sobą począć.

Długo się tak błąkały, aż dotarły do starej kanapy. Wygramoliły się na nią, przytuliły się jedno do drugiego wśród stosu pakunków i zaczęły zasypiać.

Ale zanim udało nam się zasnąć, wyrosła nagle przed nami, jak z pod ziemi sąsiadka nasza Ester-Chaje w postaci pieczołowitej opiekunki i poczęła nas budzić, szarpać, trzeźwić i wypytywać: — a może chcemy jeść, a czy chcemy chały z masłem, czy chały z konfiturą, a może placuszek?...

Nie mogłem oczu otworzyć, szumiało mi w głowie. Nie mogłem zrozumieć co się u nas w domu dzieje i skąd wzięło się u nas tyle ludzi i czego chce od nas ta uprzykrzona baba, dlaczego mnie szarpie i dlaczego tak rządzi i gospodaruje u nas w domu.

MEIR NOACHKE

Wkońcu zasnęliśmy, wszyscy czworo wśród pakunków i nawet nie słyszeliśmy jak odjechał.

Tylko jakby przez sen pamiętam, że posadzono mnie przemocą na kanapie. Płakałem i wszystkie dzieci płakały. Potem ojciec postawił mnie na nogi i podtrzymywał mnie, żebym nie upadł. Ubrał mi czapeczkę na głowę i coś do mnie mówił. Nie rozumiałem ani słowa. Potem ojciec przycisnął mnie do siebie. Silnie mnie ścisnął i całował, w pocałunkach było pełno brody. Czuję jego brodę i twarz mi zwilgotniała. Spałem stojąc i wiedziałem we śnie, że to tato, który teraz odjeżdża od nas i chce się ze mną pożegnać, ale nie mogłem ust otworzyć, żeby mu odpowiedzieć — „jedź zdrów!“.

Gdy mnie puścił i położył zpowrotem na kanapę, obtarłem twarz rękawem. Skuliłem się i znowu zasnąłem.

A na drugi dzień nie było już niczego — ani ojca, ani nowego worka ze soli, który leżał przez cały tydzień na kanapie. W domu było dziwnie cicho. Cicho i ciężko. A w ciszy rozbrzmiewało przedziwnie jasno jedno jedyne słowo — A-m-e-r-y-k-a.

IV.

Po odjeździe. Nowe porządki. Podnoszę głowę. Kot w domu. Awantura.

Już trzeci tydzień mija odkąd ojca niema w domu. Nadeszła od niego jedna kartka z Hamburga, a teraz oczekujemy listu już z Ameryki.

W domu unosi się dziwny smutek i cichy ból osierocenia. Tu oto zwykły ojciec siedzieć; o tej porze nadchodził zwykle z bożnicy i wchodził do izby z głośnym — „dzień dobry!“; a tu mył sobie ręce przed jedzeniem i na głos odmawiał błogosławieństwo nad chlebem, w skupieniu przymykając oczy.

Tu na brzeżku stołu nakrywała mama dla niego na małym zgrzebnym obrusiku. A teraz jemy wprost na stole, albowiem kobiety i chłopcy poniżej lat trzy-nastu nie mają obowiązku spożywać posiłków swych przy nakrytym stole.

Przypominamy sobie jego odmawianie z pamięci psalmów o przedświcie, płynące jak cichy szmer wody wśród nocy. Wszyscyśmy przytem zawsze smacznie spali, tulili się pod nakryciem i marzyli o dalszym śnie.

Często zapominamy się, wydaje nam się, że lada chwila ma nadejść skądś i z przyzwyczajenia czekamy nań z wieczerzą — a może się gdzie zagadał — ale w tej samej chwili uprzytomniamy sobie, że dziś już nie wróci na wieczerzę.

Przez parę dni stało, łóżko ojca nawpół zaścielone, jakgdyby z niego — uchowaj Boże! — umarłego wyniesiono. Później łóżko odżyło. Umieszczono w niem Cirełę z Czojłem. Tak ojciec zarządził przed wyjazdem. Warto było widzieć z jaką czcią maleństwa objęły w posiadanie to łóżko:

Czojle wytarł parę razy nóżki zanim wszedł do łóżka, a Cirele zrobiła taką minkę, jakgdyby przymierzala obcy kapelusz i zaglądnęła do lustra, czy jej w nim do twarzy — jeszcze nigdy nie spała w łóżku.

Ja pozostałem na starem miejscu obok pieca na wielkim rozkładanym tapczanie wraz ze starszą ode mnie o rok Rywkele.

Po przespaniu pierwszego snu, leżałem nieraz przez całą noc i myślałem o ojcu i jego odjeździe. Próbowiałem przedstawić sobie całą rzecz, ale nie mogłem sobie wyrobić jasnego pojęcia o tem, jak pociąg, który z takimi złemi oczyma przebiega tu co nocy obok przystanku, może zajechać do Hamburga? I co to takiego granica i czemu się ją „kradnie“? I jak wygląda okręt? Wszystko to plątało się w mej głowie i ani myśl, ani oko nie miały o co zaczepić. Ani ja, ani moi koledzy z chederu nie mieliśmy żadnego wyobrażenia o tych rzeczach. Zazdrościłem ogromnie mojemu ojcu. Lękałem się, bałem, a zazdrościłem mu.

Stoję w bożnicy na miejscu ojca, a rebe ze swego miejsca i matka ze swego kobiecieńca, dają na mnie baczenie.

W sobotę odprawiam przy stole „kidusz“ z modlitewnika, a Rywkele wystawia mi przytem zawsze

język, tak, żeby mama nie widziała. Mało się nie udu-
szę, wstrzymując się z całych sił, żeby nie wybuchnąć
śmiechem.

Mama siedzi za stołem na miejscu, gdzie ojciec
siedział i kraje dzieciom „mojce“ z wielkiego kołacza.
Ale często zdarza się przytem, że trzymając nóż
i chałę w rękę, przypomni sobie nagle coś i rozplacze
się. Wtedy my, dzieci, truchlejemy na swoich miejscach
z bolem serca i z pełnemi ustami chały, którą omal się
nie udławimy. Wreszcie się uspokajamy i jakoś wszyst-
ko przechodzi.

W międzyczasie zdarza się, że przychodzę w so-
botę do chederu dla zmówienia „Pereku“, a tu cała
nasza banda biegnie mi naprzeciw z uciechą i radosną
nowiną. Co się stało?

U farbiarzewego Berka okociła się wczoraj biała
kotka. Sześć kociąt wydała na świat.

Wszyscy naraz gadają i hałasują, nie dają jeden
drugiemu dojść do słowa i gorączkują się i przechwa-
lają, że sami własnemi oczyma wszystko widzieli
i w rękach trzymali. — Żeby tak doczekali wszystkie-
go najlepszego! — Jedno żółte, jedno czarne, dwa na-
krapiane, a dwa białe, takie jak matka.

A on sam, Berele, ogień nie chłopiec, o błyszczą-
cych, palących oczkach, nie mówi ani słowa. Przysłu-
chuje się temu, co drudzy opowiadają i pali się z ra-
dości.

Natychmiast przeleciało mi przez głowę, że ojca
niema w domu, a mama zależna teraz ode mnie na każ-

MEIR NOACHKE

dym kroku. — Nie zechce mi się, to nie będę stał na miejscu ojca w bożnicy, a zechce mi się, to przyjdę późno do domu na kidusz i będą musieli czekać na mnie z jedzeniem.

I jeszcze tej samej soboty wieczorem byłem na miejscu i wybrałem sobie koteczkę, oceniając ją na tuzin mosiężnych guzików, jeden klucz z dziurką i jeden ustęp „Pieśni nad pieśniami“ wygłoszony w piątek po chederze z „belemeru“.

Kocię wybrałem sobie łaciaste z jasnym, białym brzuszkiem i czarnymi plamami dookoła oczu i na końcu ogona. Chłopcy wprawdzie mówili potem, że się oszukałem, sam Berele śmiał się drwiąco i droczył się ze mną. Ja jednak trzymałem się swego, twierdząc, że wiem czego chcę i nie jestem ciekaw niczyjego zdania, że dziękuję im za rady i niech się nie wtrącają do cudzych interesów, bo właśnie takiej i tylko takiej koteczki szukałem.

Ale prawdę mówiąc bałem się trochę w ostatnich dniach zanim ją odebrałem. Kto wie czy Berele się nie rozmyśli — po Berku można się wszystkiego spodziewać... Albowiem w międzyczasie zdechło drugie nakrapiane kocię i jedno czarne. Pochowaliśmy je z wielkimi honorami w ogrodzie i postawiliśmy im kamień jako nagrobek. Jedno z białych kociąt tak sobie bez przyczyny marniało, nie jadło, nie piło, nie chodziło, nie stało. Więcej na tamtym świecie jak na tym... Pozostało więc wszystkiego tylko troje kociąt: białe, złote i moje nakrapiane, które było najbardziej udane i prześcignęło wszystkie inne. Dlatego też Berele po-

czął tak nosa zadzierać i wypierał się wobec chłopców, że o niczem nie wie i że mi nigdy niczego nie sprzedawał.

Mnie w oczy tego nie mówił, bo byli świadkowie przy umowie i przyjęciu zadatku, kiedyto ujęliśmy się obaj za małe palce a trzeci chłopiec przeciął węzeł kicią cycesową.

Powtóre wypłaciłem mu już dawno ustęp „Pieśni nad pieśniami“ i klucz, a ten niezdara zaraz drugiego dnia rozsadził go przy „nastawianiu armaty“.

Po trzecie i tak zawsze był zależny od mego podpowiadania — tępą głowa.

Ale że przy tem wszystkim Berele jest przecież tylko sobą, więc serce nie pozwala mu tak łatwo dotrzymać umowy. Począł się więc wymawiać, że guziki miały być mosiężne, żółte, a nie miedziane, czerwone, które mu dawałem. — A to, że miedziane są przecież droższe? — No, tego on sobie nie daje wytłumaczyć! Nie potrzebuje — powiada — lepszych ani droższych, nie chce odemnie żadnych dobrodziejstw, żąda tylko tego, co mu się wedle umowy należy i basta.

Potem przyszła jeszcze jedna wymówka: że kocię jest jeszcze za małe i nie można go jeszcze odłączać od matki! I tak póki nie trzymałem go pod połą i nie biegłem z niem do domu, pędząc jakgdyby kto gonił za mną, wciąż jeszcze nie miałem pewności, wciąż lękałem i obawiałem się, że Berele wycofa się z interesu.

Gdy je odebrałem było już wcale duże. Umiało już zeskakiwać z niewysokiego krzesła. Co prawda bało się, trzęsło się i długo, długo celowało, zanim rap-

tem rzucało się na ziemię. Przewracało się parę razy i stawało na równe nogi. Umiało też wdrapywać się na kolana, wpijając przytem pazurki aż do mięsa. Bawiło się misternie sznurkiem. Gdy zaś gdzie dopadło kłęбка nici, radość nasza nie miała granic.

Do domu przyszedłem z niem pod wieczór. Mama i Cirele nie wróciły jeszcze były z kramu. Pierwszą moją robotą było dać mu coś zjeść. Zebrałem więc z hładysza odrobinę śmietany do nowiuteńkiego talerzyka, który ono zaraz strąciło z ławki i stłukło, bo nie przywykło jeszcze jeść z talerza.

Drugim mojem zadaniem było sporządzenie posłania. W tym celu wybrałem miejsce w ciemnym alkie-rzyku, pod ławką, na której spałem z Rywkele. Tam przyniosłem trochę siana, zdjąłem ze strychu stary wato-wany kabat ojca i wyścieliłem nim posłanie, takie, jakiego kocię nawet we śnie wymarzyć nie mogło. Ale co się tego wieczoru u nas w domu działo... — lepiejby o tem wcale nie wspominać!

Gdy mama i Cirele nadeszły z kramu, zaledwie próg przestąpiły, wybiegł im zaraz naprzeciw mój braci-szek Czojle. Właściwie nazywał się on Jisroel, ale sam nazwał się Czojle. Było to dziwaczne dziecko o krzywych nogach jak dwa półksiężyce, z wielkim brzuchem, ubrane w spencerek z wystającym z tyłu ogonkiem. Do czwartego roku życia nie umiał chodzić, tylko raczkował na czworakach i pełzał na tyłku. Mówić zaś mówił tak mądrze i wyraźnie jak stary. Katu-lając się jak kaczka na krzywych nogach, jednym tchem obwieścił wszystkie nowiny:

„Mamo, Meirł przyniósł kota“.

„Mamo, on mu dał śmietany“.

„Mamo, kot stłukł talerzyk“.

„Mamo, kot leży pòd ławą na sianie, zasłanem tutowym kabatem“.

Tak-ci to wszystko wybębnił jak stary. Więc nie mogłem się powstrzymać i uszczypnąłem go w słabiznę tak mocno, iż mały zaniósł się od płaczu, a mnie samego zabolaly puszki palców.

— żeby nie miał takiego ostrego języczka i żeby go nie pchał tam, gdzie nie potrzeba.

Na to podbiegła Cirełe i poczęła mnie walić obu kulkami w plecy za to, że czepiam się dziecka.

„Dziecko, dziecko“ — Czojłe z krzywemi nogami jest u niej także dzieckiem!

Na to mama chwyciła Cirełę za oba warkocze, aż jej świeczki w oczach stanęły, żeby nie waliła we mnie jak w bęben.

I w jednej chwili wszyscy płakali: ja, mama, Cirełe i Czojłe. Mały tak się darł wniebogłoso, że niko go z nas nie słyszano. Jedna tylko Rywkełe — ta korszerna duszyczka — stała sobie z boku patrząc na nas, a serduszko jej krwawiło za nas wszystkich.

Ja przysięgałem na trąbę Mesjasza, że napuszczę pełny dom psów i kotów, że wytłukę całe naczynie, że dużej pannicy obetnę w nocy warkocz aż do samej skóry, a małemu kucowi połamię krzywe nogi i co soboty spaźniać się będę z Kiduszem...

MEIR NOACHKE

Cirele krzyczała, że jestem zbójem i że nie wolno nocować ze mną pod jednym dachem. I żeby tak do-czekała stać pod „chupą“ z tym, kogo jej Pan Bóg przeznaczył, że to ja zabiłem Semenowego psa. I że mama zanadto mi pobłaża. I że zaraz po Zielonych Świętach ucieknie z domu tak jak ją widzimy, w je-dnej koszuli, dokąd oczy poniosą i wynajmie się gdzieś za służącą...

A mama szlochając prawiała, że skracamy jej ży-cie i że ją jeszcze za młodych lat — Broń Boże! — do grobu zapędzimy. I że zazdrości ojcu, który pojechał sobie i nie potrzebuje patrzeć na nasze trefne gęby. I życzyła sobie, żeby wkrótce siedziała po nas na po-kucie — nie daj Boże! — a tato, żeby dostał o nas złą wiadomość — nie daj Boże!

Tak się to przeciągnęło do późnej nocy. Wszyscy zmęczeni się i zasnęli w ubraniach, bez wieczerzy. Do-piero gdzieś po północy Rywkele mnie obudziła, wsadziła mi czapkę na głowę i dała mi talerz zimnych klu-sek z mlekiem. Trzymała mi talerz i pilnowała, żebym wszystko zjadł. Mama tylko zdaleka przypatrywała się jak zajadam i bała się słówkiem odezwać, by mnie, broń Boże, znowu nie rozgniewać.

Potem zmówiłem Kryszkę, rozebrałem się i poło-żyłem się spać. Przez całą jednak noc źle spałem. Co chwila zrywałem się ze strachem, siadałem na pościeli i pociemku macałem wokoło siebie, gdzie jestem. I do-piero czując obok siebie z jednej strony Rywkele, a z drugiej koteczkę gładką, miękką, ciepłą, cicho

i spokojnie mrużącą, przypominałem sobie gdzie się znajduję, uspokajałem się i znowu zasypiałem.

Na drugi dzień wszyscy byli zagniewani. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że mnie, chłopca od Gemary, na którego połowa kobiet z naszej ulicy czeka z zapaleniem światła aż odprawię Hawdołę, — że mnie można jeszcze bić.

I prosto z łóżka, ledwo ręce spłókałem, ruszyłem do chederu bez śniadania. Rywkele przyniosła mi później jedzenie, tłumacząc, że nibyto spóźniono się dziś u nas ze śniadaniem, a ja nie chciałem czekać.

A ja, jak mnie widzicie, byłem zawsze bardzo ambitny. Gdy się rozplącę, to wstydę się przestać i mogę tak dzień i noc tarzać się po ziemi, waląc piętami w ścianę i nie dając się niczem uciszyć, póki nie zachrypnę i opadnę z sił i sam już nie wiem dlaczego zacząłem płakać.

Czojle chował się przez czas dłuższy i nie pokazywał mi się na oczy. Kazałem mu powiedzieć — przez Rywkele mu to przekazałem, — że to, na co sobie u mnie zasłużył, zostanie mu uczciwie wypłacone, a do koteczki niech mi się nie waży przystąpić, choćby mu do niej serduszko omal nie wyskoczyło.

Tymczasem biedne kociątko bało się wszystkiego i wszystkich. Tuliło się, uciekało i chowało się cichutko po najskrytszych kątach, jakgdyby czuło, że to ono wszystkim jest winne.

V.

Pojednanie. Życie wchodzi na utarte tory.
Pociecha. Jej roztropność i pomysły. List.

Kłótnia poszła wkrótce w zapomnienie. Nasze domowe gniewy nigdy nie przeciągały się zbyt długo. Pokój i zgoda zapanowały znowu w naszym domu i każdy wrócił do swego zajęcia: mama do kramu, Cirele do kramu i do szydełka, Rywkele do domowego zajęcia, Czojle do swoich chłopców i zabawek, a ja do chederu, do Gemary: braliśmy właśnie mesechtę „Nezikn“ i wertowaliśmy trudne zagadnienie „o wole, który ubódł krowę“. A koteczka zabrała się do swoich igraszek: łapania much i wygrzewania się do słońca.

Każdego rana, gdy tylko wstanę z łóżka, przede wszystkim witam się z koteczką głosem „jaamojd“ — niech przybędzie kotka wielkiej sławy i słynnego rodu „moras Szejne Sosze“ (tak ją nazwaliśmy), oby żyła! I zaraz daję jej śniadanie, nieco mleka lub kwaśnego mleka, które mama nalewa dla niej do blaszanej miseczki, by czego innego nie stłukła. A daje jej to z całego serca (ja już poznaję, kiedy mama daje coś pełnym sercem, a kiedy nie!),

I kiedy tylko mam wolną chwilę, zabieram się do jej edukacji. Stawiam sobie kotkę na ramieniu i uczę ją wspinać się. Pnie się więc do góry i tak długo drapie pazurkami aż do skóry, póki nie wydrapie się na

plecy i owinie mi szyję, mruczając do ucha tak miękko i ciepło, że aż miło.

Albo też biorę ją na kolana, zaginam jej jedno uszko, dmucham do środka i pytam czy będzie jeszcze łasować. A ona kręci główką, że „nie“, tam i zpowrotem, niezliczone razy; nie i nie, nie będzie już nigdy więcej.

Albo przywiązuję jej coś do ogonka i spuszczam ją na ziemię. Wtedy kotka chce złapać przyczepkę, ogonek jej ucieka, a ona goni za nim. Coraz prędzej i prędzej, aż zapłacze się i bęc! na ziemię.

Kiedyindziej znowu sadzam ją na oknie, a sam wychodzę na dwór i podaję jej przez szybę palec, żeby ugryzła. A ona bije łapką o gładką szybę i łowi palec, wysuwając wszystkie pięć pazurków, żeby go uchwycić. I wciąż dziwuje się i nie może pojąć dlaczego palec nie daje się złapać.

Takto powoli przyzwyczaiła się do domu. Znała swoje miejsce pod ławą, poznawała ludzi i wiedziała kto dla niej dobry, a kto nie. Rozumiała gdy wołano na nią „kić, kić“, zwąchała zawsze zawczasu zapach ryby gotowanej na sobotę i wiedziała kiedy idzie się do stołu. Wtedy zeskakiwała zgrabnie z pieca i z takim wdziękiem wyginała grzbiet, zadzierała ogon, tuliła się, ocierała o nogi, mruczała, że mamie serce tajało i dawała jej kawał zraza rybiego.

Unikała tylko Czójły, a gdy kiedy próbował ją pogłaskać, wyrывała się i uciekała. Wtedy mały, katulając się jak kaczka na swych krzywych nogach, usiłował ją dopędzić, póki nie dopadła sofki stojącej obok

pieca. Chwyciwszy się za nóżkę sofy, już była na górze, a stamtąd po zwisającym z haka ręczniku wdrapowała się wyżej i w okamgnieniu siedziała na piecu. Siedząc zaś już wysoko na kominie, obracała się w stronę izby, kładła małą główkę z mądrymi oczkami na przednich łapkach i tak figlarnie patrzyła na Czojłę stojącego w pośrodku pokoju z otwartymi ustami i rozwartymi rękoma, jakgdyby się z nim droczyła:

— Ano, możebyś ty tak spróbował swojemi krzywymi nóżkami!

Ósmego tygodnia po odjeździe ojca nadszedł od niego zapieczętowany list już ze stałego miejsca pobytu. Radość ogarnęła całe miasteczko. Podawano sobie wiadomość od sklepu do sklepu, ponieważ wszyscy nader poważali mego ojca i wiedzieli jak bardzo wyglądaliśmy tego listu.

Około naszego kramu zebrało się pół miasteczka, a Gecel „Kłamca“ wziął list i jał czytać na głos wobec wszystkich.

Mamie mojej zaraz oczy poczęły łzawić, a zgromadzone kobiety podparły głowy rękoma i przytakiwały każdemu słowu listu, aż do końca.

Potem mama wzięła list i z zapłakaną twarzą poszła do mnie do chederu.

Gdy ujrzałem mamę przez okno, stanął mi nagie mój ustęp „Esrin w'arba“ kością w gardle. Cóżby innego mogło ją tu sprowadzać jak nie jakiś nowy wyczyn koteczki? Moi koledzy patrzyli na mnie i mru-gali między sobą porozumiewawczo. Farbiarza syn Berele zawołał z triumfem: „Meirku, mama idzie!“.

Nadejście mamy do chederu wśród białego dnia nie wróży chłopcu nigdy nic dobrego i stanowi wielką uciechę dla reszty.

Nie wróży to nic dobrego, bo tak „na sucho“ żadna mama nie porzuca domu i kramu. Zaczyna się zwykle od badania, wypytywania, a czasem od suchego klapsa, żeby się „bocher“ nie zająkiwał gdy go pytają.

Zaś uciechą dla chłopców bywa dlatego, że przedewszystkiem wyniknie stąd przerwa w nauce, a powtóre wogóle przyjemnie jest widzieć drugiego w sosie i mieć później czem naciągać go i czem mu docinać.

Ujrzawszy mamę przez okno przerwaliśmy naukę. Rebe poprawił sobie jarmułkę, przyglądził pejsy, wysiąkał głośno nos i jął czekać aż drzwi się otworzą.

Gdy mama ucałowała „mezuzę“ i przestąpiła próg chederu, a ja zobaczyłem w jej ręku list, spadł mi ciężki kamień z serca. Mama była trochę zakłopotana i oświadczyła, że nadszedł chwała Bogu list od ojca i chciałaby, żebym go odczytał w obecności rebeego.

Rebe kazał ustąpić mojej mamie miejsca na skraju ławki. Wszyscy chłopcy zamknęli foljały, a ja zacząłem czytać na głos, kiwając się w takt, z przyspiewem:

„Leyszti bacnue, hachachome, moras Rachel Leje szetechje...“ Do mojej cnotliwej i mądrej małżonki pani Rachel - Leji, oby żyła, i do mojego syna, uczoniego Meira Noacha, oby żył, i do mojej córki Cirele i do mojej córki Rebeki i do mojego syna Izraela, oby żyli...

Rejszys — przede wszystkim — donoszę wam, że z pomocą Bożą przybyłem w pokoju „łymchojs chefcii“ — do mojego celu. Powtóre zasię, gdybym zapragnął wypisać wam dokumentnie wszystko, co nam się w drodze przygodziło, byłoby to zaiste jako dzieje wyjścia z Egiptu.

W dalszym ciągu opisuje całą podróż od „alef“ do „tof“. Jako oczekiwał ich ów żółtowołosy młody człowiek, który nazwał na znak imię okrętu, a oni szli za nim dokądkolwiek ich prowadził. Jaktó spędzili na granicy kilka dni we wieśniaczej chacie, w strachu śmiertelnym, czekając przednowia. I jako bali się wychylić z okna, bo przez okno widać było żołnierza stojącego na straży u słupa granicznego.

Dalej, jak po tamtej stronie dymilo się przez cały czas z wysokiego komina niemieckiej cegielni. I jak przez cały czas nie można było świętem słowem się pokrzepić, albowiem chałupa pełna była „ich“ obrazów.

I jako później szli gromadą, żydzi i Goje oraz niewiasty, w ciemną noc, nie wiedząc drogi swej i poruczając się po pierwsze Panu Bogu, a powtóre łehawdł małemu szejgeckowi, za którym postępowali krok w krok.

Potem przybyli do strumyka, do lasu i znowu do strumienia. I płacz a bojaźń niewiast i dzieci i cichość a lęk i smętek ponocny. I wysoki komin, który wciąż sterczał nad wszystkim i dymił, iskrami sypiąc.

Później spotkali Goja z żołnierzem i ustawiono ich wszystkich parami, rachunek czyniąc wedle głów

i nie licząc dziątek małych u matek na rękach będących. I znowu szli. A gdy już miało świtać, opuściło ich chłopię gojowskie, mówiąc, że są już po tamtej stronie.

Wówczas wszyscy żydzi, oraz łehawdł Gojowie wzniesli ręce do Boga, dzięki Mu składając za cuda, które uczynił z nimi tej nocy.

Gdy zasię przybyli do łaźni zwanej „kwarantanna“, byli śmiertelnie uznojeni i mokrzy jako ryby, iż rozdziać się musieli do nagości, by szaty osuszyć, poczem przebyli dni parę, sypiając na twardym kamieniu bez poduszki.

I jako przejechali przez cały kraj niemiecki, zamknięci w wagonie niby bydłeta. Zaś lud tamtejszy biegł za nimi, jak za dziwoludźmi.

Przez cały czas nie mieli łyżki ciepłej wody w ustach. Zaś niemiecka chała, co ją przez okno kupowali, smaku ludzkiego nie ma. A mowy ich, co ją Raszi nazywa „beloszn aszkenaz“, nikt nie może zrozumieć.

I jako przybyli do Hamburga i jak ujrzeli, że wszystkim braknie czegoś z ładunku podróznego. A jemu wykradziono poduszkę i kaftan sobotni.

Zasię jazda okrętem — „chybut hakewer“ — jako męki umarłego za grzechy ziemskie. Ojciec leżał przez cały czas twarzą nadół i błagał Najwyższego, by dał mu żywcem dojechać i by zachował żywiciela drobnym dziatkom.

Wreszcie przybycie do Ameryki. Aż mu w oczach pociemniało! Trzeba widzieć te kamienice...

I jak go serdeczny szwagier odebrał z okrętu i do domu swego zaprowadził. I jaki on bogaty i jaki posiada dom i jakie dzieci i przyodziewek jaki! Gdyby nie był na ojca zawołał po imieniu — Fajwisz Chaim — nie byłby go poznał.

Dalej dopytywał się w liście co wszyscy porabiają i jak się wiedzie w kramie. I kazał pozdrowić mego rebego. I prosił, bym mu napisał przy jakiej stronicy jestem teraz w nowej „mesechcie“ i jak sobie radziłem z trudnymi „Tojsfesami“. Prosił mnie, żebym stał na jego miejscu w bejs hamidraszu i nie opuszczał niczego przy modlitwie. I żebym słuchał mamy. I żebym mówił Kidusz z modlitewnika, bo chociaż ufa mi, że się nie zatnę, ale chłopcu nie wolno zbytnio na sobie polegać...

A dalej polecał mi, bym poszukał pod szafą: tam ma być stary sidur. „Meor ejnajim“ drukiem ze Sławuty. Taki sidur jest dziś rzadkością. W nim znajduję „zmires“ do wszystkich trzech uczt sobotnich, słodkie w śpiewaniu jak cukier. I żebym broń Boże nie naruszał soboty i bym się trzymał zdala od złych towarzyszków. I żebym pamiętał o „Pereku“ co soboty, albowiem odmawianie „Pereku“ nie jest dowolne tylko obowiązkowe — nie „reszus“ tylko „chojw“.

I żebym się nie kąpał w rzece w dzień powszedni, tylko w piątek wraz z rebem, a zwłaszcza, żebym się strzegł w „trzy tygodnie“, bowiem tego czasu czyha niebezpieczeństwo.

W dalszym ciągu pozdrawiał rabina miasta i sąsiadów tak z ulicy jak i z bejs hamidraszu. I ciocię Dobrysz i wuja Ajzika i całą rodzinę.

Dzieciom polecał, by słuchały mamy, a Czojle, żeby nie chodził bez „arbe kanfes“ i nie jadł niczego bez „brochy“.

Mnie zaś polecał, żebym wziął na się obowiązek odmawiania z Czojłem co rana błogosławieństwa wdziwania „cyces“, a w łóżku przed spaniem „Kryszmy“.

VI.

Odpowiedź. Pochwały. Duma mnie roz-
piera. Smutny koniec.

Gdy przed wieczorem wróciłem do domu, mama była tam już przede mną. Żadna robota jej się dziś nie kleiła i zostawiła Cirełę, by sama zamknęła kram.

Dała mi list, bym go jeszcze raz przeczytał, wsłuchiwała się w każde słowo, przytakiwała głową i usiłowała przemówić mi do ambicji: „Widzisz jak tato do ciebie pisze, niby do dorosłego — bez uroku — a ty mamie końca dojeżdżasz swoimi figlami“.

I niedługo trwało, a na stole pojawił się atrament, pióro i papier i zasiadłem do pisania odpowiedzi na list, gdyż ojciec podał adres i prosił, żeby mu zaraz odpisać.

List pisałem w imieniu mamy. Mama dyktowała mi słowo za słowem po żydowsku, a ja z miejsca przekładałem je na piękny „łoszn kojdesz“.

„Lychwojd baali hanechbod, hamyflag mejhurer Fajwisz Chajim — nejro joir — w Ameryce“.

Rejszys — po pierwsze — donoszę ci, że odebra-
liśmy dzisiaj twój list. Wiele łez wylałam czytając o tem, jaką miałeś drogę i co wycierpiałeś na granicy i na okręcie i także z tego żalu, czemu nas Pan Bóg tak ukarał, byś ty był wygnany daleko od żony i dzieci gdzieś aż za głębokimi wodami.

I płakałam takż z radości, żeś już chwała Bogu wszystko przebył i że już jesteś na miejscu. Gdybyś był widział jak ci tu zazdrozczono gdy czytano twój list — mało im oczy nie powyłaziły z zawiści.

Uważaj tylko czyś się, broń Boże, nie przeziębił, bo piszesz, że szliście całą noc we wodzie aż po szyję. A o ile jesteś broń Boże przeziębiony, to kup za trojaka kamforowego spirytusu do nacierania i poproś Joela, żeby ci na noc mocno kości wysmarował. Potem napij się malin, a Chana niech cię okryje, byś się porządnie wypocił. I z pomocą Bożą będziesz zdrow, a za to Pan Bóg ich uchroni od choroby.

Wedle poduszki — lepiej nie pytaj: serce mi się krwawiło, gdy usłyszałam, że ci ją wykradziono. Była nieboże z Cirełowej wyprawy i miała nową wyspę. Przez całą zimę bielą oczy olśniewała, gdy puch na nią skubano. Oby im to tak przynajmniej bokiem wyłazło, miłosierny Boże! A komornica nasza — jakgdyby jej serce coś przeczuwało! — nie kazała mi dawać tej poduszki! Nu, mejle, nie martw się, Pan Bóg wynagrodzi nam to szeroką dłonią. On to potrafi...

Handel w kramie jest teraz pod psem. Po Wielkiej Niedzieli chłopci ruszyli do błót na sianokosy i siedzimy nieraz cały dzień bez „początku“.

Wnet po twoim wyjeździe posłałam do grubej Kajli po worek soli, ale nie chciała dać. Chce, żebym jej najpierw — powiada — dług zapłaciła. I muszę teraz kupować sól na garnce.

Mełamed zaczął odbierać w kramie za to, co mu się należy jeszcze z zimy: co czwartku pięć funtów

mąki, kwaterkę oliwy i pół ćwierci rodzynek — do dwóch złotych — i jest mi bardzo ciężko.

Cirele stoi w sklepie. Zrobiła się z niej bez uroku duża pannica. Udziara się z całym światem i ujada się codzień ze Złatą Bambisz — oby ona była kapurą i odkupicielką naszego dziecka! Chce dostać sycową sukienkę na Szabes nachmu. Ma rację, biedactwo! Gdy przyjdzie sobota, nie ma co na siebie włożyć.

Rywkele jest złoto. Pilnuje domu, sprząta, gotuje i odpowiada każdemu jak dorosła, bez uroku.

Meir Noachke (to znaczy ja) chodzi do chederu, stoi na twojem miejscu w bożnicy, wygłasza Kidusz, że słyhać na całej ulicy i zachowuje się statecznie.

Czojle wciąż się dopytuje gdzie tato i poco tato pojechał do Ameryki. Gada jak stary.

Pierwszej soboty synalkowie Benderczuka chcieli zepchnąć dziecko z twego miejsca (wszystko im za mało!). Wtedy ja z mojego miejsca w niewieścińcu wylałam na ich głowy całe moje gorzkie serce. Zawołałam na głos, że Fajwisz Chajim jeszcze żyje i ma dzieci, które będą po nim dziedziczyły za stodwadzieścia lat. W bożnicy zrobił się wielki krzyk. I od tej pory dziecko stoi już bez przeszkody na twojem miejscu.

Nasza komornica dostała list od swego Szmaji. Piszze, że są teraz na manewrach w Czygujewie pod Charkowem, że tam są straszne upały i że pięć dni maszerowali bez jednej „dniówki“ odpoczynku. Co myślisz? — wylałyśmy dosyć łez, czytając ten list.

Listy do Szmaji, które przedtem ty pisywałeś, pisuje teraz Meirł (to znaczy ja), żeby nam żył i był zdrow. żebyś widział co za język — słodki jak cukier! Listy jego obnoszą po całym mieście.

U nas gotuje się teraz barszcz z młodych buraczków. Na szabes wyjęłam już ogóreczek z ogrodu. Ale jeszcze szkoda. Są jeszcze maleńkie. Tyle tylko, by dać dziecku do chederu, by nie zazdrościło innym chłopcom. Napychają ich przecież marcypanami teraz. A to jajka, a to czereśnie, cukierki, kopiejki. A co widzi nasze dziecko, biedactwo?

A dalej jesteście wszyscy Bogu dzięki zdrowi. Rywkele gotuje wieszczę — kluski z mlekiem. Cirele tylko co nadeszła z kramu — dosyć się nacierpi przez cały dzień, — teraz siedzi i czeka na pióro, by zasiąść do odpisywania zdań, które Jidł pisarz jej nazaczył.

Czojle stoi na ławce, przygląda się pisaniu i bawi się koteczką — Bóg im kociątko zesłał — (ostatnie słowa opuszczam w liście), a Meirł pisze list do ciebie. Życzyłabym ci widzieć co to za brylantowe dziecko. Obiecałam mu, że przyslesz dla niego zegarek.

Napisz jakie tam życie i gdzie jesteś na stacji? I co się tam je — mnie się zdaje, że cały świat jest jednym miastem. Napisz mi czy już zrobiłeś „szech-juno“ na jagody? Ale ci u nas tego roku urodzaj na jagody! Za grosza cała kwarta. Całe miasto chodzi z czarnymi pyskami.

A jak tam jest z bejs - hamidraszem i słowem Bożem w tej Ameryce? Czy są tam jeszcze Żydzi, którzy o Bogu nie zapomnieli i czy Chana nosi perukę?

MEIR NOACHKE

Więcej niema nic nowego. Oddaj pozdrowienia mojemu serdecznemu bratu Joelowi, a także jego żonie Chanie i ich brylantowym dzieciom, oby długo żyły. I niechaj im Bóg stokrotnie wynagrodzi to, co dla nas uczynili.

Wszyscy znajomi pozdrawiają cię. Komornica cię pozdrawia i sąsiedzi z naszej ulicy cię pozdrawiają.

Uważaj, żebyś nie zapomniał o rocznicy śmierci mojej matki, która wypada w „Rosz chojdesz Tamuz“ i odmów tam za nią „Perek Misznajis“ tak, jak to zwykłeś tutaj czynić. Przypuszczam, że ona sobie jeszcze na tyle u ciebie zasłużyła.

List skończony. Mama wzięła z progu nieco piasku, posypała nim pismo, włożyła do koperty i schowała do komody, do jutra, aż pójdzie do apteki napisać adres, nakleić znaczek i wyprawić go do pociągu.

Ale zanim włożyła list do komody, stała długo i spoglądała to na list, to na mnie, a w oczach jej lśniły łzy. Pewny jestem, że to z radości, że ja potrafiłem taki piękny list napisać.

Uczułem nagle wielką radość i dumę, że wszyscy są teraz odemnie zależni, dogadzają mi i zaglądają mi w oczy. Podskoczyłem naraz od stołu, pochwytiłem Cirełę, która szykowała się do odpisywania zdań pisarza Jidla i wyciągnąłem ją na ziemi jak długa. Na nią rzuciłem Czojlę, na Czojlę Rywkełę, na Rywkełę kotkę — i zacząłem im wszystkim „dawać sera“.

Cirele na samym spodzie waliła obcasami w podłogę i klęła na czem świat stoi.

A ja klaskałem w ręce, żeby zagłuszyć Cirełę i wrzeszczałem niesamowitym głosem:

Ejns, cwej, draj
Cirełe yz forbaj
Hokus, pokus, bende flokus
Szerełe berełe fyks
Szerełe berełe myks.

Byłem taki rozwydrzony, że jeszcze zanim udało im się podnieść i odetchnąć po „serze“, pochwyciłem Cirełę z jednej strony, a Czojła z drugiej i zakręciłem się z nimi po pokoju jak wiatrak.

Tra ta ta — pi pi pi
Der tate yz nyszt hi,
Wuhin yz tate geforn
Kajn Stryj
Wos wet er brengen?
A fesełe bir,
Wer wet es trinken?
Ich, mit dir...

„Ich mit dir“ — ja i ty — wskazywałem palcem na koteczkę, gdy Czojle i Cirełe siedzieli już na ławce z zawrotem głowy i ciężko sapali po „wiatraku“.

— Ja i ty!

Widocznie, że było przeznaczone, by ten wieczór źle się skończył. Albowiem kotka nigdy jeszcze nie okazała takiej złości, tyle jadu i wściekłości jak tym razem.

Gdy wciąż celowałem w nią palcem wołając „ja i ty“ — podskoczyła nagle do góry i wszystkimi pięciu pazurkami wpiła mi się w rękę. Świczki mi w oczach

stanęły. Strzepnąłem ją z taką siłą, że przekatowała się po ziemi z dziesięć razy.

Nastało wielkie zamieszanie. Ja płakałem.

Cirele cieszyła się z mojej porażki i klaskała w ręce:

„Dobrze mu tak, za to, że wymyślił modę na koty, dobrze mu tak!“

Mama zaklinała się, by tak doczekała mojej „bar mycwy“, że jutro rano wyniesie kotkę z domu, gdzie czarny pieprz rośnie.

Pewny jestem, że tego nie zrobi. Ona tylko tak mówi.

Czojłe milczał jak ryba. A Rywkele wciąż się koło mnie krzątała, pomagała rozebrać mnie i położyć do łóżka; ostrożnie, by ręki nie zadrasnąć.

I leżąc już w łóżku, z zawiązaną ręką, czułem pod bandażem pięć ostrych drapnięć. Swędziło mię to boleśnie i spać nie dawało.

Przypomniałem sobie słowa ojca, że kot jest nieczystą siłą, drapieżcą i śmiertelnym wrogiem człowieka. W sennem zamroczeniu płątały mi się po głowie różne historje talmudyczne o kotach i co chwila zrywałem się ze snu.

VII.

Przyzwyczaiła się. Staje się człowiekiem. Nabożne nastroje.

Tak minęło lato. Po lecie zima, a po zimie przyszło na świat Boży nowe lato.

Groźba mamy, że wyniesie Szejne-Soszę tam, gdzie pieprz rośnie, spełzła na niczem. Wiedziałem przecież, że to tylko takie strachy na Lachy.

Szejne-Sosze została i rosła ładnie, rosła i wyrosła, oswoiła się i przywiązała do rodziny, a my wszyscy do niej.

Było już teraz czemś prostem i zwyczajnem, że mama, biorąc mięso u rzeźnika, pamiętała o garści ochłapów dla kotki, albo że soląc mięso, uważała na każdą odłupaną kosteczkę lub kawałeczek tłuszczu, należące się Szejne-Sosi

Albo też, że zbierając ze stołu, nie zapominała zebrać wszystkie resztki do trefnego talerzyka, dodać jeszcze parę kawałeczków chleba i postawić dla niej gdzieś w kącie.

Dlatego siedzi Szejne-Sosze przez cały czas soleńnia mięsa niedaleko „opałki“, tak sobie z boku, niezmiernie grzecznie i w skupieniu. Patrzy na opałkę, z początku z silnem pożądaniem, potem stara się ządzę opanować i stłumić pokusę; kładzie więc główkę między przednie łapki, przymyka jedno oczko od stro-

ny opałki i nibyto wpatruje się w muchę brzęczącą pod sufitem, zamyśla się nad czemś i udaje, że całkiem zapomniała o tem, co się na opałce znajduje...

Gdy zasiadamy do stołu Szejne Sosze się zjawia. Zna porę jak zegar. Przybiegnie, nawet z drugiego końca miasta. Gdy zastanie drzwi zamknięte, wskakuje przez okno. W zimie drapie łapką o drzwi i prosi, by jej otworzyć.

Często siedzi sobie w izbie, gdzieś w kąciку i śledzi muchę przymykając jedno oko i dziewięć dziesiątych drugiego oka. Gdy zauważy, że idzie się myć ręce przed jedzeniem, wówczas otwiera oko nieco szerzej, by się przekonać, czy się nie myli. Drugie oko jest jeszcze zamknięte.

Zaczyna się przeciągać. Najpierw prostuje tylne nóżki, potem przednie, potem grzbiet wyginając go w wysoki kabłąk. Idzie za mną krok w krok do stołu i przysłuchuje się jak mówię „Seu-jedejchem“ po myciu. Ukroję kromkę chleba, maczam ją w soli i stojąc mówię „Hamojcę“ na głos. (W ostatnich czasach począłem mówić „Hamojcę“ na głos, z przymkniętymi oczyma, we wielkim skupieniu). I zanim jeszcze zdążyłem zasiąść do stołu, ona już skoczyła na ławkę, ociera mi się łebkiem o rękaw, mruczy i prosi, żebym ją poczęstował kawałeczkiem żydowskiej „mojcy“.

Z Czozłem jest już dawno na najlepszej stopie. Przyglądam się obojętnie z boku — jakgdyby to mnie nic nie obchodziło — jak pozwala mu się głaskać, jada z jego ręki i przychodzi na jego zawołanie. Chłopak nie posiada się przytem z radości.

Od ojca przychodzą listy co miesiąca. Ja odpowiadam na nie co mi mama podyktuje. Od połowy zimy począł także przysyłać pieniądze — dziesięć dolarów miesięcznie. Mama dała już parę rubli grubej Kajli na dług i w naszym kramie stoi dumnie znowu cały worek soli.

Cirele ubrała na „Szabes-nachmu“ nową sycową sukienkę, tak jak jej mama obiecała — piękną sukienkę, w duże desenie z czerwonymi i niebieskimi kwiatami. Na Pesach uszyto jej brązową, wełnianą, z czerwonym przybraniem.

A ja? Jakgdybym przyoblekł się w nową skórę.

Niema już kolegów, ani figłów, niema psów, ani kotów. Nagle stałem się dorosłym. Poczulem odpowiedzialność — żyd w pełni — i naśladowuję ojca aż do najdrobniejszych szczegółów.

W piątek po chederze — do domu. Po piątkowym obiedzie przeglądam sobie w książce „Chaje odom“ przepisy sobotnie.

Potem idę do łaźni. Po łaźni, z mokrymi jeszcze pejsykami, sadowię się z powagą przy oknie — patrzę na letni dzień, który chyli się ku zachodowi, na dzieci bawiące się na ulicy z lśniącymi oczkami zapłakanymi po piątkowym myciu i odmawiam „Szir haszirim“ na piękną nutę z zakrętasami:

„Piękną jesteś przyjaciółko ma i skazy w tobie niema...“

MEIR NOACHKE

Melodja pieści moje ucho.

Mama wchodzi na palcach i podaje mi na okno trochę „cymesu“ na małym talerzyku. Udaję, że nie widzę i dalej odmawiam „Szir haszirim“. Mama ukazuje się znowu w drzwiach a widząc „cymes“ nietknięty, podchodzi, poprawia mi z miłością czapeczkę i mówi:

— Meir! zmów błogosławieństwo i skosztuj!

Spełniam jej prośbę, odmawiam błogosławieństwo i kosztuję. W cymesie z marchewki czuję tysiąc smaków — smak matki i smak soboty. Potem odstawiam na bok talerzyk i odmawiam błogosławieństwo po posiłku.

Tymczasem niebo spłynęło czerwienią. Od grobli podnosi się biały pył — trzoda wraca z pastwiska. A ulicą wionął zmierzch; przerywam więc pośrodku Pieśń nad pieśniami („Szir haszirim“ jest „rszus“ dobrowolnym, a nie obowiązkiem). Mama szykuje się do zapalenia świec, a ja zbieram się do bożnicy.

Pejsyki mam długie, sięgające poniżej uszu. Wyszły już po kąpeli. Kapota i sobotnie trzewiki są przygotowane i wyczyszczone jeszcze od południa. Rywkele je wyczyściła. Chustka w czerwone kwiaty na szyję — całuję „mezuzę“ i wychodzę szybkim krokiem na spotkanie soboty, by spełnić: „Hejej rac kawci — pobiegł jako jeleń..“

Czojłe niesie za mną „Sidur“ i kroczy z tyłu jak za ojcem.

Zpowrotem idzie się zwolna, krok za krokiem, z cichą tęsknotą za Domem Bożym, dopieroco opuszczonym.

Idę z powagą jak dorosły i zawczasu częstuję każdego mojem „gut szabes“.

Czojle pobiegł naprzód i zmieszał się z chłopcami.

Na zakręcie ulicy oczekuje mnie mama. — Gut szabes. — Gut jor!... idziemy razem obok siebie i rozmawiamy o pogodzie, o drożyźnie, o ojcu, — i tak dochodzimy do domu.

Mama wchodzi pierwsza i mówi „gut szabes“ całemu domostwu. Najpierw kuchni, potem izbie, potem alkierzowi gdzie my śpimy, potem alkierzowi gdzie mieszka nasza komornica. Potem ja mówię „gut szabes“ i kłaniam się na wszystkie cztery strony.

Do „zmires“ wydobywam sobie „Meor Ejnajim“, o którym ojciec pisał. Stąd czerpię pieśni do wszystkich trzech biesiad sobotnich — słodkie jak cukier. Moje „stoły“ przeciągają się zawsze do późnego wieczoru, a Cirele pali się z niecierpliwości. Dziewczęta czekają na nią ze spacerem. Mruczy pod nosem i ciska w moją stronę kłujące spojrzenia: „wejcidkoscho“-obłudnik! Ale nie mówi ani słowa, boi się mamy.

W sobotę po południu kładę się do łóżka ojca. Po przespaniu się i splókaniu palców, nalewa mi mama szklanekę sobotniej herbaty, która stoi na piecu jeszcze od piątku w południe, okryta workami i starą barchanową halką. Maczam kostkę cukru w herbacie, jak stary i odmawiam na głos błogosławieństwo „szehakl“.

Mama odpowiada „Amen“.

Po herbacie wyjmuję „Pirkej owojs“ — (tego lata zaczęliśmy już w domu odmawiać „Perek“). Z ogrodu wioną słodkie zapachy i pobudzają we mnie poku-

MEIR NOACHKE

sę. „Jejcer hory“ wabi na ulicę. Mama siada naprzeciwko mnie w okularach na nosie i wodzi palcem po kartkach otwartej „Cene wyrene“. Potem zjawiają się na stole owoce szabasowe. Więc skosztuje się coś niecoś, po odmówieniu błogosławieństwa i idzie się do bożnicy na „Mynchę“.

„Hawdołę“ odmawiam na głos i z pamięci. Nad puharem pełnym wina, które się wciąż przelewa, aby było „na pełny tydzień“, z oczyma przymkniętymi, przed silnym światłem świecy hawdułowej, a po części ze skupienia duszy, z przyśpiewem i z akcentem na słowach: „kojs jeszuejs eso“ — „wznoszę puhar wybawienia“.

Rywkele trzyma świecę, grubą hawdułową świecę, o knocie splecionym z nici, któremi mama „wymierza“ grobowiec cadyka w miesiącu Elul. Trzyma ją wysoko nad głową, aby dostać wysokiego chosena.

Po „Hawdołę“ nadpizam nieco z pohara i daję trochę mamie, a trochę Czojłowi. Resztę wlewam zpowrotem do flaszki. Dziewczęta nie piją z „Hawdoły“, by nie miały ciężkich porodów.

Potem maczam koniuszki palców w przelanem winie, przemywam sobie oczy (środek na ból oczu) i wytieram palce do kieszeni — na szczęście. I wnet zabieram się do ostatnich pieśni sobotnich. Ubrany jeszcze świątecznie chodzę sobie po izbie i śpiewam:

„Człowiek, który nigdy nie zaznał męki śmierci
[telnej,

Wkrótce przybędzie do nas z Mesjaszem, synem
[nem Dawida“.

Tymczasem nadchodzi mama ze szklanką świeżej, gorącej herbaty. Widząc jak chodzę po pokoju, nucąc i przytraskując palcami, nie chce mi przeszkadzać. Zatrzymuje się ze szklanką herbaty w ręce, patrzy za mną i szepce pocichu :

— Boże kochany, oby on moją głowę przeżył!

W bożnicy trzymam się zdala od chłopców i zdarza się, że podejdem tak sobie, nibyto bez szczególnego zamiaru do szafy z księgami — i wydobęde jakieś dzieło o moralności, w którym jest mowa o tem, jak żyd powinien się zachowywać. Zagładnę, zamyślę się i roz płynę się w cichej melodji. Zakradnie się jaki chłopiec i ukłuje mnie szpilką w co najmiejsze miejsce — aż do krwi. Aż mi świeczki w oczach stają! Żebym nie był „wejcydkoscho“, żebym nie był obłudnikiem...

Tego Tysze beow wszystkie bodziaki leciały na mnie. Siedziałem wśród dorosłych na przewróconej ławce i złamanym głosem, ze złamanem sercem odmawiałem „Skargi Jeremiasza“ wraz z wszystkimi — i przyjmowałem ciosy z pokorą i spokojem.

Do domu szedłem wraz z dorosłymi. Ze spuszczo- ną głową, powłócząc nogami, w pończoczach tylko — bez sił po ciężkim poście.

Z pierwszym szofarem elulowym zakradł mi się do serca dziwny lęk. Lęk przed „Dniem Sądu“. Jak przed wielką burzą, jak przed wysoką górą, jak przed rzeką szeroką, którą trzeba przepłynąć. I z każdym dniem, zbliżającym nas do „Dni Trwogi“ wyrastały one przedemną ciężkie, groźne, bezlitosne. Ujrzałem

siebie, takiego małego, słabego i grzesznego, bez opiekuna i bez przewodnika. Pogrążonego w małosłowne grzechy i drobne pokusy: grzech lekkich myśli przy myciu rąk, przerywania kryszmy dla powszedniego słowa, grzech rozrzucania obciętych paznokci, grzech noszenia w sobotę poza „ejrewem“. I ani się oglądnę, a będę już „bar onszin“ — człowiekiem odpowiedzialnym za swoje grzechy. I całe brzemień żydowskości spadnie na moje barki.

Podjąłem się modlić się ze siduru twarzą ku ścianie — żeby mnie oko nie zmamiło, — a po modlitwie odmawiać co dzień dziesięć ustępów psalmów. I uczyniłem sobie płot na płocie, więź na uwięzi, żeby szatan pokusy przystępu do mnie nie miał.

Pokonam go. Muszę go pokonać. Człowiekowi jest dana wolność wyboru. Wzmocnię się, opaszę się siłą jako lew, a Pan Bóg mi dopomoże.

VIII.

Koniec z chederem. Wprzęgnięcie się w jarzmo. Plan studjów. Ja i ona wśród nocy.

Było to ostatnie moje półrocze w chederze. I ostatni węzeł łączący mnie z chłopcami i wszelkimi chłopięciami igraszkami został przerwany na wieki.

Tej zimy zasiadłem w bejs hamidraszu do samodzielnego studjum wraz z jeszcze dwoma towarzyszami, synami lepszych rodzin, starszymi ode mnie. Ojciec żądał tego oddawna:

— Niechaj się zaprzęgnie, niechaj weźmie na się jarzmo, jarzmo Tory Bożej — pisywał ojciec — a Pan Bóg przyjdzie mu z pomocą...

Wszedłem do bejs hamidraszu i przekroczyłem próg oddzielający lata chłopięce od młodzieńczych — z okazałym zasobem ładnych paru dziesiątek stron Gemary, ze sercem pełnym lęku i z wielką ufnością i chęcią pokonania trudności, zdławienia w sobie wszelkich zakusów szatana. Zobaczy on już, czego my tej zimy dokażemy!

I zaraz następnego dnia po „Symches Tojre“, nie tracąc czasu, zasiedliśmy do pracy. Zaczęliśmy od Me-sechty „Synhedrjon“ i przerabialiśmy po trzy strony na tydzień wraz z „Tojsfesami“ oraz komentarzem „Maharsza“. Ile razy natrafiliśmy na trudniejsze miejsce, mieliśmy się kogo poradzić. Bejs hamidrasz pełny był lamdanów.

W domu dużo się zmieniło. Mama dawno już odebrała perły z zastawu i ubiera je teraz co soboty do bożnicy jak za dobrych czasów.

Cirele jest już dorosłą panną. Nosi dłuższe suknie i zaplata włosy w jeden warkocz.

Rywkele podrosła — na zdrowie jej — o głowę wyższa odemnie, a piękna jak słońce. Śpi teraz z Czojłem. Ja sypiam sam.

Na zimę sprawiono mi futerko podbite czarnymi barankami. Stare futerko dostał Czojle. Krzywił się, nie był zadowolony, bo za długie, (jest jeszcze wciąż tym samym kucykiem, jakim był). Potem się przyzwyczaił.

Uczy się teraz Chumesz i Raszi. Dopisuje ojcu pozdrowienia do każdego listu (wszyscy piszą teraz własnoręcznie pozdrowienia, tak ojciec żąda). Zaczyna misternie zakreconym „łychwojd“, a kończy potężnym zakrętasem końcowego „łamed“ w swoim podpisie „Jisroel“.

Z koteczki doczekaliśmy się wielkiej pociechy. Akurat tej jesieni na „Hojszane Kabe“ okociła się. Wydała na świat pięć kociąt. Nie da się opisać, co się w owych dniach w naszym domu działo. Wszystkie dzieci z Czojłowego chederu, wszystkie dzieci z naszej ulicy i wszystkie dzieci z połowy miasta. Ja trzymałem się na uboczu. Kotka przeszła teraz całkiem w posiadanie i władzę Czojłyka.

Kto nie widział wówczas Czojły, ten nie widział jeszcze w swoim życiu szczęśliwego człowieka. Był zarumieniony i rozplomieniony, roztargniony i zapra-

cowany. Rozmawiał z dziećmi, wszystkiemu odpowiadał, pokazywał i dawał objaśnienia. Mama pędziła i goniła hałastrę i klęła na czem świat stoi, strasząc, że obleje ich wszystkich ukropem i wybuchając śmiechem z wielkiej złości.

Po świętach uspokoiło się nieco. Banda przyzwyczaiła się i przychodziła rzadkiej, z wyjątkiem tych, którzy mieli umowę z Czojłem. W owym czasie Czojłe chodził z pełnemi kieszeniami ciągnącemi go ku ziemi. A do Rosz chojdesz Kislew nie zostało z nowego pokolenia ani śladu. Jedno kocię zdechło, a resztę rozebrano. I jeszcze przez długi czas Czojłe chodził co soboty dowiadywać się jak się chowają.

A ja wprzągłem się w jarzmo. W jarzmo Tory Bożej, tak jak ojciec był przewidział. Z zapalem i pragnieniem „Hej kol come“.

Podział nauki jest następujący: wstaje długo przed świtem. Pełny jeszcze jestem snu niby naczynie czemś napelnione. Ale krzepię się jako lew, splókuję palce wodą, zimną szczypiącą w ręce i wysuwam się z domu pocichutku, żeby nikogo nie obudzić. Na dworze cicho, ciemno i zimno. Miasto śpi. Niemy mróz i niemy mrok. Idę i wsłuchuję się w odgłos własnych kroków wśród nocy. Zanim dojdę do bejs hamidraszu jestem już zupełnie wyzbyty snu i przejęty zimnem.

W bejs hamidraszu już się świeci. Żydzi śpieszą o brzasku — jeden do Gemary, drugi do „Misznajes“, inny do „Ain Jakow“.

MEIR NOACHKE

Wczorajsze ciepło wywiało już całkiem. Przejęci zinnem i rozbudzeni młodym porankiem, który dopiero się wyłania z objęć ciemności, uczymy się gorliwie, ze słodyczą w ustach, szczerze i żarliwie, jakgdyby każdy z nas znajdował się sam jeden w świętym miejscu.

Z pierwszym dnia promykiem stajemy do modlitwy. Po modlitwie zagląda się do jakiegoś dzieła, tak długo, aż można przypuścić, że w domu czeka już śniadanie.

Rywkele podaje mi śniadanie, które sama przygotowała. Pomiędzy jednym daniem a drugim zaglądam znowu do jakiejś księgi, by nie tracić czasu i odpędzić pokusę, która gdzieś bokiem zaczęła zakradać się do serca.

Zaraz po zmówieniu błogosławieństwa po jedzeniu wracam do bejs hamidraszu, gdzie czekają już obaj towarzysze. Z początku mała strata czasu. Gdzieś niedługo pozostał jeszcze ktoś z trzeciego „minjen“. Inny, zapóźniony, modli się sam jeden, donośnie, na głos.

Ale wkrótce robi się ciszej. Zasiadamy do Gemary, objaśniamy i poprawiamy jeden drugiego. Trzy pulpity, trzy foljały, trzech młodzieńcy, trzy noże ostre, im więcej ocierają się jeden o drugi, tem więcej stają się ostre, jasne, błyszczące: oto to, to właśnie miał na myśli Tojsfes...

O jednym z moich pomysłów napisałem w liście ojcu. Odpisał na to, że list mój obnoszono po całej Ameryce i wyraził nadzieję, że jego ciężkie harowa-

nie i męka na obczyźnie nie pójdą już wobec tego na marne.

Zimowe popołudnia są krótkie. Zanim się oglądiesz, zacznie zapadać zmierzch i pora na Mynchę. O szarej godzinie oddajemy się cokolwiek powszednim naukom: trochę rachunków, Tanach, jesteśmy właśnie przy Jeszaji, trochę gramatyki i rytmiki. Począłem się ćwiczyć w czytaniu Tory, a w poniedziałki i czwartki bywam już dopuszczany do belemeru. Gdy mama się o tem dowiaduje, zamyka kram i przybiega do bożnicy, aby mnie usłyszeć.

Między Mynche a Maariw słucha się wykładu Gemary, które Josel Szmuel syn Basi wygłasza dla łamdanów w pięknej interpretacji.

Zaraz po Maariw, bejs hamidrasz pustoszeje i dopiero zasiadamy do nauki, silni jako lwy we walce ze snem. Sen nie chce się poddać. Wówczas wywlekamy go na dwór — ustąp szatanie! Przemywamy oczy zimną wodą. Jeszcze raz i jeszcze raz, a on już leży martwy u naszych stóp.

Pozbyszy się pokusy, uczymy się bardzo miło, ze słodyczą w ustach. Nuta Gemary płynie jak oliwa. I nie wiemy jak czas uchodzi. Ogniwu z ogniwem się spleta, pomysł za pomysłem nasuwa się, pytanie za pytaniem i odpowiedź na odpowiedź — i tak bez końca.

Do domu wracamy daleko po północy. Na dworze ciemno. Cicho i smętnie. Mija parę chwil zanim oko przyzwyczai się do mroku. Do rogu ulicy idziemy razem, tu rozstajemy się. Pozostaję sam.

Zostałem sam, aż tu garnie mi się coś koło nóg z cichem „miau“ — Szejne Sosze!... Smutno jej się zrobiło w domu. Wszyscy śpią. Przypomniała sobie mnie i przy ostatnim zamknięciu drzwi wymknęła się na dwór i pospacerowała drogą wiodącą do bejs hamidraszu, by mnie oczekiwać wśród zimnej nocy i towarzyszyć mi do domu.

Ogarnia mię dziwne uczucie swojskości. Idziemy więc razem. Ona idzie przodem i coraz to się ogląda, by mnie z oczu nie stracić.

Po drodze spotykamy stróża nocnego Łejzera. Zawraca, by nas podprowadzić. Idziemy więc dalej we trójkę. Słysząc skrzypienie dwóch par butów na śniegu w zimową noc — Szejne Sosze idzie pocichu.

Łejzer opowiada mi historję. Jedną z owych strasznych opowieści nocnych. Jemu opowiedział ją pewien Goj, tamtemu Gojowi jeszcze jeden Goj, a tamtemu Gojowi samemu ta historja się przytrafiła. Wsłuchuję się w opowiadanie i bojaźń mnie przejmuje, aż lekki mróz przebiega mi po ciele.

Gdzieś zaszczekał pies i umilkł.

Z jakiegoś domu słysząc stłumione pianie koguta. Drugi mu odpowiada i znowu nastaje cisza.

W dalekim oknie migota światełko lampki i przyczynia jeszcze smutku ciemnej nocy.

Tak przybywam do domu. Otwieram drzwi. Szejne Sosze idzie naprzód i prowadzi mię prosto do pieca, gdzie w spopielalym żarze stoi moja wieczerza: kawałek mięsa i trochę krupniku z jagieł i fasoli.

Do stołu idziemy razem. Maczam dla niej kawałek chleba w zupie, wyszukuję miękką kostkę i daję jej jeść z ręki. W pokoju słyhać nasze żucie. Cały dom śpi.

Szejne Sosze staje mi się dziwnie bliską i drogą w tej chwili. Jedyne stworzenie, które czuwa ze mną wśród nocy.

W pamięci wypływają minione czasy, przeszłe, dziecinne, i poczynają osnuwać się wokoło serca miękkimi, ciepłymi zwojami. Tak, jakbym ją wczoraj dopiero przyniósł był do domu. „Będę ci pamiętał łaskę twojej młodości“ — przychodzi mi na myśl cytat.

Biorę ją na kolana i głaszczę tak miętko, lekko, ciepło. Dmucham jej do ucha, jak niegdyś.

— Szejne Sosze, będziesz łasować?

A ona odpowiada:

— Nie i nie!

Potem mówię z nią jak z równym sobie:

— Szejne Sosze, czy nie wiesz, czemu nie śpi się po nocach?

I dlaczego płaczą się po głowie takie dziwaczne myśli, o jakich żaden porządny młodzieniec nie powinien nic wiedzieć?...

Wtem przypominam sobie, że trzymam kotkę. Spuszczam ją, myję ręce i odmawiam błogosławieństwo po jedzeniu.

Po błogosławieństwie zabieram się jeszcze do zrobienia paru zadań z podręcznika Małynina *). W po-

*) podręcznik języka rosyjskiego.



koju cicho. Od czasu do czasu słyhać chrapanie śpiących. Szejne Sosze siedzi naprzeciw mnie. Oblizawszy łapy i wymywszy wąsy po jedzeniu, przypatruje się mojej robocie.

Patrzy mądrze, z miłością, mruczy w ciszy i milczy.

Milczymy więc oboje.

IX.

Rozgardjasz przedświąteczny. Wyprawa
Cirele. Seder. Koniec Szejne Sosi.

Nie wiem czy jeszcze u kogoś był tego roku taki rozgardjasz przed Pesach, jak u nas.

Co, nie wiecie? Cirele się wszak zaręczyła tej zimy. „Szydech“ jest z obcego miasta. W sobotę po Sze-wues ma być wesele i aby nie szyć podczas „Sfiry“ szykuje się całą wyprawę do świąt pesachowych.

Zabrano się do przygotowań znacznie wcześniej. Ja jeszcze nic nie wiedziałem, a w kufrze leżało już trzy czwarte wyprawy: wsypy sztywne jak blacha i poszewki z szydełkowanymi wstawkami, ręczniki wyszyte czerwonymi krzyżykami z niemieckim „Guten Morgen“ i rosyjskim „Chleb-sol“. (Skąd wzięła się do Cirele ta niemczyzna i rosyjszczyzna — nie wiem). Obrus ze grzebnych nici konopnych przetykanych kołami z czerwonej i kwadratami z niebieskiej włóczki, który Cirele zaczęła robić jeszcze przed wyjazdem ojca, (podejrzewam, że w tym obrusie znajduje się „szatnys“ *); cztery poduszki prócz tej, którą wykradziono ojcu w podróży i dwie pierzyny — jedna do podścielania, druga do nakrywania.

Teraz się tylko szyło. Szyto suknie: suknię ślubną, suknię poranną, suknię dla prowadzenia panny mło-

*) mieszanina nici lnianych z wełnianymi.

dej do bożnicy, płaszczyk na lato i rotundę podszytą kotami, na zimę.

A prócz tego wszystkiego czyszczono dom i przygotowywano się do świąt. Na „drugie dnie świąt“ narzeczony był zaproszony do nas.

Kto stał tego roku przed świętami w kramie — nie wiem. Cirele biegła, zwijała się i robiła dużo hałasu. Od krawczyni do krawca, od krawca do przyjaciółki Tiły, na której słowie wszystko polegało, a od Tiły do młodej mężatki niedawno po ślubie, by oglądnąć jej suknię poranną. I zpowrotem do krawca. Wszystkimi się posługiwała, na wszystkich krzyczała. Była wciąż zła, ani do niej przystąpić. I nagle wybuchła płaczem:

— Żeby tak doczekała ślubu, że porannej sukni nie można będzie włożyć.

— Możebyś wstąpiła do Tauby Gerszona zobaczyć jak jej suknia jest uszyta? — odzywa się mama.

— Niedoczekanie jej, bym miała do mej chodzić!

Mama coraz to zamyka sklep „na chwilkę“, pobiegnie gdzieś i już jest zpowrotem. A cała robota w domu — sprzątanie, gotowanie, szorowanie i kaszerowanie pejseczne — spadło na Rywkełę.

Aha, byłbym zapomniał! Ona także dostaje sukienkę na wesele. Wełnianą, pierwszą wełnianą sukienkę w swem życiu. Ale nakazano krawczyni, żeby sukienka nie była ładniejsza od sukien Cirele, aby nie zawstydzić panny młodej. W ostatnich czasach oblicze Rywkele jaśnieje jak słońce, promienieje wdziękiem królowej Estery!

MEIR NOACHKE

Także o mnie nie zapomniano. Szyje się dla mnie sukienny garnitur. Długie spodnie z kamizelką i kapota z małym rozporkiem ztyłu. Mama na wszystko uważa. Już dwa razy byłem do próby i życzone sobie przy tem, by doczekano szyć mi do ślubu. Ale z lżejszem sercem, by także ojciec był obecny. Mamie zaraz stają łzy w oczach.

Dla Czojły mama nabrała na kortowy garniturek w kraty i także kazała szyć go z osobnemi spodniami. Tej zimy Czojłe wyrósł już ze spencerka.

Wszystko to niby na święta. Właściwie zaś idzie o to, żeby było zarazem i na wesele.

My zaś przygotowujemy teraz „sijum“ *). Sijum ma wypaść w samą wigilję świąt. Śpieszymy więc, brakuje nam jeszcze parę stron Gemary i trzeba także przygotować „droszę“, by łamdani się zdziwili.

Wszyscy są zajęci, rzadko kiedy wogóle mówimy ze sobą. A gdy czego potrzeba, posyła się Czojłę. Czojłe jest posłańcem. Biega więc swojemi krzywemi nogami z domu do kramu, a z kramu do bożnicy. Z bożnicy znowu do krawca, od krawca do Tily i zpowrotem do domu.

— Biegnij prędko i powiedz Meirkowi, by poszedł przymierzyć garnitur.

— Skocz do szewca i powiedz mu, by zrobił wszystkie trzewiki na sobotę.

— Idź, zapytaj mamę, co dodać do buraków.

— Biada mi, na śmierć zapomniałam! Pobiegnij

*) Zakończenie serji Gemary.

i zapytaj krawca czy ma koszerne nici do garnituru Meirka. Wszak ma stać przy Torze.

— Powiedz mamie, że potrzebuję piernika na Sijum.

— Prędko, na jednej nodze, weź, zanieś szwacze wstawkę do koszul.

— Leć do Tiły i powiedz Cirele, żeby w tej chwili przysłała do domu.

I tak tam i zpowrotem. Tam i zpowrotem katula się Czójle na krzywych nogach. Nosi, odnosi, pyta i przynosi odpowiedź.

Burzliwy „erew Pesach“. Ale wszystko mija. I oto już wigilja świąt.

Święta już wprowadzono do domu: mace w będni, beczka barszczu kiszzonego w kącie, a nowe suknie w szafie. Ruch wielki. Rywkele jeszcze zrana, obcierając nos, umazała sobie czemś twarz i przez cały dzień nie ma czasu jej obetrzeć. Ale wszystko chyli się już ku końcowi, jak przy wielkim pożarze, który począł przygasać. Ja skosztowałem jeszcze rano przy „sijumie“ trochę „pesachówki“ i przez cały dzień jestem świątecznie nastrojony.

Już drugi rok odprawiam sam „seder“. A odprawiam go z godnością, z szerokim rozmachem, — na modłę ojca. Najpierw Kidusz „zman chejrusejnu“ na głośną świąteczną nutę. Potem wstaje Czójle i także odmawia Kidusz. Obaj wygłaszamy go z Hagady. Wszyscy nadpijają pierwszy kielich, a mama dolewa puhary. „Ho łachma anja...“ oto chleb ubogi... zaczy-

MEIR NOACHKE

nam i podnoszę trzy „mace - szmure“ przykryte pięknie haftowaną serwetką robota Cirefe.

Czojle pyta „fir kaszes“. Najpierw odchrząkuje i zaczyna: „Meir! ich weł dich fregn fir kaszes“ — „postawię ci cztery pytania“. I patrzy na mnie do góry jak na małego ojca siedzącego na „hesebet“, zanurzonego całkowicie w puchowych poduszkach.

I dopiero zaczyna się Hagada. Szeroko, na piękną nutę, na ojcowski nigun. Z początku w bardzo spokojnym tempie, jakgdyby objaśniając każde słowo. Aż do historii raban Gamliela — „maase b' reb Gamliel“. W tym miejscu zmienia się nigun. Taki jest zwyczaj ojca...

Na wspomnienie ojca, zbłąkanego na obczyźnie, przepływa obłoczek smutku przez izbę i splata się z melodją. Do ustępu „dręczyli nas Egipcjanie...“ mama panuje nad sobą. Potem wybucha płaczem. Płacze i utulić się nie może. Szlocha na głos, stawiając nowe „pytania“.

— Czemu i za co, za jakie grzechy? Dlaczego nas Pan Bóg tak skarał, by dzieci były przy sederze bez ojca? I dlaczego ojciec nie ma prowadzić pierwszego swego dziecka do ślubu?

Uspokajamy się i czytamy dalej. Przy „Lefichach“ podnoszę się i mówię donośnym głosem, powoli podkreślając każde słowo: „le-fi-chach, a-na-ch-nu, cha-jo-wim... Tak zwykł mówić ojciec...

Między jednym a drugim ustępem przerywamy i rozmawiamy o ojcu, przy czym sederze siedzi teraz? Jak się czuje przy cudzym stole i co teraz myśli o nas?

I tak nam się miesza: ojciec i wyjście z Egiptu, wyjście z Egiptu i ojciec. Splata się jedno z drugim. Aż poza „goał Jisroel“.

„Rochco“ — teraz myje się ręce i mówi się „seu jedejchem“ — woła głośno Czojłę. Mama przynosi mi do stołu kwartę wody i miednicę. Rywkele niesie za nią ręcznik. Potem mówię na głos „Hamojce“ i błogosławieństwo „jedzenia macy“ i wydzielam wszystkim po małym odłamku „macy - szmure“. Potem „morer“ i „kojrech“ — podług przepisu. Wreszcie zabieramy się do uczyty.

Pierwsze danie — to jaje rozłarte w zimnej wodzie ze solą — jaje na znak ofiary pesachowej. Taki jest zwyczaj mego ojca. Następnie idzie ryba. Ja dostaję głowę, ponieważ jestem najstarszym mężczyzną w domu i pomnę o wszystkich w mem błogosławieństwie.

Lecz gdy zacząłem jeść rybę, wydało mi się nagle, że brak czegoś przy stole. W pierwszej chwili nie mogłem sobie zdać sprawy czego, ale wnet przypomniałem sobie:

— Szejne Sosze!... Gdzie jest Szejne Sosia?

Mama przerywa również jedzenie i pyta: dzieci, kto z was widział Szejne Soszę?

Rywkele i Czojłę zamienili spojrzenia i za chwilę oboje pobledli, zerwali się z miejsc, chwycili lampkę wiszącą w kuchni i wybiegli do sieni. I zaraz rozległ się stamtąd krzyk Rywkele:

— Mamo!! Mamo!!...

Wszyscy wybiegliśmy za nimi.

Tu ujrzeliliśmy okropny obraz:

Szejne Sosze zwisała na sznurku ze strychu. Czerwony języczek wystawał jej z pyszczka. Była dziwnie długa. Wyciągnięta i długa.

Jednym susem znalazł się Czójle na strychu i mimo święta przeciął sznurek sczorykiem. Martwa spadła na ziemię i legła u naszych nóg.

Sprawa miała się następująco: Rano, gdy cały dom był już pejseczny, Rywkele poczęła się niepokoić, by Szejne Sosze nie zawlokła skądś „chomecu“. Naradzała się więc z Czójłem — (Czójle jako doradca!) — i uradzili oboje, by do początku sederu uwiązać kotkę sznurkiem na strychu.

Przed sederem zapomnieli o niej. A Szejne Sosza gdy poczuła na gorze, że już wrócono z bożnicy i że idzie się do stołu, chciała zeskoczyć. Skoczyła i powiesiła się na sznurku.

Staliśmy wszyscy w grobowem milczeniu. Patrzyliśmy na nią z bolem w sercu i łzami w oczach.

Długo tak staliśmy. Uczulem ból jakby obręcz ścisnęła mi serce.

Szejne Sosze!!!... Szejne Sosze!!!... Kto mógł się tego spodziewać? Kto?...

I w tej chwili przewinęła się przed memi oczyma cała moja wczesna młodość.

Była niezwywa i leżała martwa u mych stóp.

Historja o łaciastej świni.

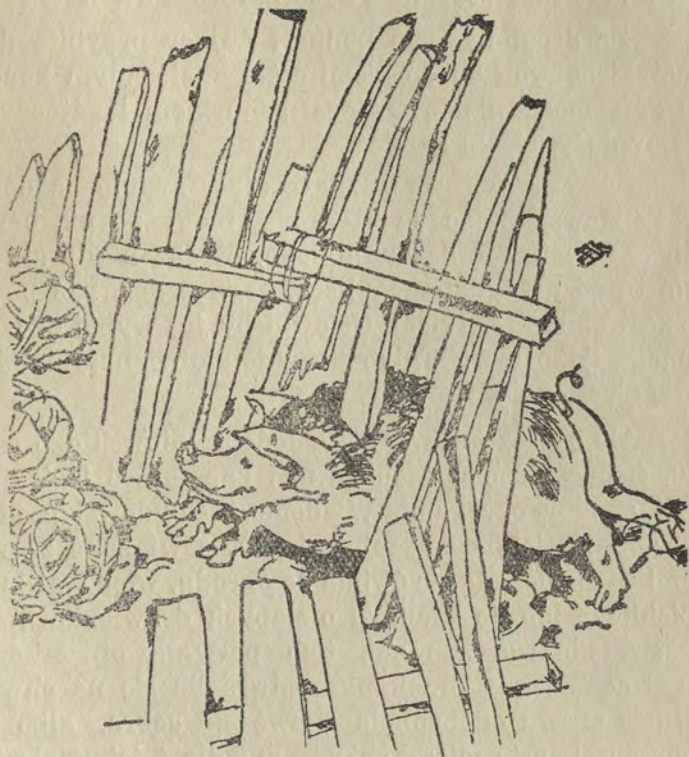
Na jasnym i pogodnym niebie miasteczka zawisła ciężka chmura w postaci łaciastej świni.

Zacząło się to tak:

Ogród szewca Łejzera otoczony był lichym parkanem. Łaciasta świnia, jedna z tych świń, które włóczą się i popasają na żydowskiej ulicy, zwąchała to, natarła całym cielskiem na jedną ze słabszych desek parkanu, wygarnęła trochę ziemi, spłaszczyła się i wślazła do ogrodu.

Na ulicy rozległ się krzyk: „świnia w ogrodzie!“. Drzwi domu Łejzera otworzyły się naocież i cała rodzina wypadła na dwór, chwytając po drodze, co się komu pod rękę nawinęło. Zacząło się bieganie i skakanie po grządkach i brózdach, a gdy wreszcie świnia znalazła się poza ogrodem, wyszukał Łejzer starą deskę, kilka gwoździ, załatał dziurę i wypełnił podkop kamieniem. Wkońcu wypróbował jeszcze parę razy ręką, czy płot się mocno trzyma i wrócił do mieszkania.

Kiedy Łejzer w śpiczastej jarmułce i skórzanym fartuchu przybijał deskę małym młotkiem szewskim, stała sobie świnia nieco na uboczu żując i przeżuując, co się jej w pośpiechu poszczęściło zabrać i przyglądała się jego robocie. I skoro tylko Łejzer przesta-



pił próg, w tej samej chwili była znowu pod ogrodem. Deska była stara, ze starego, politurowanego łóżka, stoczona przez czerwie, gwoździe zardzewiałe — trąciła parę razy ryjem — i już była znowu w ogrodzie.

Za drugim razem podparł Łejzer przybitą deskę patykiem, wbił go do ziemi ostro zaciosanym końcem, u góry mocno go przywiązał sznurkiem i zatoczył do jamy duży, ciężki kamień.

Za trzecim razem uznał Łejzer świnie za dopust boży i wypędzając ją z ogrodu, biegł za nią bardzo długo i zagnał ją bardzo daleko, by już nigdy nie mogła trafić na żydowską ulicę. Biegając zaś, raz po raz rzucał za nią młotkiem. Celował by jej wybić oko. Nic innego tylko oko! Tylko to zdołałoby nasycić jego pragnienie zemsty.

Ale zakosztowawszy raz jeden żydowskiego ogrodu, świnia nie mogła już o nim zapomnieć i ciągnęła ją tam niby obcęgi. Wiadomo — żydowskie płoty plecione są jakby ze szejmesów *), a wiązane z cycesami — nie dostała się świnia do ogrodu, więc trafiła do śpichlerza lub do kramiku o słabych drzwiczkach. Tu przewróciła worek mąki, tam porwała obwarzanek ze straganu, gdy przekupka odwróciła się na chwilę, ówdzie znowu odepchnęła krowę od cebra, albo zastawszy otwarte mieszkanie — wpadła i ściągnęła bochenek chleba z dzieży. Wszystkich już ręce bolały od kijów, którymi okładali ją codziennie. Gdzie była jaka laska lub kociuba, połamano ją na jej grzbiecie, a w niejednym domu wylano na nią gorący krupnik,

*) Strzępy starych modlitewników.

HISTORJA O ŁACIASTEJ ŚWINI

by ją poparzyć i cała rodzina została bez śniadania.

Wreszcie całą żydowską ulicą owładnęło uczucie strachu, nienawiści i bezsilności...

Na śpichlerzach i stajniach zawieszono ciężkie kłódki i przybito nowe haki do drzwi. Gospodynie nie oddalały się ani na krok z domu. Przez cały dzień z okien domów wyglądały głowy, pilnujące ogrodów, a małych dzieci nie wypuszczano teraz samych z jedzeniem na ulicę, żeby „ona“ nie wsadziła im ryja do miseczki, lub nie wyrwała z rączki kromki chleba razem z rączką. I czy to siedząc w mieszkaniu przy jakiej robocie, czy też stojąc w tałesie i modląc się, nadśluchiwali wszyscy w stronę ulicy — gotowi każdej chwili rzucić się do drzwi i na dwór...

Pewnego razu zebrała się cała ulica na naradę, by się zastanowić i postanowić, coby też tu uczynić. Zgodzono się, że trzeba posłać ludzi na gojską ulicę, o wszystkim donieść, upomnieć się o sprawiedliwość i prosić o nią w imię starej zgody i przyjaźni. Nakoniec miano ostrzec „tamtych“, że nikt nie bierze odpowiedzialności za to, co „jej“ się stanie.

I poszli:

Szewe Lejzer, — który był pierwszy w ogniu (Połamał na „niej“ już jakich pięć rękojeści młotków i twierdził, że poznałby ją, choćby ze skóry obłupioną).

Stolarz Szmul, — żyd, który połowę życia swego spędził na wsi i mówi po gojsku, jak rodowity chłop.

Kowal Berl, który pracuje dla mieszczan i zna ich wszystkich po imieniu.

I wreszcie Towje — melamed, — dychawiczny człowieczek w aksamitnym kołpaku i jarmułce pod kołpakiem, zimą i latem odziany w watowany łejbik,

z wprawionemi weń cycesami.

Wszyscy oni — najbardziej poszkodowani obywatele żydowskiej ulicy, posiadacze własnych domów i ogrodów — są ławnikami rady miejskiej i rzucają gałki na burmistrza.

Było to o szarej godzinie. Mieszczanie wrócili z pola, wyprzęgli konie, zatoczyli wozy na miejsce i zasiedli do wieczerzy. Usłyszawszy o żydowskiej deputacji, podnieśli się z miejsc i wyszli jej naprzeciw.

Co najpoważniejsi gospodarze:

„Starszy gminy“ — wysoki i bardzo otyły chłop, który posiada dużo pola i nie uprawia go sam, ponieważ trudno mu się schylać, — „setnik“ — żwawy i ruchliwy chłop — i „dziesiątnik“ — były wachmistrz w czapce z czerwonym lampasem. Za nimi inni poważniejsi i starsi obywatele ulicy. Młodzi stali na uboczu.

Korciło ich mocno, by podejść do gości, ale bali się „starszego“.

Mieszczanie zatrzymali się przy płocie obok domu „starszego gminy“ i jęli słuchać tego, co wysłannicy przedkładali w imieniu żydowskiej ulicy.

Gdy skończyli, kilku mieszczan głęboko westchnęło — przypomnieli sobie pozostawioną na stole wieczerzę. Niektórzy milczeli i spuścili oczy, jakby ze wstydu, że u nich mogło się coś takiego wydarzyć. Wachmistrz zauważył, że za mało dziś dyscypliny na świecie, a „starszy“ ciężko wyburczał: „tak, tak!“ W imieniu wszystkich mieszczan przyznał on, że żądanie jest słuszne i przyrzekł doprowadzić sprawę do porządku. Następnie obie strony pożegnały się uprzejmie, mie-

HISTORJA O ŁACIASTEJ ŚWINI

szczenie odprowadzili żydów do połowy drogi i odprawili ich do domu.

Po drodze przyglądał się szewc Łejzer ich ogrodom i widząc, jak tam wszystko ładnie wzeszło i gęsto zarosło, jak kartofle zaczynają już kwitnąć, przypomniał sobie swoje trzy grędy kartofli, na których nic nie wzeszło i tak go to ścisnęło za gardło, że począł wyzywać i przeklinać aż w dziesiąte pokolenie.

*

Mijały dni i tygodnie i wszystko pozostało po dawnemu. Pomiędzy mieszkańcami obu ulic, wśród których zawsze panowała przyjaźń, zgoda, stanęło coś ciężkiego, niejasnego. Wychodząc przed dom, by usiąść na przyzbie, ciskali w przeciwną stronę złowrogie spojżenia i przekleństwa.

Gdy Krótkiewiczycha, stara pijaczka, bardzo łaśa na żydowską chałę, przychodzi teraz w sobotę do Łejzera, by zdjąć lichtarze ze stołu i wydoić krowę, mówi zerkając chciwie na kawałek kołacza pozostałego od wczoraj na stole:

„Jaż im to ciągle gadam, że z sąsiadami nie trza zadzirać. Jak kto ma niedobrego paciuka, któren szkodę robi, niech go sprzeda i koniec“.

Łejzerowi serce taje, gdy słyszy takie słowa: jest jeszcze na świecie ktoś, kto z nim współczuje. I nie odpowiada nic, tylko bierze Krótkiewiczychę za rękaw i ciągnie ją do ogrodu:

— No, masz, zobacz sama — ja nic nie mówię...
Baba łapie się za głowę i zaczyna się żegnać:

— Boże mój! Boże mój! — Jeszcze czegoś podobnego nie widziała...

Zaś Chaim Łejb syn Zorecha, były bałagula, sędziwy starzec z opuchniętymi nogami w wojłokowych berlaczach i z pergaminowo-żółtą twarzą, o brudnobiałej kołtuniastej brodzie pod czapką z baranich kudłów — żyje na rachunek swej minionej wielkości. Uważa na zaprząg, gdy pan szuka czegoś w kramach na rynku. Służy chłopom za znawcę przy zakupnie konia i t. p. Gdy jednak dorwie się gdzie czasem kieliszka wódki i bułki, wówczas już po drugim kieliszku mięknie, a za trzecim płacze jak maleńkie dziecko i ciągnie za rękaw obcego chłopca:

— Antoś! Bracie Antosiu! Czemu wasze świny niszczą nasze ogrody? Dlaczego macie takie niedobre świny?

Czuje obcy chłop, że stary ma słuszność i chociaż nie pojmuje czego on od niego chce, porywa się doń z całowaniem:

„Zorechow syn“ dziadziń, daj pokój!... przestań...

*

Pewnego razu pod koniec lata, wczesnym rankiem sobotnim, ulica pogrążona była w chłodnej ciszy. Młodzi spali jeszcze smacznie i twardo, a starsi budzili się ze snu, ubierali się, spłókiwali ręce i zasiadali do powtarzania „sedry“ lub zabierali się do wyganiania bydła na paszę.

Nagle na dworze rozległ się hałas i stłumiony krzyk. Z zapartym oddechem wybiegli wszyscy na uli-

HISTORJA O ŁACIASTEJ ŚWINI

cę. Kobiety w czepkach nożnych, mężczyźni w świeżych, białych koszulach i tałas-kotenach. Gdy zaś przybiegli do miejsca, skąd hałas dochodził, ujrzeli — ogród, ogród Tojwji-mełameda! W parkanie było kilka desek podważonych, a wewnątrz znajdowała się — łaciasta świnia! Zaś w ogrodzie — spustoszenie! Tojwje w jarmułce i w białych kalesonach i jego żona z kołdrą na ramionach, oboje z kijami w rękach, gonią za świnia. Gonią ostatkami sił. A świnia ich prowadzi z grzędę na grzędę, z brózdy na brózdę, depcąc i zrywając po drodze co się tylko dało...

Tłum rzucił się do ogrodu, chwytając co komu pod rękę wpadło i wkrótce świnia zwróciła się ku wyjściu. Powoli, całkiem spokojnie posuwała się naprzód i wyłazła przez wyłom w płocie, przy którym ludzie stali z obu stron z podniesionymi do kopnięcia nogami. Wsłuchując się w uderzenia i kopniaki, któremi ją ze wszystkich stron hojnie częstowano, odeszła w bok, wypluła ze siebie całą górę kartofli, które zdążyła porwać w ostatniej chwili i poczęła je jeden po drugim przeżuwać.

Gdy świnia opuściła już ogród, przypadł Tojwje czołem do najbliższego piotu. Nie mógł tchu złapać, nie mógł słowa wymówić; sapiąc jak miech kowalski, trzymał rękę na sercu i drżał jak liść.

A gdy żona Tojwji uświadomiła sobie kto spowodował całe zbiegowisko i na czyje to nieszczęście gapi się taki tłum ludzi, uderzyła się nagle w głowę obu pięściami i wybuchnęła głośnym płaczem.

Wszyscy stali z opuszczonemi głowami jakby



HISTORJA O ŁACIASTEJ ŚWINI

przykuci do swoich miejsc i milczeli. Czuli, że niełaska boża spadła na ulicę, a nikt jej ostać się nie zdoła...

*

Z pośród małych, cichych domków, otulonych latem w zieleń wysokiego tyczkowego bobu, wyglądał na ulicę czerwony, blaszany dach dużego drewnianego domu o kolorowych okiennicach. Przed domem znajdowały się drewniane kloce i kowadła, a ściana nad drzwiami zakopcona była od dymu.

Tam mieszkali po obu stronach domu kotlarze — dwaj bracia i z półtora tuzina ich synalków, wspólnego chowu. Starzy, — tędzy Żydzi o sino-czerwonych karkach i białych, zzieleniałych od kwasu solnego brodach — pracowali przez całe życie po browarach i gorzelniach, a teraz powiadano o nich, że pędzą pod domem małą gorzelnię dla własnego użytku.

Żyli i pracowali zawsze na spółkę. Obecnie pracowali synowie. Starzy już tylko zarządzili i rozkazywali. A gdy który ojciec coś rozkazał, to choćby w syna zaraz na miejscu piorun miał uderzyć, musiało to w mig być wykonane. Gdy wypadło wykuć kocioł, stawało rzędem pięciu tęgich chłopczysków i brali do rąk pięć polerowanych młotów. Zaczynał najstarszy, potem drugi i trzeci — wedle lat:

Raz... dwa... trzy...

Najpierw niby cicha, stłumiona przygrywka. A im dalej, tem szybciej, silniej, żywiej. Za chwilę już jakby wichur szumił wokoło nich. Nie widać już było rąk ni młotów, tylko w powietrzu coś świstało, a wdał płynęła zdrowa, wesoła muzyka młotów; docierała aż do

lasu i stamtąd powracała echem.

Ojcowie stali z boku, rośli z uciechy i raz po raz przestrzegali:

— Chewre, nie palić się! Nie za gorąco, spalicie kocioł!

Owego chłodnego poranku, starzy kotlarze byli również wśród tłumu oplakującego ruinę Tojwji-mełameda. A gdy żal im mocno serce ścisnął, rzucili krzywym, gniewnym okiem w stronę własnego domu, gdzie ich synowie leżeli jeszcze w sianie na strychu i smacznie spali:

— Mamzejrim! — Bachory! — Nie może was to djabeł porwać!...

Za nimi skierowali wzrok w stronę czerwonego dachu wszyscy inni i spoglądali nań pełni otuchy, pragnienia zemsty i niejasnej nadziei. Patrzyli nań, jakby na jedyną gwiazdę zbawienia, która świeciła im w ów sobotni poranek...

*

Stało się to w nocy... żywa dusza tego nie widziała i nie słyszała, ale wszyscy wiedzieli, domyślali się co, kto, jak i — milczeli.

Pierwsi odkryli to parobcy, którzy wracali na koniach z noclegu w polu i o pierwszym brzasku dnia przejeżdżali przez rynek. I zaraz na gojskiej ulicy powstał ruch. Kobiety porzuciły krowy wśród dojenia, mężczyźni zostawili nawpół zaprzężone konie i gromadą ruszyli na rynek. Za nimi małe chłopaczki i dziewczątka w samych koszulinach, a jeszcze mniej-

HISTORJA O ŁACIASTEJ ŚWINI

sze — goluteńkie, jak je matka urodziła.

— Żydzi zamordowali świnie!!!

Otoczono ją kołem, oglądano, przewracano i przypatrywano się białej pianie, zastygłej dokoła pyska. Hałas zaś i pomruk wzrastał z minuty na minutę; rozbrzmiewał po pustym, uśpionym jeszcze rynku, jak dudnienie w próżnej beczce:

— Hu, hu, ahu!...

Wiele palców pokazywało tam, na czerwony dach, gdzie chłopczyka byli już na nogach i uzbrojeni w kawały sztab żelaznych, czatowali, wyglądając, przez okienko strychowe w stronę rynku.

Na żydowskiej ulicy ludzie wyskoczyli z łózek w samych koszulach tylko, garnęli się we mgle i półmroku do okien, stawali na palce i drżąc z zimna podpatrywali przez szpary okiennic co się dzieje na rynku.

...Ale do niczego złego nie doszło. „Starszy“ — że był człowiek sprawiedliwy — uznał słuszość wyroku i rzekł:

— Słusznie! Już to dawno powinni byli zrobić.

Do południa zajechał wóz, władowano świnie i w uroczystej procesji całej ulicy gojskiej powieziono ją do domu. Żydzi podnieśli stopy, otworzyli kramy i jakgdyby dopieroco dzień nastał, puścili się z tałesami pod pachą do bożnicy.

Dnia tego odmawiano „Szachris“*) razem z „Mynchą“**) a doszedłszy do ustępu „W'lamalszi-

*) Modlitwa poranna.

**) Modlitwa przedwieczorna.

nim“, modlący się zaprawili bardzo znacząco słowa :

„W'choł horiszo kerega tejwejd“... „A bluźniercy niechaj nie mają nadziei, a wszyscy niegodziwi w okamgnieniu niech zginą“...

I jeszcze przez długi czas potem, gdy Żydzi-handlarze i goje-mieszczanie zasiądą wspólnie w niedzielę lub inną jaką „chogę“ na kłocu przy rynkowej studni, rozmowa urywa się nieraz na samym początku. Na wspomnienie tamtej „historji“ głowy zwieszają się nisko i nastaje milczenie...

Żółta kokoszka

W izbie stolarza Załmena panowała wielka nienawiść do żółtej kokoszki o dropiatych skrzydłach, którą Lea Gitla kupiła jeszcze zeszłego roku u chodlińskiej baby za pięćdziesiąt pięć groszy.

Lea Gitla wciąż klnie i złorzeczy tej babie. Wydaje się jej, że to nie była baba, tylko czarownica; stara jęzda o bezzębnych ustach, zapadniętych policzkach i śpiczastej, wystającej brodzie...

A łapę ci miało to babsko, że niechby jej uschła!...

Zaś Załmen, człek daleki od rozrzutności — złotówka, czy pięćdziesiąt groszy, stanowią u niego majątek — zaklina się na swoje zdrowie, że gdyby się Boga nie bał, chwyciłby listwę, piłę, siekierę, albo hebel, rzuciłby go kurze w głowę i byłoby po całej biedzie...

Tak to ją znienawidzono.

A nienawidzono żółtej kokoszki zato, że była raczej czartem, jakimś wcielonym djabełem, lub złym duchem, aniżeli kurą. Niech Pan Bóg broni: Całymi dniami nie widywano jej w izbie! Gdzie jej tam dom w głowie? Na co jej dom?

Gdy Lea Gitla przyniosła ją z targu, a było to na początku lata, omotała jej swoim zwyczajem około prawej nóżki kawałek czerwonego sycu, naznaczyła jedno jej skrzydło farbką od bielizny i siedem razy okręciła ją około nogi stołowej, mówiąc przytem:

„Tak, jak ten stół stoi i nie rusza się z miejsca, tak i ty obyś była przywiązana do domu“...

Nadrobiła dla niej kawałek chleba i puściła ją wolno po izbie.

Przez parę dni kura trzymała się izby. Potem ktoś otworzył okno, wyskoczyła na dwór i od tego dnia — wolny ptaszek. Wszędzie jej pełno. Gdzie jaki ogród — kura stolarza Załmena wygrzebuje zeń fasolę, wygarnia cebulę, wydziobuje ogórki... Cała ulica już sobie płuca nadszarpała, wołając za nią przez cały dzień. „a husz, husz, a husz“... Wszyscy upadali ze zmęczenia, goniąc za nią i ciskając w nią wszelkimi kamieniami, jakie znaleźli po drodze. Więc życzyli zagłady takiej kurze i gospodarzom, którzy kurę taką trzymają...

Gdy przyjdzie przed dom, to szuka i znajdzie kruszynkę, lub złapie ziarnko, które jej rzucą. A jeżeli nie, to zastanie dziecko, siedzące na przyzbie z miseczką krupniku albo kromką chleba z masłem i chwyci mu ziemniak z miseczki, lub dziobnie chleb w rączce. Dziecko podnosi krzyk, płacze i drze się wniebogłose, a jej już niema.

Gdzie nocuje, tego nikt nie wie. Coraz to nowe sobie miejsce obiera: na drzewie, na płocie, na jakimś dachu, na czymś strychu.



Gdzie się niesie i gdzie podziewa swoje jaja, tego nikt jeszcze nie wyśledził. Często Lea Gitla, znajduje w ogrodzie skorupę z jaja i aż jej się serce kraje: pewnie kura sama je wypiła...

W zimie, gdy każda stateczna kura siedzi w domu, w cieple i dosycie i niesie się na swoim miejscu, — żółta kokoszka przebywa gdzieś na dworze, djabeł wie gdzie. I w największe mrozy i zawieje, kiedy psa wściekłego żal wypędzić na ulicę, ona spaceruje sobie w najlepsze po ślizgawicy i grzbie w śniegu, jakby nigdy nic... Rano przychodzi pod drzwi, przemarznięta, z czarnym odmrożonym grzebieniem, trzęsie się z zimna, staje i czeka. Gdy Lea Gitla coś jej rzuci, łapie i mało się nie udławi, łykając pośpiesznie i wciąż się przytem nieufnie i ostrożnie oglądając, czy się czasem kto nie zakrada, by ją schwytać.

Kiedy ją wreszcie zwabią czasem do izby, wznosi się do góry i szybuje ponad głowami. Tu zerwie komuś czapkę, tam czepek, ówdzie wydrapie komuś oko. Skoczy na półkę i strąci garnek lub kilka talerzy, wkońcu wybije parę szyb w podwójnem oknie i już jest na dworze...

Nieraz w lecie, przed wieczorem po pracy, przychodzi Zalmenowi ochota pośledzić za nią, gdzie też nocuje...

Znajduje ją i poczyną za nią postępować krok w krok. Zakrada się za czyjaś stajnię, by go nie zauważyła i patrzy za nią z za węgła, jednym okiem.

Ale że kokoszka to mądre stworzenie, poczuje więc wnet, że ktoś ją śledzi i poczyną zmykać. Prze-

ŻÓŁTA KOKOSZKA

skakuje przez płot felczera Moszka i za chwilę znajduje się w jego ogrodzie. Zalmen za nią. Chowa się między grzędy — Zalmen oka z niej nie spuszcza: Nadśluchuje, gdzie zieleń szeleści i wciąż chyłkiem idzie za nią. Tymczasem zaczyna się ściemniać i nadchodzi pora „Minchy“. Zalmen bierze więc do garści trochę piasku, przeciera sobie palce i poczyną odmawiać „Ktejres“ i „Aszrei Jejszwei“, a żółta kokoszka prowadzi go z ulicy na ulicę, przez płoty, ogrody, stajnie, śmietniki... Tymczasem na niebie ukazują się gwiazdy i wkońcu Zalmen daje za wygraną. Spluwa w jej stronę i zawraca do bejs-hamedraszu na „Mariw“ i zniawia dwie „szemojne - esry“ na raz...

Niekiedy po długim szukaniu znajdują ją wieczorem siedzącą na jakimś strychu lub drzewie. Któryś z łobuzów wspina się wówczas na drzewo i zdejmuję ją. Kokoszka podnosi przytem taki krzyk i pisk na całą ulicę, jakgdyby ją kto zarzynał. Na ten krzyk ludzie zrywają się ze snu, wyskakują z łóżek i w śmiertelnym przestraszach wybiegają nago na ulicę.

Dowiedziawszy się, co zaszło, dają upust swej złości i klnąc, kładą się zpowrotem spać.

Do domu odnosi ją cała kompanja: Każdy ręki przykładą — „Daj ją mnie, tobie się wyrwie“ — woła jeden. — „A czy ty wiesz, jak trzeba kurę trzymać?“ — odpowiada inny.

Gdy przyniosą ją do izby, Lea Gitla zamyka ją do kojca za piecem, by tam siedziała, dopóki nie znie się się. W ostatniej chwili sadzają ją na łóżko, podsuwają jajo na podkładkę i przykrywają sitem. Na sito

kładą coś ciężkiego: Siekacz, „tajcz chumesz“ lub hebel z warsztatu. Wszyscy stoją przytem dookoła i czekają — przynajmniej jednego jajka chcieliby doczekać się od niej... Tymczasem komuś zabraknie cierpliwości, chciałby zobaczyć, czy się przypadkiem już nie zniosła...

Kokoszka w okamgnieniu wyskakuje z pod sita i — prosto do szyby, a wszyscy za nią.

Zaczyna się bieganina:

Na czele Zalmen. Za nim Lea Gitla, dzieci, terminator Zalmena i cała zgraja chłopców z ulicy. Nadchodzi ktoś z naprzeciwka, przysiada, nastawia poły, otwiera ramiona. Tymczasem kokoszka jednym susem przeskakuje mu przez głowę i biegnie dalej. Pogoń nie ustaje, wszyscy się już pomęczyli, tchu nie mogą złapać, sapią ciężko: ha, ha, ha... a kokoszka także zatacza się już jak pijana, wywróciła oczy, rozpostarła skrzydła, otworzyła dziób i wysunęła języczek — powietrza brak...

Tuż, tuż przysiadzie, tuż, tuż opadnie, oto Zalmen już ją trzyma, przyparł do ściany i wyciąga ręce. Wszyscy patrzą w jeden punkt i mają już na ustach okrzyk: „złapana?!“.

Aż tu raptem kokoszka wymyka się bokiem z ręki Zalmena, a on sam wyciąga się na ziemię jak długi... I za chwilę kokoszka znajduje się już pod ogrodem popa. Przeskakuje przez płot i tam pozostaje.

Pop połamałby ręce i nogi temu, ktoby się ośmielił wtargnąć do ogrodu, a psy ma, jak wilki wściekłe. I tak jajo przepada...



Ileż razy rodzina dochodziła do wniosku, że taka kura nie nadaje się wogóle dla porządnego domu. Trzeba ją poprostu wziąć i sprzedać, pozbyć się jej i koniec. Ale cóż z tego, kiedy zawsze chuda jest jak szczapa: skóra i kości. Nie zdarzyła się dotąd taka chwila, by można było odebrać za nią włożoną gotówkę. Być zresztą może, że możnaby za nią dostać jakich półtora złotych, ale zanim dochodzi do sprzedaży, złość tymczasem mija i cały rachunek przedstawia się inaczej:

Kura przywykła do domu — choćby z dziesiątej ulicy sama przyjdzie — nie daje się nikomu obcemu złapać, niesie się codnia (tak przypuszczano)... Karmiło się ją przez cały rok, a teraz wziąć i sprzedać ze stratą,...

I nagle, w jaki tydzień po Purim, żółta kokoszka przepadła zupełnie. Z początku nikt tego nie zauważył, ale gdy upłynęło kilka dni, a nie było jej widać, zaczęto się niepokoić i pomyślano, że przecież coś w tem musi być.

Zalmen przyjął stratę mężnie. Uznał sprawiedliwość takiego zrzędzenia Opatrzności i rzekł: „A szejne rejne kapore“, — „niech ta kura będzie odkupieniem i ofiarą za nasze grzechy!“ —

Chwała Bogu, żeśmy się pozbyli darmożjada z domu...

Ale Lea Gitla — jest tylko kobietą — więc serce jej boleje nad stratą: Akurat teraz, gdy potrzeba jaj na święta, taka kura na złość przepada! Mogłaby pójść o zakład, że właśnie teraz zaczęła się nieść. W ostat-

ŻÓŁTA KOKOSZKA

nich czasach wciąż chodziła i gdakała.

I porzuciła Lea Gitla wszystkie swe zajęcia, chodziła po ulicach, przyglądała się każdej napotkanej kurze i wciąż wołała: „tiu tiu tiu, put, put!...” Wypytywała wszystkich sąsiadów i znajomych, czy czasem kto nie widział żółtej kokoszki z dropiastymi skrzydłami i uciętym ogonem. Gdy zaś zobaczyła gdzie podobną kurę, nie spuszczała jej z oka i szła za nią, aż się dowiedziała do kogo należy, jak dawno ją kupiono i ile zapłacono za nią...

A stolarz Zalmen, choć nibyto rad, że znikła i nie sobie z tego nie robi, a jednak, idąc do bejs hamidraszu lub zpowrotem, ogląda się wciąż po drodze, czy jej czasem nie zobaczy. Zachodzi na czyjeś podwórze, zagląda do cudzej stajni — a nuż ją gdzieś zastanie...

Na piąty dzień, gdy wszyscy się już prawie jej wyrzekli i nóg nie czuli ze zmęczenia po daremnym szukaniu — nagle sama przyszła. Nadęła się, nastroszyła pióra, rozpuściła skrzydła, stanęła w drzwiach i prosi o jedzenie...

Po ulicy rozeszła się wiadomość, podawana od okna do okna:

— Kura przyszła! — I wszyscy się śmieją...

Lea Gitla rzuciła jej natychmiast trochę ziarna. Zrozumiała, że kokoszka wysiaduje gdzieś jaja i zależało jej na tem, by się jaja nie przeziębily. Z wielkiej radości to śmieje się, to przeklina.

Tymczasem kura prędko zjadła i już jej nie było.

Potem jęła przychodzić co drugi lub co trzeci dzień. Na dworze czuć już było nadchodzącą wiosnę. Kury wypuszczone na dwór szukały sobie ziarenek pod stopionym śniegiem, grzebały w śmieciu i kokietowały koguta z sąsiedztwa.

Ale żółta kokoszka ani spojrzy w ich stronę. Jak gdyby ich wcale nie znała. Staje u drzwi, woła gospodyni, a gdy ta jej coś rzuci, szybko wybiera i już jej nie widać.

Akurat w sam przeddzień świąt, około południa, żółta kokoszka ukazała się nagle z poza ogrodu popa, a za nią postępował cały orszak krągłych, miękkich, żółciutkich i puszystych kurczątek o zarośniętych nóżkach. Za nimi ruszyły z miejsca dzieci całej ulicy, towarzysząc im z krzykiem i śmiechem aż do domu stolarza Zalmena.

Za chwilę cała ta gromada wtoczyła się z piskiem przez otwarte drzwi, katulając się i przeskakując przez próg. A oto już są w środku i cała izba napelnia się takim kwokaniem i piskotaniem, że ogłuchnąć było można.

Lei Gitli nagle wszystko poczęło lecieć z rąk. Wie, że muszą być porządnie głodne i rzuca im, co ma pod ręką: trochę macowej mąki, migdałów, trochę cynamonu z moździerza... Wreszcie upiekła trefne jajko, pokruszyła je i wysypała na podłogę, założyła ręce na piersi i patrzy z radością, jak kokoszka rozdrabia jajko dzióbem na drobniutki maczek, rozgartuje je nogami i zwołuje wszystkie dzieci: „pul, pul, pul...”

ŻÓŁTA KOKOSZKA

Małe słuchają wezwania, skupiają się wokół matki, patrzą na nią i naśladują: rozgartują pokarm nóżkami, każde sobie...

Potem kokoszka uczy je jeść, poddaje im ton i poczyna stukać dzióbem o podłogę. Małe podchwytną, wyuczają się szybko i wkrótce izba napęlnia się melodją stukoczących dziobków. Dziobią i stukają wszystkie naraz, zgodliwie, głośno, pilnie, póki się nasycą... Skoro tylko pokazała im sposób, żółta kokoszka przestała sama jeść i tylko patrzy na swoje małe, pieczołowicie, a troskliwie, macierzyńskiem okiem, pełnem miłości.

Zalmenowi cała rzecz wielce się podobała. Nie wie, co wpieryw począć z radości, więc zaczyna liczyć kurczęta i coraz się myli; raz naliczy piętnaście, to znowu czternaście... promienieje cały z zadowolenia i prosi żonę:

— Leje Gitl, weź, daj im coś! Ale ja ci wiedziałem, że przyjdzie. Z pod ziemi ci się wydrapie i przyjdzie. Takie lichy nigdy nie przepadnie...

A wieczorem, gdy Zalmen wraz z rodziną odprawił seder przy stole, żółta kokoszka ze swojemi dziećmi siedziała pod łóżkiem naprzeciwko, na podściółce ze świeżego siana. Szeroko rozpuściła skrzydła i ogarnęła niemi wszystkie swe kurczątko, przytulone jedno do drugiego i cichutko pipeczące. Od czasu do czasu któreś z nich wysuwało główkę, patrzyło przez chwilę na nowy świat boży i zpowrotem chowało się pod skrzydła matki.

Gdy zaś ucichło przy stole i wszyscy pomęczeni usnęli, z pod łóżka dochodziła wciąż jeszcze cicha, miękka i słodka nuta świąteczna, dobywająca się z pięććwierci tuzina niewinnych małych dzióbków. Nuta ta rozpływała się w powietrzu, jak ciepła, jasna oliwa i napelniała dom stolarza Zalmena pokojem i błogością.



Laban Haarami

Było po Sukoth. Zimno, mokro, niebo zapłakane, pochmurne i mętne, niby powleczone starą brudną płachtą. I deszcz drobny mży, kropi i szemrze cicho dzień i noc, noc i dzień, na nudną, jednostajną nutę. Nikt nie pamięta, kiedy to się zaczęło, a zapytać kogo — nie uwierzy też, by się mogło kiedyś skończyć. Jakgdyby tam w górze stary gontowy dach nieba począł przeciekać.

Krótkie, posępne, zaziewane dni. Jeszcze się nałężycie nie rozjaśniło, a tu już pora na Mynchę. Potem zaś niebo, ziemia i ciemność zlewają się w jedną czarną bryłę. A błoto, a droga — ciężka jak śmierć. Kto powróci do domu z całym wozem i żywymi końmi, może się uważać za ocalonego cudem. Kto wyjedzie

w piątek poza miasto, może być pewnym, że wypadnie mu szabasować gdzieś w drodze, w pierwszej lepszej wiosce, którą Bóg nadarzy. Będzie witał sobotę w chłopskiej chałupie, z twarzą odwróconą od ikony z czerwoną lampką, a potem odmówi Kidusz nad kubkiem mleka i odprawi ucztę sobotnią o bochenku czarnego chleba. Tymczasem w domu mają zepsute całe święta. Niepokój nęka rodzinę, pełni strachu oczekują wieczora i końca soboty.

Przechodząc ulicą, trzeba się przemykać bokiem, wdrapywać się na ściany i parkany, chwycić się futryn czyichś okien, płotów, ogrodów, gdzieś oderwie się deskę, gdzieś znowu trafi się kamień po drodze, zrobi się kładkę i tak z trudem przedostaje się na drugą stronę.

Dzieciarnia ma zabawę. Miesza błoto, tańczy po kałużach, dostaje sine opuchnięte rączki, a noski i uszy jak buraki. Gdy zaś któremu trafi się przygoda i nie może buciąt z błota wydobyć, zaczyna zaraz płakać i dopóty płacze, aż ktoś nadejdzie, lub ktoś w pobliskim domku usłyszy i pospieszy mu na ratunek.

Bałęgułe stąpa obok próżnego wozu i coraz plecy podeń nastawia. Gdy po drodze trafi się kałuża, wskakuje jedną nogą na oś przedniego koła i krzykiem oraz parą tęgich batogów dodaje koniom animuszu: — hej, hej, wio, wio!... I tak wydostaje się z kałuży.

Po Sukoth oddano mnie do nowego mełameda. Cheder mieścił się na podwórzu bożniczem, w tylnej izdebce starego Bejs Hamidraszu. Studjowaliśmy teraz „Ešrym wyarba“. Na wieczór nie pozostawaliśmy

LABAN HAARAMI

w chederze, albowiem do naszego domu był spory kawał drogi przez rynek i ulicę Meira, a tam można było ugrzęznąć i zatonać w błocie.

Gdy jednak czasem przyszło lub przymarzło zostawaliśmy na wieczór w chederze i wtedy ojciec, wracając z rozjazdów, wstępował po nas.

Pewnego razu, wróciwszy przedwieczorem do domu, zauważyłem stojącego w półmroku przed drzwiami małego, chudego źrebaka w białe i czarne centki. Uwiązany był do słupa po rozebranej kuczce i miał rudawą grzywkę, niby warkoczyk małej dziewczynki. Krótki, dobrze owłosiony ogonek, wtulił między nogi, głowę zwiesił, jakby szukał czegoś na ziemi, skulił się i drżał jak liść... Obejrzałem go dobrze ze wszystkich stron, pokręciłem się koło niego tędy i tamtędy, pogłaskałem go po szyi i tym sposobem zawarłem z nim po ciemku pierwszą znajomość.

Gdy wszedłem do izby, było już prawie ciemno, ale o zapaleniu lampy nikt jeszcze nie myślał. Mama siedziała przy wystygłym piecu, obierała ziemniaki na wieczерzę, była zła i milczała. Ledwo ją było widać w ciemności, zato w sposobie obierania ziemniaków czuć było gniew.

W mglistem, gęstem powietrzu szarej godziny unosiło się coś ciężkiego, niejasnego. Ojciec milczał, nie odzywał się ani słowem, jakgdyby coś ukrywał. Potem zmówił pocichu „Aszrei“, zabrał się do „Szemojne esre“, zamyślił się i jak stanął, tak pozostał na tem samem miejscu, zapatrzony w jeden punkt, jakby za-



LABAN HAARAMI

stygły; można było całkiem zapomnieć o jego obecności.

Zaczęliśmy na siebie mrugać. Rzuciliśmy jednym okiem na mamę, drugim na ulicę, na źrebaka, potem znowu na mamę i... sza!... cicho!...

Mama milczała, jakgdyby się sama znajdowała w izbie. Słyszeć było tylko pilne krajanie noża, od czasu do czasu pluśnięcie ziemniaka do garnka z wodą i znowu sykanie noża, strugającego nowy ziemniak. Ojciec skończył „Szemojne esre“. Ostrożnie, na palcach, wycofał się tyłem od wschodniej ściany aż na środek izby. Tu raptem zatrzymał się i stanął na miejscu, jakby nagle wpadł przez sufit.

Poczuwszy go znowu w izbie, mama nie mogła się już dłużej powstrzymać i wycodziła przez zęby:

„Mecyję złapał! — Jego interesa! Jeszcze mu jednego zdechlaka brakowało w stajni, już dawno nie miał do czynienia z oprawcami. Przecież taki nowy żarłok konia i krowę nam zagłodzi...“

I znowu nastąpiło milczenie.

Ojciec nie zaraz odpowiedział. Modlił się dalej po cichu, a doszedłszy do „olejnu“ splunął z wolna, jakgdyby się zastanawiał, co ma odpowiedzieć, a może chciał zatrzeć słowa mamy milczeniem. Potem zaczął miękko, ostrożnie:

— Przecież ty nie wiesz, co za koń z tego wyrośnię. Popatrz no na jego kostki, na tę jego pierś! Ja, ano, sam nie wiem, jak to się stało, ale gdy go ujrzałem na targowicy, wówczas jakby mnie kto urzekł.

Alboż „oni“ znają się na koniach?! Toż to melamedzi — cheder im dać, a nie porządnego konia! Powiedz sama, miałem może dopuścić, by sprzedano go na skórę?... Co ci to szkodzi? Niech się kręci jeszcze jedno bydłę koło domu! Te cebry, które twoja krowa — wielka pani — zostawia świniom całego miasta na żer, dla niego zupełnie wystarczą...

Nie rozumieliśmy ojcowskich planów, a pretensji matki nawet nie chcieliśmy zrozumieć. Nas cała ta historia tylko dziwnie cieszyła i rozweselała. Mały źrebak, nasz własny, u nas w stajni! I taki ładny — czarny z białem. Wygramoliliśmy się wszyscy na ławkę pod oknem i wyglądaliśmy przez zamgloną szybę na ulicę. Już noc, a w szarej mgle stoi i trzęsie się małe, chude, milutkie stworzenie. Trąciliśmy łokciem jeden drugiego i po cichu rozpływaliśmy się z radości:

— Widzisz jaka główka, jakie nóżki cieniutkie, a oczy jakie duże i siwe, całkiem takie, jak ma mój stary rebe Josi Meir...

Ojciec zbył krótko „Mariw“ i zaraz zabrał się do sporządzania w stajni przegródki dla źrebaka. Trochę miejsca ujął koniowi, trochę krowie i tym sposobem nowy przybysz znalazł umieszczenie w naszym domu.

Mama mruczała jeszcze przez chwilę, potem utarła sobie usta i zamilkła. Wiedziała, że gdy przebierze miarę, wówczas ojciec może „wyskoczyć z zaprzęgu“ i wszystko gotowe się na niej skrupić.

Gdy stał się naszym już naprawdę (z początku

LABAN HAARAMI

nie wierzyliśmy temu, wciąż obawialiśmy się: kto wie, a może?...), poczęliśmy się zastanawiać nad tem, jakiego mu nadać imię. Szukaliśmy jakiegoś ładnego stosownego imienia.

Każdy proponował coś innego, zaś brat mój Selig, który właśnie studjował Chumesz z komentarzem „Raszi“, doszedł do wniosku, że ponieważ on jest centkowany, a Laban z Aramu oszukał naszego praojca Jakóba przy pomocy centkowanych — siwych, rudych i brunatnych — owiec, przeto należy nazwać naszego żrebaka Laban Haarami.

— Laban Haarami! Laban Haarami! — podchwycili wszyscy. — Jakie ładne chumeszowe imię...

Także ojcu imię się podobało. Zimowe „sedry“ znał on prawie na pamięć. Wszystkie historie o siedmiu królach i królu Sodomy; o tem, jak w kraju panował głód, Abraham uciekł do Micrajim i zabrał ze sobą pramatkę Sarę w skrzyni, (zrobił z niej bagaż), o tem, jak Jicchok pobłogosławił Jakóba zamiast Eza-wa (oszukał się stary szpak); o tem, jak Jakób uciekł z domu, a Laban go tak pięknie przyjął, ścisnął go i całował. (czemu nie? Miał stare panny na wydaniu), podstawił mu Rachełę zamiast Lei (cygańskie sztuczki) a potem znowu chciał go oszukać na owcach, na które tamten biedaczysko uczciwie zapracował (tfu — tak się postępuje z rodzonym bratankiem zabłąkanym na obczyźnie?! — Chewre, powiadam wam zawsze był szwindel na świecie)...

W długie zimowe wieczory piątkowe ojciec lubił przedzierać się trochę, a potem wstawał, przecierał

oczy i szedł do bożniczki rzeźników, by posłuchać wykładu melameda reb Lejzera — objaśniającego Chumesz dla prostaków...

Gdy usłyszał o imieniu, które wymyśliliśmy dla żrebaka, łzy mu w oczach stanęły: — Ano, dobrze, niech będzie Laban Haarami! — I po twarzy jego rozlał się uśmiech zadowolenia. Gdyby się nie wstydził, byłby nas wszystkich uściskał i wyczałował z radości.

Od owego dnia Laban Haarami był na ustach wszystkich:

— Laban Arami je, Laban Arami pije, Laban Arami i Laban Arami.

— „Wej mir!“ . Na śmierć zapomniałem — od samego rana Laban Arami jeszcze nie pił!“.

Co chwila ktoś mu coś przynosił: Ten kawałek chleba, tamten trochę krupniku lub kawałek obwarzanka. Każdy go głaskał, szcotokował, cesał... A on tak się do nas przyzwyczaił, że jadł nam z ręki. Najpierw wachał, przebierał wargami — plop... plop... plop — jakgdyby groch robaczywy przebierał. A potem raptem zmruży jedno oko, capnie kąsek i już go żuje...

Pokochaliśmy go wszyscy nadzwyczajnie. Kiedy tylko który z nas miał wolną chwilę, biegł zaraz do stajni. Bawiliśmy się z nim i rozmawialiśmy, jakby z równym sobie. Zwłaszcza zaś przywiązał się do niego ojciec. Wstanie bywało rano i jeszcze zanim ręce oplókał — już był w stajni.

Zdaje mi się, że gdyby się ojciec nie wstydził, toby

LABAN HAARAMI

przy modlitwie po jedzeniu, do słów „Niechaj błogosławi mnie, moją małżonkę i dzieci moje“ — dodawał stale „i Labana Haarami, aby się chował i zdrów był!“.

W mieście zaczęto o nim mówić. Ludzie sobie opowiadali, że u nas w stajni rośnie majątek — koń wartości półtorasta rubli. Niektórzy zazdrościli nam i wyrzekali: „A to ci szczęście! Kupił zdechlaka za pół rubla, wykarmi go byle czem, łupą ziemniaczaną, łyżką krupniku — i wyrośnie mu majątek“.

Przez całą zimę nikt go nie widział. Ojciec nie wpuszczał nikogo do stajni, pilnował bramy, a gdy sam wchodził, zamykał za sobą drzwi, jak by się obawiał przeciagu. A przecież czuć było, że tam wewnątrz kryje się głęboka tajemnica, bardzo dla nas ważna i cenna. Przenikała ona przez ściany stajni. Przechoząc obok, ludzie zwalniali kroku. Nieme ściany szepotały o czemś, mówiły coś, opowiadały. Nikt tej mowy nie rozumiał i dlatego właśnie tajemnica stawała się jeszcze większa, ciekawsza:

Któż to wie, co się po tamtej stronie dzieje?...

Do lata Laban Arami był już sobie wcale pożądanym konikiem. Narosła mu ładna grzywa, a ogon zlekka kędzierzawy, sięgał po kolana. Gdy go w ciepły jasny dzień wiosenny wypuszczano na dwór, panowała u nas w domu taka radość, jak wtenczas, kiedy mała Rywkele poczęła po raz pierwszy biegać o własnych siłach, swojemi drobnymi, krzywymi nóżkami.

Odrazu zaczęła dokazywać i figlować, zadarł o-

gona i przywarł brzuchem ku ziemi, o mało, że nie usiadł. Potem naraz zerwał się, bryknął i popędził przed siebie. Zaraz jednak zawrócił, obejrzał się w koło i począł spozierać na wszystko lekkim, zalotnym spojrzeniem; na ojca mrugał, jakby go się pytał: a co? umiemy?... Gdy zaś ojciec w odpowiedzi przytaknął głową, Laban puścił się znowu galopem, rzucając i wywijając głową i rżąc swobodnie, jakby tym sposobem wołał: Pójdźcie, zobaczcie, jaki to piękny świat na dworze! Taki jasny i lekki leciuchny...

Ojciec rozplęwał się z radości i pukał w okno do mamy:

— Bejle, Bejle! Prędeż! Wyjrzyj ino na dwór, a będziesz miała przyjemność. I szeroko się zaśmiał od ucha do ucha, a twarz jego promieniała z radości.

Starzy i młodzi wyglądali na ulicę, by podziwiać Labana. Każdy mówił coś innego, wszyscy pożerali go oczyma, a czego mu przytem w duszy życzyli, warto, by się ziściło na nich samych, przynajmniej w połowie.

Bałąguły oglądali go i mierzyli oczyma znawców, przepowiadali mu przyszłość, pogwizdywali nań i przytrzaskiwali biczami... Tymczasem Laban, jakgdyby mu nagle przyszła ochota podbić cały świat, jakby raptem skrzydeł dostał i zapragnął lecieć, bując, kopytami nie dotykać ziemi. Cała dzikość i pustota, którą młode, zgrabne i wysmukłe ciało jego nagromadziło w sobie przez całą zimę, wyrwała się teraz na swobodę, przelewała się przez brzegi.

Skończyło się śmiechem i zaraz przykrością.

W biegu pochwycił Laban dziecinną pierzynkę,



suszając się na płocie przed domem Pesi Bejli i rzucając głową, wywijał nią w powietrzu na wszystkie strony, niby kogoś wyzywając:

Hej ty, jeden z drugim! Dlaczego się tam chowasz? Wyjdźno prędzej, a zobaczysz kto silniejszy!...

Wkrótce w pierzynie utworzyła się dziura i pierze poczęło sobie lekko i swobodnie polatywać nad ulicą, wyprzedzając Labana i rozwiewając się wokół — jakgdyby bawiąc się z nim razem.

Na ulicy powstało zamieszanie: Pesia Bejla łamała ręce, wrzeszczała i lamentowała na głos, a pociachu, żeby nikt nie słyszał, przeklinała konia. Ludzie próbowali zatrzymać Labana, zabiegali mu drogę, nstawiali poły chcąc go złapać i wołali: tpr! tpr! tpr!... Dawali mu się przemknąć tuż pod nosem i za boki się trzymali od śmiechu...

Wreszcie, gdy się wszyscy już pomęczyli, a Laban porozwiewał już całe pierze, udało się go podstępem wprowadzić do stajni.

Od tego dnia, Laban jakgdyby nagle wyrósł — prawie już dorosły koń z niego. Dzieci poczęły mieć się przed nim na baczności. Dając mu kawałek obwarzanka, patrzyły mu prosto w oczy i zaraz cofały rączki. Ojciec nałożył mu uzdeczkę, uszytą własnoręcznie ze starej uprząży i począł go dla upoju prowadzić do studni. Miało to znaczyć: — Ja już nie mam siły dźwigać dla ciebie wodę do stajni. Możesz się już sam prze-spacerować do studni — nie jesteś już maleńki, bez uroku...

A Laban zadzierał zalotnie główkę do góry, oglą-

LABAN HAARAMI

dał się na wszystkie strony, i nagle podnosił się na tylnych nogach, stając dęba i tocząc dookoła wzrokiem, jakby pytał: Ano, zobaczmy kto tu wyższy?! Potem przednią nogą grzebał ziemię dookoła studni lub rozpryskiwał kopytem nie wysychającą nigdy małą, zazieleniałą kałużę, opryskując przytem nieraz ojca od stóp do głowy. Pijąc, gryzł wiadro swojemi mocnemi, białemi zębami, potem nagle podnosił je do góry, potrząsał niem w powietrzu i nieraz bywało z taką rzuci siłą aż na drugą stronę studni, że z wiadra zostawały tylko same klepki.

Zaprowadziwszy Labana do stajni i uwiązawszy go na swoim miejscu, wchodził ojciec do izby i wycierając sobie twarz ręcznikiem, opowiadał mamie z zadowoleniem:

— Wiesz? Laban wypił dzisiaj całe wiadro wody...

— Niech mu będzie na zdrowie! — kończyła mama.

Z dnia na dzień rósł i piękniał. W miasteczku coraz więcej o nim mówiono. Znawcy twierdzili, że osiągnie wielką wartość. Wydłużone smukłe ciało, foremny, łódkowaty grzbiet, wysokie i cienkie nogi, szeroka toczona, ruchliwa szyja i mała czworokątna główka — taka lekka, figlarna, niecierpliwa i pełna życia. Wełwele Kołtun przepowiadał do jakiej długości i wysokości Laban jeszcze wyrośnie, a nawet jaki będzie miał krok. Wywodził obszernie, jak panowie nazywają taką szyję i taką główkę — „To pański koń“ — orzekł Wełwele.

Pewnego pięknego poranku po Zielonych Świętach podjechał do naszego domu stary hrabia — wielki znawca i miłośnik koni. Siedząc na bryczce, wywołał ojca na dwór:

— „Słyszałem“ — powiada — „że masz ładnego konia. Chciałbym go zobaczyć“.

Wolnym, niespiesznym krokiem poszedł ojciec w stronę stajni. Wyglądało to, jakby się zastanawiał, czy warto pokazywać hrabiemu Labana. A może tak sobie, nie spieszył się. Znaczy się: mamy czas. O ile chcesz, to możesz zaczekać. Nie zaszkodzi — Laban wart, by na niego czekać. Otworzył szeroko bramę, ujął Labana obiema rękoma za uzdę i wyprowadził go na podwórze.

Hrabia zeskoczył z bryczki i pobiegł mu naprzeciw, jakgdyby po wielu latach niespodzianie spotkał starego przyjaciela; poklepał go po grzbiecie, obiema rękoma pociągnął za ogon, obejrzał główkę, oczy, objął go za szyję i miłośnie głaskał.

Ojciec patrzył na to, zarumienił się i nie wiedział, gdzie ma oczy podziać.

— Boże kochany — myślał sobie — nie wart jestem Twej łaski.

Hrabia odstaąpił na parę kroków od Labana i znowu się przybliżył, podziwiał go, pokręcił głową i nakoniec zwrócił się do ojca:

— „A może byś go sprzedał? dam ci za niego dwie „Katarzyny“... *).

*) Sturublowe banknoty.

LABAN HAARAMI

Popatrzył przenikliwie na ojca i czekał.

Ojciec się zmieszał. Ledwo mógł uzdę utrzymać. Słowo o dwu „Katarzynach“ zbiło go z tropu.

Szatan kusi: sprzedaj, sprzedaj, nie trzymaj takiego konia w stajni! Żydowi tego nie wolno. Za te pieniądze możesz kupić dwa albo i trzy konie razem z uprzężą. Przyjmiesz parę ludzi, weźmiesz dostawę kamienia i piasku do szosy. Za parę lat zostaniesz bogaczem, dojdiesz do grosza. Widzisz, przecież, że ci się zanoszą na zrzucenie z siebie bałogulskiego półkożuszka. Wyjdiesz na ludzi — dorobisz się jak i inni. A jutro — kto wie, co może się stać. Wszyscy wiedzą o tem, że ty masz takiego konia w stajni.

Wrogowie zęby sobie ostrzą, ludzie mają wielkie oczy — oby im wylazły — oczami ci go pożrą.

A dobry anioł szeptem do drugiego ucha tak miękko i serdecznie: nie sprzedawaj! Szkoda go, jeszcze taki młody, mleko matczyne ma na wargach. Kto wie, w czyje padnie ręce? A stajnia zostanie pusta... Miejsca sobie nie znajdziesz, żółć cię zaleje z żalu, że taką ozdobę miałeś w stajni i wypędziłeś ją. Chcesz go koniecznie sprzedać — dobrze! Ale przecież nic nie spóźnisz. Konie stają się droższe z wiekiem, a nie tańsze. Wielkie rzeczy!

Nie widziałeś jeszcze, jak brano za konie po trzy, cztery, a nawet pięć setek. Co? sam powiedz — może nieprawda?

Laban przestraszył się wielkiego tłumu, który zbierał się dokoła, począł się wyrywać i wiercić, strzy-

gąc uszyma, jakby nadśluchiwał. Patrzył surowo i gniewnie na ojca, niby go pytając:

— Ha, co? i to ma być cała twoja miłość? Za dwie „Katarzyny“ gotów jesteś mnie oddać djabeł wie komu?!

Ojciec nabrał odwagi, podniósł głowę i jakby z głębi ziemi cierpiąc słowa, odrzekł:

Nie! Nie sprzedam go! Niech zdrów będzie i trzyma się koło domu. Znajdzie się jeszcze dla niego miejsce i jedzenie.

Naraz stał nam się miły i drogi — oko w głowie. Ojciec przestał nocować w mieszkaniu. Naprędce zjadł wieczerzę i zabierał się spać do stajni, zasuwał rygiel od środka i zakładał drzwi silnym, żelaznym łańcuchem.

Na dzień, gdy wypadło mu gdzie z domu wyjechać, zawieszał na stajni dużą angielską kłódkę z „sekretem“, którą zakupił w mieście za ośm złotych. Po południu, gdy tylko słońce poczynało się skłaniać ku zachodowi, ojciec zaczynał się niepokoić i śpieszył się, by wrócić przedwieczorem, do domu.

Na noc nie wyjedzie z domu, choćby mu złote góry obiecywano. Gdy kto przyjdzie doń najmować furę przed nocą, wydaje mu się, że to umyślnie, aby go z domu wywabić...

Jeść daje mu sam, nikogo innego nie dopuszcza; co najlepsze, łęgowe siano rano i wieczorem, a w południe pół garnca owsa ze sieczką — dobrze wymieszaną i przesianą przez palce, by się tam czasem coś

LABAN HAARAMI

niepotrzebnego nie znalazło. A wszystko w porę, co do minuty... We wszystkim co czynił, czuć było taką szczególną pewność siebie, tyle dumy, jakby mówił: Przecież ty w porównaniu ze mną żebrakiem jesteś. Zato, ile mój Laban wart, mogę kupić ze trzy cztery zaprzęgi, jak twój: Koń z wozem, z drabinami, a nawet z zatyczkami razem...

Na drugi rok, po Pesach poczęto przyzwyczajając Labana do zaprzęgu. Taka u nas panowała wtedy radość, jak gdyby się u chłopca „bar-mycwy“ doczekano, albo córkę zaręczono... Bałaguly z miasteczka pomagali go zaprzęgać, uczyli, pokazywali, doradzali: „Tylko nie bić!“. Nikomu nie podniosła się ręka, aby go uderzyć. Labana się nie bije. Głaszcze się go, pieści, uciśza go dobrem, dogadza się jego warjaczom i kaprysom jak rozpieszczonemu jedynakowi. A gdy go wreszcie zaprzęgnięto do dużej bryki, dokazywał i miotał się na wszystkie strony i wyglądał tak, jak przepiękna księżniczka, która ubrała nagle na głowę grubą chustę chłopską...

Przez całe lato uczono go. Niekiedy przy dobrej drodze wyjeżdżano nim do wsi po parę wiązek siana, przyprzęgano go orczykiem do starej szkapy tak, jak się zwabia dziecko — łehawdł — na godzinę lub dwie do chederu, aż się przyzwyczai.

Gdy przyszła zima, ojciec nie mógł sobie dać rady. Taka drożyzna na wszystko. Dwóch koni nie można było trzymać. Sprzedać? — Serce się kraje, wyzbywać się takiego cacka, w dodatku tyle weń włożono.

Zostawić go? — Jak jednak można zakładać takiego konia do wielkiej bryki — na błota i deszcze?...

Koniec był taki, że Laban pozostał, a starą szkapę sprzedał ojciec za dziesięć rubli. Za te pieniądze złożył na strychu dwie duże fury łęgowego siana i wziął Labana na dobre do bryki.

Gdy ojciec jechał gdzie z pasażerem, zaraz przychodziła mu ochota dać mu do poznania, jakim koniem jedzie. Przy pierwszej sposobności zwracał się do niego:

— Wiecie? Ten koń, tak, jak go widzicie, trzech lat nie ma, a jeszcze zeszłego roku chciano mi dać za niego dwie setki. Żeby on mi taki zdrów był! — Znaczyło to niejako: — Kim ja właściwie jestem, poganiaczem jakim, czy co, żebym zaprzedawał duszę za garść obroku, za sworzeń od bryki?...

Sąsiedzi z ulicy byli zadowoleni, że Laban pozostał u nas i ojciec nim jeździ. Jak gdyby wszystkim trudno było rozstawać się z nim. A i tak, każdy rad, że żyd jeździ sobie pięknym koniem (bez uroku)...

Z natury był Laban spokojny, często się zamyślał. Nastawiał uszu, gapił się gdzieś, jakby sobie coś usiłował przypomnieć...

Równy i długi krok, noga w nogę — bierze zaraz od początku. Najpierw przysiądzie nieco, nabierze rozmachu, łyśnie oczyma, sypnie przed siebie i wali naprzód, aż się kurzy. Na wóz można było nałożyć, ile się zmieściło — co to jego obchodzi; chcesz pakować, pakuj! Nigdy nie poszedł w bok, ani sztuk nie poka-

LABAN HAARAMI

zywał; nie wiedział nic o szarpaniu, łamaniu wozu, ponoszeniu, słowem szedł, jak stary koń. Tylko kapryśny był i bardzo honorowy, swojego ci nie podarował... Obrazić go czem — oho, stop! — stanie i nie ruszy się z miejsca, choćby go zabito.

Wtedy musi się zeskoczyć z wozu, pogłaskać go, przeprosić i dopiero pojedzie dalej, coraz się oglądając w stronę wozu, jakby mówił: — Widzisz po dobru więcej ze mną wskórasz...

Batoga nigdy nie zakosztował. Laban z natury nie lubił batoga... A zaprzęgać musiał go zawsze ojciec, bo obcemu się nie dawał...

Razu jednego próbowano go oszukać. Welwele ubrał kożuszek tata, jego czapkę, nastawił kołnierz, ułamał kawał chały sobotniej i podszedł do niego. Laban zjadł kołacz, dał sobie ubrać chomąto i wprowadzić się do uprzęży. Gdy jednak zjadł kołacz i obejrzał się wokoło, poznał natychmiast obcego, położył uszy po sobie, przymrużył gniewnie oczy... chwycił silnemi zębami za rękaw kożuszka, urwał go — i wydo stał się z zaprzęgu.

Około Chanuki zrobiło się ślisko na dworze. Wówczas ojciec wziął miarę z kopyta Labana i obstałował u kowala Berla podkowy na śrubkach, by ich nie potrzeba było coraz zrywać i wbijać gwoździe.

A tu Laban nie daje się dotknąć. — „Noga nogą, a podkuć się nie dam!“ — Ani po dobru, ani po złemu. Porywa się do kłania, chrapie, kręci się i wali nogami na wszystkie strony. A gdy udało się chwycić go za nogę i ojciec wraz z Berlem silnie ujęli ją obie-

ma rękoma — począł Laban z wolna wodzić nogą tam i z powrotem od siebie i do siebie. Ojciec i kowal nie dawali jednak za wygraną, silnie trzymali i biegli za nogą... Wtem Laban pociągnął, szarpnął i wyrwał się. I tak pozostał niepodkuty.

Później, gdy przyszło do zaprzęgania, zrobiło się nam wszystkim dziwnie ciężko i nieswojo. Ręce same nie składały się do zaprzęgu i wszyscy milcząco spoglądali ku sobie, jakby jeden drugiego pytał:

— „I cóż? Jechać?“

I wszyscy patrzyli na Labana, jak gdyby chcieli się z nim pożegnać. Niech przynajmniej jego obraz pozostanie w pamięci, kto wie, czy to nie po raz ostatni go widzimy. — — —

I póki ojciec nie powróci z drogi, jesteśmy niespokojni, przedstawiamy sobie okropne rzeczy, dreszcz nas przejmuje: Bóg wie, co się tam w drodze stało. Stajemy przy oknie i wyglądamy na ulicę, wychodzimy na dwór i nadśluchujemy. Może posłyszemy jaką nowinę, może ktoś coś opowie. Z niepokoju opadamy z sił, każda chwila rokiem się wydaje. Potem przyzwyczailiśmy się. Laban chodził niepodkuty lepiej od innych koni podkutyh. Przeciwnie, miało się jeszcze pociechę, że to koń siłacz — bez uroku — mocny w kroku i wcale go nie potrzeba podkuwać.

Będąc w dobrym humorze, ojciec lubi się chwalić: — „Wiecie? Nogi Labana dotychczas nie wiedzą co podkova!“

Zrobił się każdemu bliski i bardzo drogi. Każdy miał przyjemność, patrząc na niego. A gdy mu coś cza-

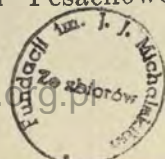
LABAN HAARAMI

sem brakowało, wówczas wszyscy mu współczuli, dopytywali się o niego i jeden drugiemu podawał wieść o tem, co porabia. Niejeden ustęp Psalmów zmówiłem na jego intencję, myśląc przytem: — „Za wyleczenie Labana z Aramu — oby zato zdrów był i długo żył..“

Tej zimy dostałem się już do „skałego“ melameda, najlepszego melameda w naszej „Talmud Torze“. Studjowałem już Gemarę z Tojsfesem. A w domu jeździłem już dobrze bryką, znałem i umiałem dogadzać wszystkim kaprysom Labana, jeździłem na nim na oklep, podścielając sobie tylko watowany półszubek ojca, podprowadzałem go do wozu lub do płotu, wskakiwałem na niego i silnie się trzymałem grzywy, albo obejmowałem go obiema rękoma za szyję i cały wyciągałem się na karku...

Uczyłem się zaprzęgania, pomagając sobie nogą przy zakładaniu chomąta, przytem nieraz, przewracałem się, wstawałem i odnowa zaczynałem. Siedząc w chederze, nie przestawałem o nim myśleć. Stał mi wciąż jak żywy przed oczyma ze swoją strzałką na czole i z wielką białą plamką na brzuchu i na przedniej łopatce. Długi grzbiet, toczone szerokie kopyta, mała ruchliwa główka — wszystko to mieszało mi się w głowie, odrywało od księgi, zapominałem jaki czytałem ustęp, byłem daleko od Gemary, od rebego. Gdzieś daleko, tam... w stajni obok Labana, przy wozie i zaprzęgu.

Na dwa tygodnie przed Pesachowemi świętami



przestałem uczęszczać do chederu. Po Zielonych Świątkach miałem zostać „barmicwą“, a po świętach chciał mnie ojciec oddać w termin do stolarza. Pożegnałem się ze „skąpym mełamedem“, z chederem, z Gemarą, „Bobe Meczyje“ na wieki...

Wraz z ojcem jeździłem już teraz na rozjazdy, trzymałem lejce i powoziłem: Wio, Labanie! A Laban szedł, słuchał jak dorosłego: Chcesz, żebym szedł, niech ci będzie tak, mnie wszystko jedno. — A gdy ki chał, mówiłem mu: na zdrowie!

Akurat jak stary Lejbisz tylko serdeczniej, życzliwiej, z dziecięcym przejęciem i pobożnością jak — lehawdł — „Kryszmę“ przed spaniem.

Przed świętami było dużo roboty i zarabialiśmy dobrze. Ojciec zamówił sobie parę butów, a dla dzieci kortowe garniturki i czapeczki. Mama była mocno zajęta w izbie, szurowała i sprzątała na święta, stół i ławki leżały na ulicy. Izba została świeżo wybielona, ze silną domieszką sinki; na dylu, z którego dopieroco zeskrobano błoto z całego roku, leżała duża kupa mierzwy z wozu, a dzieci tarzały się po tem i wywracały koziółki. Jedliśmy teraz w kuchni przy drzwiach, na dzieży. Dalej do izby nie wolno było z chomecem wchodzić.

— „Wiesz co?“ — powiada do mnie ojciec — rzdził się już teraz ze mną, jak z dorosłym i uważał mnie za całego mędrca, — „Wartoby trochę ochędożyć Labana na święta. Trzeba mu kopyta wyczyścić, wyglądają jak pampuchy... Cóż dziwnego, kiedy koń ci nie wie co podkowa...“

LABAN HAARAMI

Mnie zaraz coś tknęło, jak gdyby mi się coś w sercu urwało.

Bóg wie, co sobie narobimy. Teraz on i tak ładnie wygląda przed świętami, zawistni ludzie już sobie gęby na nim wykręcili... Ludzie mają takie duże oczy — oby im zato powyłaziły! A jak przyjdzie co do czego, gotowo się to skrupić na koniu...

Z drugiej strony wyobrażałem sobie, jak Laban będzie wyglądał ze strzałką na czole, ze swojemi palającymi oczyma, czysto wyczesany, z obrównanym ogonem, grzywą uplecioną w warkoczyki z czerwonymi i niebieskimi wstęgami i z kopytami obstruganymi i okrągło opiłowanymi, jakby były utoczone...

W święta po obiedzie, będzie świeciło na dworze pesachowe słońce, a powietrze będzie świeże, soczyste, tchnące wiosną. Ulice suche, czysto umiecione i wysypane żółtym piaskiem. Dzieci bawią się na nich w świątecznych, nowych garniturkach. Starsi żydzi, żydówki w nowych bluzach przechadzają się przed domami, oglądają swoje płoty wkoło ogródków, które zaraz po świętach trzeba będzie skopać i zasadzić.

U Lejzera szewca weszła już cebulka (u niego zawsze wszystko najrańsze). Zielone ździebelka wysuwają swoje łebki z grządki i mrugają do dzieci, jak gdyby je zcicha ostrzegały:

— Dzieci, gdy się nas je bez chleba, należy zmówić nad nami błogosławieństwo „Bojre pri hoadoma“...

Mieszczanie z pod góry zaprzęgają woły do sochy, lub konie do brony i wyjeżdżają w pole. Tichon zaprzęgi do fury nawozu swoją młodą gniadą szkapę,

która dopiero przed tygodniem urodziła łysego źrebaczka i przejeżdża zwolna przez ulicę. A mały łośszaczek z dzwonkiem na szyi zawiera na ulicy znajomość z żydowskimi dziećmi, baraszkuje z nimi i wszyscy razem cwałują za furą nawozu...

Wówczas ja, także w nowym garniturze, z odrobiną soli w kieszeni dla zabezpieczenia się przed urokami... nibyto nienaumyślnie i niechcący, zakradam się do stajni, pomaleńku odwiązuję Labana, biorę go za uzdeczkę i z drugą ręką przy pysku wyprowadzam go na dwór i prowadzę przez całą ulicę do upoju, do studni młynarza Abramka: Macie! patrzcie się!... A Laban przypada do wody, wypija wiadro jedno i drugie, zaś żóraw skrzypi na głos, jakby wołał do całego świata:

— żydzi! Cicho! Laban Arami pije...

Przestaje na chwilę pić, odpoczywa, ogląda się wokoło, przypatruje się ulicy, dzieciom, które się zbiegły ze wszystkich stron, świątecznie wyświeżonym niebiosom; cedzi wodę przez swe białe, silne i młode zęby strzyże jednym uchem, zamyśla się i znowu zaczyna pić.

A ja go głaszczę, wodzę mu ręką po grzbiecie, by wszyscy widzieli, że się go nie boję, przygwizduję mu do picia, a potem prowadzę go zpowrotem, ostrożnie, by mi nowego garnituru nie zaślinił. A gdy kichnie, mówię mu:

— „Na zdrowie ci, na długie życie!...”

Dzień przed Erew-Pesach. Pod wieczór ojciec wrócił z drogi, wyprzągł Labana, zaciągnął wóz na swoje

LABAN HAARAMI

miejsce, powiesił uprząż na kołku w stajni, kiwnął na mnie i obaj poprowadziliśmy Labana do kuźni Berla.

Najpierw Berl próbował po dobremu, głaskał, pieścił, liczył na to, że Laban może już zapomniał o swojej warjacji i da nogę do podkucia. Potem wziął postronek, przewlekł mu go przez pysk dookoła głowy, mocno związał i zakręcił parę razy kołkiem. Cały pysk został w ten sposób ściśnięty, a w kącikach pokazała się krew. Ale Laban nie rusza się, jakby się to nie do niego odnosiło, jakgdyby wogóle nie był obecny przy tem, albo jakgdyby mówił: „Kiedy ja wam powiadam, że nie, to będzie — nie, choćbyście mi czem po głowie dali...”

Potem wprowadzono go do ogrodzenia między cztery silne słupy, podniesiono mu wysoko głowę i mocno uwiązano. Przełęczniony i zdziwiony przysłuchiwał się i nastawiał uszu...

Berel zarzucił pętlę na tylną nogę, wyciągnął nogę ponad ogrodzenie i jął czyścić kopyto...

Laban przysłuchiwał się skrobaniu, z natężeniem odwracał głowę i mrużył oczy aż nabiegły czerwienią, gniewnie tocząc wzrokiem dookoła...

Naraz szarpnął się z całej siły, skoczył i uderzył nogami w ogrodzenie. Dało się słyszeć niezwykle grzmotnięcie, zmieszane z dzikim rykiem. Ze strachu wszyscy odskoczyli i poupadali na ziemię. — — —

Gdyśmy się otrząsnęli, Laban siedział na zadzie, jak pies, dusił się postronkiem i charczał z wywieszonym językiem. Ktoś przeciął mu natychmiast sznury siekiera, wówczas odetchnął, spuścił głowę i obrócił ją

w prawą stronę do brzucha; siedział dalej, jak przedtem i nie ruszał się z miejsca.

Tyłna, prawa noga była u góry nad kolaniem — złamana...

Gdy ojciec przyszedł nieco do siebie, wstał, podbiegł do Labana, wziął nogę do ręki, obejrzał ją, zagrzytał zębami i przez chwilę patrzył na niego. Laban podniósł głowę i tak patrzyli obaj na siebie, jak-gdyby jeden pytał drugiego:

— „I cóż? Masz jeszcze coś do powiedzenia?...“

Ojciec rzucił obcęgi, które zapomniał był z ręki wypuścić i obiema rękoma chwycił się za głowę, jak-gdyby go ktoś znieścacka ztyłu w ciemność uderzył i... pobiegł w stronę domu.

Kowal Berl z trudem podniósł się z ziemi i jak stanął, tak pozostał zdaleka, nie mogąc się ruszyć z miejsca, trzęsąc się jak liść; wyglądał jakby go nagle febra opadła.

A ja obejmowałem Labana za szyję, głaskałem go i płakałem.

— Laban..... Laban Arami...

— — — — —
W jednej chwili wieść rozniosła się po całej ulicy:
— Laban Arami złamał nogę.

Wszyscy patrzyli w stronę naszego domu, jakby się tam teraz znajdował umarły najdroższy w rodzinie, głowa domu; i wszyscy patrzą na ten dom, jak on wygląda, co też mówi nato...

Okolo kuźni zgromadziło się całe miasteczko.

LABAN HAARAMI

— A gut ojg — uroki! Złe języki go zjadły!
żydowski bałagule nie powinien jeździć takimi
końmi...

*

Na dworze pachniało wiosną. Przepiękna, przed-
święteczna, gwieździsta, chłodna noc; wielki pełny pe-
sachowy księżyc płynął po błękitnem czysto wymytem
niebie; to kryje się za obłok, to znowu się ukazuje, jak-
by się sam ze sobą bawił w chowanego. Rzuci okiem
na miasteczko na tę biedotę żydowską, na ubogie stat-
ki walające się przed domami dla jutrzejszego kasze-
rowania. żydzi pomęczeni od rozgardjaszu święteczne-
go śpią, więc księżyc, stanął na straży i pilnuje, by im
ktoś czegoś złego nie zrobił.

Miły wietrzyk popołudniowy kołysze drzewkami,
głaszcze je i skądś przyniósł wieść: „Haneicanim niru
ba arec“ wiosna już przybyła! Wygon już się zazieleni-
ł, niezadługo łąki pokryją się paszą, a w ciche, cza-
rowne noce, parobcy będą jeździć z końmi na noc-
legi...

Śnieg przeraził się tej wieści i sam w sobie począł
się kurczyć, uciekać z ulicy. Koleinami wozów ciekły
wazkie strumyczki, pluszcząc białą pianę po wierzchu.
Na drodze znalazł się zawieruszony skądś wiecheć sia-
na, przywarł do kamienia i uczynił tamę, więc woda
nową znalazła sobie drogę, ominęła zator i popłynęła
dalej wdół do wygonu, szemrząc zlekka i jakby przez
sen cichą nucąc melodyjkę.

Zmęczenie przedświęteczne zagarnęło ulicę w swe
ramiona i ukołysało ją do snu. Zaraz po uprzątnięciu

chumecu poczęły wygasać światełka, a jasna duża kula księżycowa odbijała się w niemych czarnych szybach...

U nas świeciła się jeszcze mała lampka. Tato i mama siedzieli na ziemi i milczeli. Dzieci pozasypiały na słomie bez wieczerzy...

Ja stałem przed drzwiami, drżałem od świeżego wiosennego chłodu, tuliłem się do ściany i czekałem, aż „jego“ przewiozą...

Wkrótce dało się słyszeć uprzykrzone skrzypienie dawno niesmarowanego wozu. Potem ukazał się z poza karczmy biały koń Litmana, a za nim mały wózek bez drabin. Na wózku bokiem leżał Laban, silnie uwiązany sznurami...

Mijają nasz dom. Tato i mama usłyszeli skrzypienie i stanęli w oknie...

Laban rwał się z wozu, szarpał się do domu, rżał, wołał. A gdy ujrzał, że dalej jadą, odwrócił głowę w naszą stronę, ze zdziwieniem patrzył na dom i bezsiłnem, niemem spojrzeniem prosił i robił nam wyrzuty: Czemu zostawiacie mnie samego?

Długo, długo patrzyłem za nim... Wózek nie przestał skrzypieć, ciągnął dalej swoją piosenkę dziką, jak skrobanie nożem.

Skierowali się już za dom i plebanję w stronę łąki, a mnie się wydało, że w ostatnim jego spojrzeniu było wyryte:

— Bądźcie zdrowi, żyjcie szczęśliwie...

I znikł z oczu.

Jeszcze przez chwilę słychać było skrzypienie Lit-

LABAN HAARAMI

manowego wózka wśród nocy — takie smutne, sieroce, opuszczone i rozdzierające. I gdzieś po tamtej stronie, na gojskiej ulicy zawył pies. Lament rozlał się po miasteczku, zmieszał się ze skrzypieniem wozu i rozpląnął się w nocnej pomroce...



Joel i Cipe

Joel jest bałegulą z dziada - pradziada. Gdy przyszedł na świat, batołg stał u jego kołyski, a kołyska — koszyk z łożyny — zwisała ze stropu na starych lejcach konopnych i była wysłana mierzwą z bryki.

Latem, gdy bryka stała pod domem, sadzała go matka na słomę w podkasanej koszulce, z gołemi nóżkami i przechyliwszy się przez drabinę wozu dawała mu pierś. Gdy zaczął chodzić wsadzał go ojciec na konia, przytrzymywał go i uczył jeździć.

Wstąpił do chederu. Tu „wow“ było zatyczką, „jud“ kucykiem, długie „nun“ oznaczało batożysko, „chof“ podkowę, długie „cadei“ dyszel. Z chederu do bryki, na dalekie rozjazdy, — liszaje na twarzy i podbite oczy — póki nie dorobił się własnego zaprzęgu.

Koń bliski mu i drogi jak własna krew — jak prawa ręka. Rozumie go i rozmawia z nim, jak z równym sobie.

A lubi Joel pięknego konia, choćby to był obcy, choćby go widział po raz pierwszy... Piękny koń oczarowuje go. Niejeden raz zaniechał przeto jazdy do pociągu. Zaprzęgnie bywało i wyjedzie, aż tu ujrzy

pięknego konia na rynku i gdy stanie z bryczką i zagapi się, to może tak stać, dopóki nie pokażą się drożki wracające już ze stacji z pasażerami. Wtedy Joel opamiętuje się, udaje, że o niczem nie wie, wraca do stajni i wyprzęga.

Bardziej jeszcze niż pięknego konia, kocha piękną jazdę. Lubi jechać ładnie i dobrze. Gdy przejeżdża przez rynek, mają iskry lecieć i cały rynek aż trząść się powinien i dudnić. Bałegułe powinien mieć doskonałego konia, równą i dobrze dopasowaną brykę — bałegulski zaprząg powinien śpiewać!

Piękny jest ten zawód bałegulski. Rozmowy o koniu i wozie, wystawanie z „chewrą“ na rynku. Zarobki są o tyle konieczne, o ile potrzeba na konia i brykę — na siano, owies, smarowidło i na kuźnię. Co do reszty, — gdy kapnie coś po koniu, to przywiezie czasem furę drzewa na zimę, ćwiartkę ziemniaków ze wsi, czasem przed świętami jaki przyodziewek dla dziecka... A o ile nie, to też dobrze.

Cipe wie co ma robić. Nie spuszcza się na niego i ma swoją domową „parnosę“: Miele krupy na żarnach i trzyma zawsze dobrą krowę przy domu. Z sił opada, wlokąc ciężkie cebry do stajni. Hoduje parę kur w chałupie i zbiera jajka na sprzedaż. Kury wydziobują uronione ziarenka, a łuską znowu łatwiej krowę przezimować.

Dawniej za młodu było ciężko. Ręce obrzmiewały jej jak kłody, małe dzieci krew z niej wysysały. Potem przyzwyczaiła się. Kamień żarnowy obraca się w jej

ręku, jak zabawka, sam, zdaje się, kręci się dookoła siebie. W kuchni, gdzie żarna stoją, jest ciemno, małe okienko kurzem zarosło. Z kamieni unosi się pył, jakby dymek błękitny, snujący się w powietrzu. Cipe trzyma jedną ręką kołek i kręci to do siebie, to od siebie. Drugą rękę wtyka coraz do worka, nabiera ziarna i sypie garścią w wydrążenie. Niekiedy zdarza się, że ręka się tymczasem zamyśli i utknie we worku...

Cipe zamyka oczy, a myśli jej gonią gdzieś daleko. Druga ręka nie wie o niczem i wciąż obraca kamień, aż pod nim zabraknie ziarna i daje się słyszeć głośny, pusty zgrzyt kamienia o kamień. Cipe budzi się, przypomina sobie o ręce, która usnęła we worku, ożywia się, poczyną dosypywać i dalej kręci.

Podwieczór. Cipe odkłada robotę, zapędza drób do kurnika, nakłada ogień i przystawia mały garnek wieczery dla rodziny i duży baniak wody dla krowy. Ściemnia się. Przez zamarznięte okno wsącza się ostatnia poświata dnia. W piecu rozpalilo się i przez otwarte drzwiczki pada na podłogę czerwony pas światła. Po bokach dookoła ciemność staje się jeszcze cięższą i gęstą niby ściana. Cipe siedzi na kłodzie drzewa przy ogniu, cień jej kładzie się na pasie światła czarny i smętny, a oba końce chustki zawiązanej pod brodą kiwają się od czasu do czasu i przytakują sobie, jak-gdyby ze sobą gawędziły.

Cichy ból opuszczenia snuje się po izbie: Dzieci rozeszły się po świecie. Rywka służy tutaj w mieście, czasem, idąc gdzieś za posyłką, wpada na chwilę, a Cipe wtyka jej do ręki kawałek placuszka sobotniego.

Chłopiec terminuje u kowala w pobliskiej wsi, a mały który uczęszcza do Talmud-Tory, też już matki nie potrzebuje i sam sobie myje głowę co piątku.

Tymczasem daje się słyszeć ze stajni ciche „mu“. Cipe przypomina sobie o wodzie nastawionej dla krowy. Przyjemnie jej, że krowa się o coś upomina i wypatruje czegoś z jej ręki. Cipe lubi pracować. A zdaje jej się, że ręce nie składałyby się do żaren, gdyby nie łuska dla krowy...

Joel i Cipe nie lubią się oboje liczyć. Przyniesie on parę złotych, oddaje jej. Czasem znowu zabraknie jemu na owies, więc pożyczka u niej i tak długo oddaje, aż mu się wyda, że jej już naprawdę oddał.

Tylko w stajni trzymają się zdaleka jedno od drugiego, jakby się nie znali. Koń należy do niego, krowa do niej, każde z nich ma swój ką, a drugi nic go nie obchodzi.

Czasem potrzebują czegoś jedno od drugiego. Ona przyrządzi ceber i nie może go sama wynieść, (chłopiec jeszcze za mały), prosi więc jego i on jej pomaga. Za to ona mu pomaga wóz nasmarować, lub przyświeca latarką, gdy mu wieczorem wypadnie zaprzęgać. I tak ręka rękę myje i nie zostają sobie nic dłużni.

Czasami Joel bywa w dobrym humorze, chce żonie czemś wygodzić i prowadząc konia do upoju, wypuszcza także krowę. Albo też ona wypuszcza krowę i odwiązuje przytem konia. Prowadzi go do studni o-

strożnie, z biciem serca, by jej nie wierzgnął i poi go ze swego wiadra.

Ale to zdarza się bardzo rzadko. A gdy się kiedyś zdarzy, żałują potem oboje i sami siebie za to przeklinają. On utrzymuje, że koń nie może pić po krowie. Koń nie cierpi śliny krowiej i gdy krowa wetknie swoją mordę do wiadra, on już tego nie pokosztuje. Co koń to nie krowa...

Ją zaś to boli. Czuje się obrażona i usiłuje mu wykazać, że wedle jej babskiego rozumu, sprawa ma się wprost przeciwnie:

— To właśnie koń jest trefnem zwierzęciem, nieczystą padliną na skórę i pożywienie dla psów. A nad krową, przy zarzynaniu odmawia się błogosławieństwo i nawet do uczyty weselnej ją podają. Nu i co lepsze?

Na to w nim złość zakipi i krzyczy:

— Nu, a kto ci kazał tykać konia - padlinę, trefne zwierzę?!

— Sza, sza — mówi ona — trzymaj go sobie, dziękuję ci za łaskę i nie potrzebuję byś mi poił krowę. Przecież ona ci wiadro zanieczyszcza.

I zagniewani przysięgają sobie, że niechby im raczej ręce i nogi odjęło (uchowaj Boże!), zanimby jeszcze kiedyś mieli mieć coś ze sobą do czynienia i że choćby się cała stajnia przewróciła do góry nogami, nie podejną już więcej — ani ona do konia, ani on do krowy...

Gospodarzem w stajni jest koń. Zajmuje ją całą. Także wóz tu stoi, krowa zaś jest tylko jakby komor-

JOEL I CIPE

nią, na uproszonym kawałku miejsca, odgrodzonym w kącie paru drążkami. A gdy Joel zakupi dla konia furę łęgowego siana i zajmie nim cały strych, Cipe ugania potem każdej niedzieli za pojedynczą wiązką i musi kupować siano jakie się trafi, a nie takie jakie krowa lubi, poczem ta wiązka tarza się przez cały tydzień pod nogami.

Niekiedy, przed Purim, gdy za przegródką krowią nawóz narośnie wysokiem złożem, zdarza się, że krowa przeskakuje swoją przegrodę, dopada żłobu i wyjada wszystko, co Joel przygotował na noc dla konia.

Gdy Joel wejdzie rano do stajni i zobaczy jak krowa stoi z głową w żłobie i z rozdętymi bokami, wpada w szaloną złość, nie wie co robić; chwyta batog, lub kij, i chce ją bić.

Krowa ucieka z powrotem za przegrodę, tuli się do kąta, kurczy się, trzęsie i patrzy na niego błagalnym wzrokiem, jakby doń mówiła:

Chcesz bić? Bij, Bij! Zabij dwie istoty naraz...

Wtedy wydaje się Joelowi, że przed chwilą widział jak cielę przewracało się w jej brzuchu. Kij wypada mu z ręki, spluwa i biegnie do izby. Jeszcze na dworze krzyczy do Cipy:

— Idź, popatrz co twoja krowa zrobiła! wyjadła cały karm koniowi, a koń stoi głodny.

Gdy zaś wejdzie do izby, nie znajduje już więcej słów, patrzy jej tylko prosto w oczy, niby pytając.

— Nu, masz jeszcze coś do powiedzenia?

Ona milczy, nie odzywa się ani jednym słowem. Czuje, że on ma słuszność i nie może mu się w oczy patrzeć. Ale w sercu swem Cipe się uśmiecha. Cieszy ją, że krowa porządnie się najadła. (Oby jej tylko broń Boże nie zaszkodziło!...).

Zima, wieczór piątkowy. W izdebce posprzątano, ciepło napalono, podłoga wysypana żółtym piaskiem; cztery wyszurowane mosiężne lichtarze z groszowemi łożówkami stoją na stole, a obok leżą dwa plecione kołaczki przykryte serwetką. Dziwna cisza. Cipe siedzi przy piecu z rękami za sobą i drzemiąc marzy; kotka zasnęła na piecu. Kury pochowały główki pod skrzydła i od czasu do czasu słychać szelest dzióbków iskających wśród piór.

A oto Joel nadchodzi z bożnicy, pozdrawia izdebkę pozdrowieniem sobotniem i na głos poczyną odmawiać z modlitewnika „Szalom Alejchem“. Przejmująca miła swojskość opromienia całą izdebkę, jakgdyby ktoś powrócił z dali do ciepłego, z dawien dawna znanego domu i ma tu zabawić przez jeden dzień — przez cały sobotni dzień. Koń i krowa w stajni w ciepłocie. Przedwieczorem Joel podścielił obojgu okłot świeżej słomy, nasypał koniowi owsa i nałożył siana, a Cipe przyrządziła ciepły ceber dla krowy. Teraz oba bydłeta syte, leżą na miękkiej podściółce i drzemią w zacisznym mroku.

Koń z krową w zgodzie. I spokojne sobotnie zadowolenie ze stajni udziela się mieszkaniu. O dzieciach się wspomina. Pyta Joel co Rywka porabia, rozmowa



schodzi na chłopca, który terminuje u kowala na wsi i Joel przypomina sobie, że odebrał od niego w tym tygodniu pozdrowienia. Już gwoździe do podków wyrabia.

Cipe serce boli, że zapominają o nim przez cały tydzień, jakby nie był rodzonem dzieckiem. W Joelu budzi się ojcowskie uczucie i powiada:

„Wiesz co? Zaprzęgnę konia i skoczę tego tygodnia zobaczyć co porabia“. Cipe sobie przypomina, że ma parę gomółek sera i postanawia je posłać synowi. Matczyne serce przepełnia się czułością i lzy napływają jej do oczu...

Dzień sobotni krótki. Zaraz po obiedzie odchodzi Joel do bejs-hamidraszu, by posłuchać słowa bożego, a Cipe zasiada do odczytywania „sedry“ tygodniowej i wygląda przez okno nadejścia Rywki. Oto właśnie dziewczyna ukazała się na rogu ulicy. Cipe uśmiecha się do niej przez szparkę wychuchaną w zamarzniętej szybie. Pod drzwiami słychać obmiatanie miotłą zaśnieżonych bucików i za chwilę wchodzi Rywka — młoda dziewczyna w płaszczu i włóczkowej chustce na głowie, z rozpalonemi od mrozu policzkami.

— Gut szabes — wita matkę

Cipe odpowiada: — Gut szabes, gut jor!

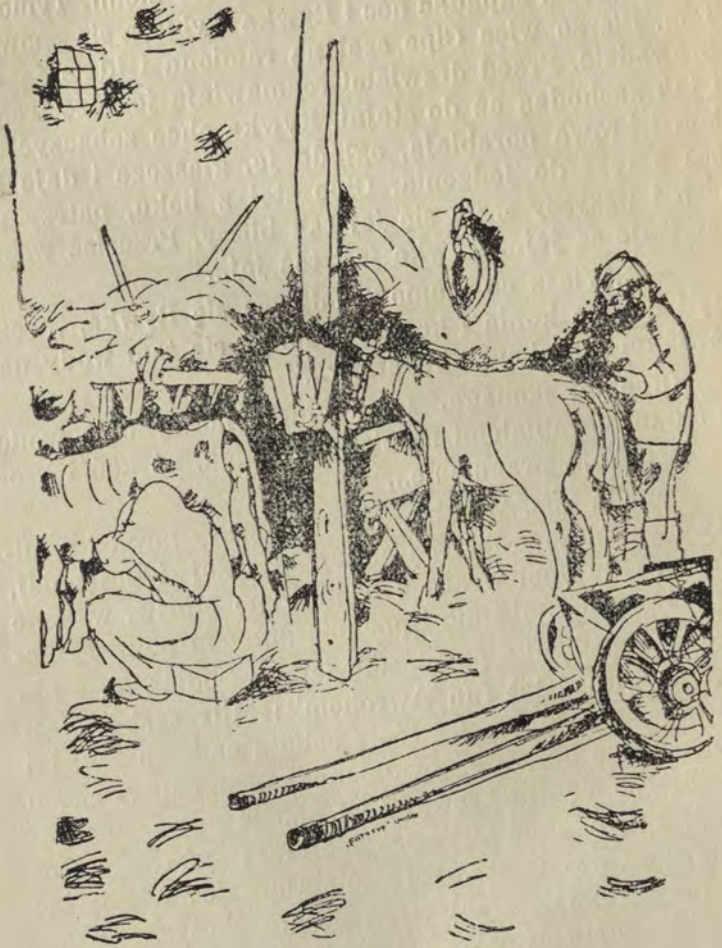
Cipe odkłada „tajcz chumesz“, sadza dziewczynę koło siebie, przypatruje się jej zbliska, ogląda ją i zachciewa się jej porozmawiać z nią po macierzyńsku. I chociaż nikogo w izbie niema, nachyla się do niej i pyta ją coś na ucho... Później wyjmuje brukiew, częstuje ją i obie zaczynają przygryzać, zmówiwszy

wpierw błogosławieństwo nad owocem ziemi. Tymczasem poczyna zapadać noc i Rywka wybiera się zpowrotem. Bierze więc Cipe szal na ramiona i idzie ją odprowadzić. Przed drzwiami rozmawiają jeszcze trochę i tak zachodzą aż do stajni. Rywka chce zobaczyć, co koń i krowa porabiają, ogląda je, głaszcze i daje im coś z ręki do jedzenia. Cipe stoi z boku, patrzy na nich i wszyscy stają się jej tak bliscy. Przecież wszyscy troje są jej... Rywka jest też jej...

— „Wiesz co mam?“ odzywa się Rywka, „wezmę i napoję konia i krowę. Mało ja się tam wody nadźwigam dla obcych bękartów...“

Cipe jej pomaga. I tak długo noszą obie wodę ze studni zgrabiałemi ze zimna rękoma, aż koń i krowa zaspokoją pragnienie...

Zapada noc. W izbie unosi się szary mrok i z minuty na minutę robi się ciszej, szarzej i posępniej, zimniej. Gdy Joel wraca z boźnicy po Mariw, w izbie jest już całkiem ciemno i pachnie zinnem powszedniego dnia. Cipe szuka po ciemku lampy i odmawia z pamięci na głos „Got fun Awrohom“: Miły szabes Kojdesz minął, znikł. Po Hawdołe sobota całkiem schodzi ze stołu. Cipe ubiera coś codziennego, rozpala w piecu i szykuje ceber dla krowy. Joel nadziewa burkę i zaciska ją rzemieniem w pasie. Zdejmują dużą zakopconą latarnię i wychodzą oboje do stajni: Zawieszają latarnię na gwoździu i zabierają się do roboty. Cipe zasiada do dojenia krowy. Joel zabiera się do narzędzenia bryki.



Letnia sobota. Krowa odeszła z rana z trzodą w pole. Koń pozostał w stajni (Joela stać na to, by jego koń stał w stajni i zajadał owies). Popołudniu ludzie wylęgli na ulicę. Kto usiadł na ławce przed swoim domem a kto inny przechadza się przed nim na ulicy. Młodzi odszukali sobie każdy swoich rówieśników i powędrowali przez groblę za miasto. Rywka przyszła swoim zwyczajem do matki na „szabes ojbst“. Zajrzała do ogrodu, rzuciła okruszyn kwoce z kurczętami, zajrzała do stajni i poprowadziła konia do upoju.

Starsi żydzi wstali z popołudniowej drzemki, opłókali ręce i szli do bejs hamidraszu.

W bejs hamidraszu rojno. Okno otwarte i czuć za-
dach. Każdy żyd ma swoją „chewrę“. Wszyscy siedzą przy długich stołach i przysłuchują się pilnie: Jeden śledzi ustęp „Ajin Jaakow“, kto inny rozdział „Miszna-
jes“, a znowu inny wertuje zwyczajny ustęp chumeszu; żydzi-łamdani posiadają swoje pulpity i własne księgi pod pulpitami. Ktoś tam podszedł do szafy, aby poszukać sobie psalterza, usiadł w kącie i z serdeczną żarliwością odmawia psalmy.

Joel przysiadł się do mełameda, aby słuchać sedry:

Pan Bóg otworzył usta oślicy i ona oto tak przemówiła:

„Cóż złego uczyniłam ci, że uderzyłeś mnie już po raz trzeci?“

A Baleam rzekł do oślicy: „Ponieważ kpiłaś ze mnie. Gdybym miał miecz w ręku, zabiłbym cię“.

I oślica znowu...

Sluchacze Sedry otoczyli stół gromadą, przysłuchiwali się opowieści z otwartymi ustami, aby nie uronić ani słowa...

Joela ogarnęła gorąca drzemka. Słodki głos rebe-go dochodził do niego z oddali, kołysząc go łagodnie, jak rytmiczne stukanie jadącego wozu. Potem dolatywał go jakby szum płynącego potoczku, a później jak lekki wietrzyk, unoszący się nad drzewami lasu.

Gdy obudził się ze snu, Sedra już była odczytana i cicha smutna nuta szabasowej Mynchy unosiła się pełna tęsknoty nad bejs hamidraszem. Ludzie, ochłodzeni świeżym, przedwieczornym wietrzykiem, który zawiewał ze dworu, zacierali z zadowolenia ręce i wtórowali Chazanowi, śpiewając:

„Abraham jaglejl, Icchak jejranen, Jaakow ubonaw jonuchu bei“. (Abraham będzie się cieszył, Izak będzie śpiewał, Jakób i jego pokolenie będą odpoczywać w tym dniu.

Po Mynche. Słońce chyliło się już ku zachodowi, zawiąło chłodem i cienie poczęły się ścielić wzdłuż domów. Wielki tłum Żydów wysypał się na ulicę i z wolna posuwa się do „szałoszides“. Każdy wie z góry, że w domu czeka na niego uczta przedwieczorna, złożona ze strucla z serem i podśmietanie, ale udaje, że go to nie nie obchodzi.

Daleko na ulicy podnosi się gęsty, błękitnawy pył. Trzoda wraca z pola, żydzi-gospodarze przystają na drodze. Każdy odbiera swoją krowę i wędruje z nią do domu. Tu i ówdzie jedwabny, wystrojony żydzik trzy-

JOEL I CIPE

ma się zdaleka, jakby nigdy nic: On idzie sobie — krowa sobie...

Joel odszukał swoją krowę i kroczy obok niej z ręką na jej grzbiecie. Rad, że nabrała ciała. I przypomina sobie, ile to cebrów Cipe się nadźwiga dla niej, jak sobie ręce wykręca przy żarnach. Na myśl o tem smutek zaczyna mu się zakradać do serca, ale sobota nie pozwala. — Żydzi stoją we drzwiach swoich domów w odświętnych kapotach z rękami w tylnych kieszeniach i patrzą za nim. I nagle Joel uczuwa dumę:

Koń i krowa to w dzisiejszych czasach majątek...

I tak maszeruje zadowolony, aż przybywa do domu.

Gdy ocieli się krowa Joel ma zawsze ten zaszczyt, że pierwszy obwieszcza Cipie tę nowinę. Wstanie rano, pójdzie zaprzęgać, przyjdzie do stajni, a tu nowonarodzone cielątko skacze już dokoła krowy. Wtedy Joel zaprzęga, a wyjeżdżając puka do okna:

— „Cipe mazel-tow! żebyś, wzięła u konia trochę łęgowego siana i dała krowie...!”

Dobra wieść razem z erew-pesachowym jasnym dniem napęłnia izbę światłem i nadzieją.

Cipe nastawia gładysze, zbiera śmietanę, przelewa z garnuszka do garnuszka, a oto już w domu i ser i śmietana. W parę dni później, gdy Joel wróci od pociągu, Cipe podaje mu na stół duży talerz podśmietania; czyni to z takim zadowoleniem, jakby mu podawała piernik zaręczynowy ich pierworodnego dziecka.

Joel nie lubi pozostawać dłużnym.

W pobliskiem miasteczku posiada Cipe siostrę. Więc Joel pierwszego dnia Choł hamoed-Pesach zaprzęga konia, wyczesuje go, przystraja w dzwonki i kutasy, zawiązuje mu ogon i zajeżdża przed własny dom.

Posyłają po Rywkę, zamykają drzwi na klucz, proszą sąsiadki, by wieczorem wydoiła krowę i odświętnie ubrani sadowią się na brykę. Joel i Cipe siadają na przodzie, Rywka z chłopcami naprzeciwko. (Chłopak od kowala przychodzi ze wsi do domu na każde święta).

Koń jest wypoczęty, dziki i niecierpliwy i jak weźmie odrazu kłusa przez miasto, to aż iskry lecą. Aż ze wszystkich kramów wybiegają ludzie...

W składzie drzewa

Gdyby kto zapytał Duńki, jak ona przeżyła ostatnich parę lat, zanim dostała się do składu, chętnieby to przemilczała, pokręciła ogonem i starała się sprowadzić rozmowę na inne tory...

Zato zapytana o swoje terażniejsze życie odpowiedziałaby z dumą, że ma dom, zna swoją budę, rozumie swoje obowiązki wobec składu i zarabia całkiem uczciwie na swoje jadlo (co rana funt ochłapów mięsnych, a w południe trochę resztek z kuchni).

Że się tu dostała, zawdzięczała tylko zwykłemu przypadkowi. Akurat na krótko przedtem opróżniło się miejsce w składzie. Poprzedni pies zszedł z tego świata i wcale się nie zatroszczył, czy został kto inny na jego miejscu. A stary Kostek, bardzo stary i samotny chłopowina, który służył wiernie w składzie już od wielu lat, niepokoił się silnie i bardzo źle owych nocy sypiał. Gdy tylko zasnął zdawało mu się, że ktoś przelazł przez parkan, wyciąga deski — wlecze i wynosi cały skład. Więc zrywał się ze strachem i wybiegał przed drzwi swojej lepianki. Przejęty lękiem przed niemą, głęboką nocą i drżąc cały, nie ważył się postąpić ani kroku naprzód, stukał tylko laską przed sobą — a po składzie rozlegał się stary, zatechło-drżący głos:

„Złodzieje, hu! hu!“.

Tak się zapadł w sobie przez ten czas, taki stał się zły i rozdrażniony, że można się było serjo liczyć z jeszcze jednym wakującym miejscem w składzie.

Tymczasem tak chciało przeznaczenie, — wszak każde stworzenie ma swój przeznaczony los — że właśnie w tym czasie zabłądziła do składu Duńka, a gdy zobaczyła starego, wcale ale to wcale się go nie przestraszyła, jakgdyby przeczuwała, że to będzie jej wybawca i opiekun. Stała naprzeciw niego, spojrzała mu wprost w oczy i przymilnie pokręciła ogonem, jakgdyby mówiła:

— Nie czepiaj się, wierz mi, niema za co!...

Cała ta postawa bardzo się staremu podobała i przypomniawszy sobie, co przeżył ostatnich kilka nocy, pomyślał, z niepewną nadzieją w sercu:

— Jakby to dobrze było, gdyby ten piesek przyzwyczał się i pozostał w składzie...

Okazał jej więc przyjazną twarz, wyniósł kawałek chleba i usiłował ją pogłaskać. Pozwoliła na to, lecz ostrożnie z boku rzuciła podejrzliwie spojrzenia...

I tak dalej, wszystko ostrożnie, aż stało się....

Z początku, gdy stary słyszał we śnie szczekanie Duńki, zadowolony zanurzał głowę głębiej w posłanie i zasypiał znowu w omroczonej, spokojnej pewności. I długo jeszcze znajome szczekanie dochodziło go, jakby z jakiegoś wielkiego oddalenia i pieściło jego ucho jak najprzyjemniejsza muzyka.

A Duńka sama sobie nie wierzyła, ciągle oglądała się wkoło i nie mogła się połapać. I co dzień rano, gdy dostaje swoją porcję ochłapów zagląda głęboko w oczy swoim chlebobdawcom czy to na serjo? Trzymając porcję sztywnie między przednimi nogami, tak, że żadne stworzenie nie śmiałoby jej wydrzeć, rzuca dokoła niepokojne spojrzenia, ostrożnie nadśłuchuje i cicho, po psiemu warczy.

Z czasem jednak przyzwyczaiły się obie strony. Każdego dnia z wieczora, stary ścielił sobie wygodnie posłanie, żegnał się, odmawiał pacierz i zasypiał bardzo spokojnie. Tymczasem Duńka zapoznała się ze składem i rozpoznawała już ludzi, którzy tam przychodzili każdego rana; zadowolona przyjmowała codzienną swoją porcję i pokręciwszy ogonem odchodziła na bok, kładła ją między nogi i zaczynała jeść spokojnie i z przyjemnością.

I tak to weszli oni w tok powszedniego życia, a wyglądali, jakgdyby wszystko to trwało już od niepamiętnych czasów, jakgdyby inaczej wogóle nie mogło być!...

Ale gdy Kostek widzi obojętność właściciela składu i jego niewdzięczność wobec takiego psa jak Duńka, mocno go to obraża. Tak, jakby już wogóle nie rozumiano, co to znaczy dobry pies, jakgdyby sąsiednia wieś nie była w połowie wybudowana z kradzionego materiału i jakgdyby w mieście nie było takich domów, w których nie wiedzą o zwyczaju kupowania drzewa, a jednak, gdy zajrzeć do nich zimą do mieszkania, pachnie ciepłem... Jeszcze więcej żalu czuł do robot-

ników. Ci, gdy chcieli mu dokuczyć, ciskali czemś w Duńkę, albo przechodząc kopali ją nogą. Tego już stary nie mógł przemilczeć, klócił się i klął:

— Za co czepiacie się psa, co on wam zawinił? Zaco bijecie stworzenie Boże, takie wierne i poczciwe? Za co obrażacie niemą istotę, która nie może się bronić. — Lepiejby już było, żeby jego samego uderzyli...

I tak chodził i burczał pustemi bezzębnymi ustami, aż się zaślinił i zimny pot na niego uderzał.

Robotnicy słuchają spokojnie i z uśmiechem całej jego przemowy a gdy się odwrócił, odezwał się jeden:

— Patrzcie na tego parobka, zakochał się w suce!

A Panas młody parobek o płonących, czarodziej-skich oczach, zakrada się, pochyla, podnosi kawałek drzewa i ciska go prosto w nóżkę Duńki. Duńka zrywa się z miejsca, skacze do góry z piskiem, aż jej dech zapiera. Ale gdy się w tej chwili obejrzy na całą kompanję i widzi to ich patwienie nibyto w bok i Panasowe skrobanie się w głowę, pojmuje natychmiast skąd cios przyszedł i jak gdyby nie chciała im dać satysfakcji, milknie, zaciska zęby, na trzech nogach wsuwa się do budy i siada, by oblizać bolące miejsce...

Usłyszawszy jej krzyk, stary obraca się i długo patrzy na gromadę:

— A niech was cholera! Tak klnąc wlecze się do budy, kładzie się obok Duńki, i leży póki złość mu nie przejdzie a ona zapomni o zdarzeniu...

W SKŁADZIE DRZEWA

O Kostku chodziły po składzie różne historie, ale żadna nie dobrego o nim nie mówiła. Mówiono, że się nigdy nie ożenił, a za młodu miał tak wstrętne wywinięte wargi, z zapadniętem czołem i małutkimi zwierzęcemi oczkami, że żadna dziewczyna nie chciała wyjść za niego. Inni znowu opowiadali, że kiedyś, ale już bardzo dawno, ożenił się, ale żona uciekła od niego, bo ją bił i głodził. I tak pozostał sam jeden.

Ale tak jedni jak i drudzy unikali go, mniemając, że jest przeklęty przez Boga. I opowiadano sobie, że w jesienne, ciemne noce, gdy złe duchy wydostają się z lasu do ludzkich siedzib, a psy nie przestają szczekać przez całe noce, „one“ gromadzą się w składzie drzewa, bawią się w ślub ze starym, hulają, piją, radują się, póki nie zapieje kur... Wtedy znikają nagle i — niema ich.

A na drugi dzień stary chodzi zły cały dzień, gada sam do siebie i tęskni do swej narzeczonej.

A choć wiedzieli, że oprócz ostatków kuchennych którymi dzieli się z psem stary więcej nic nie dostaje, wierzyli, że gdzieś głęboko w budzie leży schowany supełek, ze staremi, srebrnymi monetami. I niejeden marzył o tym węzełku i tak daleko zapuszczał się w swoje marzenia, aż nogi same zanosily go do szynku, z piwem na stole, z studzienią, wódką i kwaśnymi ogórkami.

Wszystkie te marzenia nigdy się nie sprawdzały, bo nigdy nikomu się nie udawało wywabić starego ze składu.

I patrząc na niego — na jego małą głowinę wt-

loną w ramiona, na jego małe zielone oczka, żółtokościstą, małą twarz, obrośniętą małemi, białemi włoskami, które nic nie mówią o jego wieku, na jego łykowe postoly i wyleniały kożuszek, który mu służy tak zimą, jak latem jako nakrycie i ubiór, oraz na jego wyleniałą, gołą czapkę — w żaden sposób nie można było wiedzieć, co z tego wszystkiego, co mówią o nim, jest prawdą.

Ze składu oboje nigdy się nie oddalali, chyba, że Duńka czasem przewąchała się z przebiegającym psem przed bramą i zaraz wracała. Raz tylko Duńka przepadła na parę dni z domu (na noc wracała, a rano znowu znikwała). A gdy wróciła, aby dalej wiernie służyć składowi i staremu, przyniosła ze sobą z zewnątrz tajemnicę: Taką przyjemną, szczęśliwą tajemnicę, o której chciała, aby wszyscy wiedzieli. Ale stary nic nie zauważył i niczego się nie domyślał...

Później dopiero, gdy po raz pierwszy coś zauważył, mocno się zdziwił i nie chciał wierzyć. Na jego starej, żółto - kościstej twarzy rozlała się różowość, jak rumieniec młodej dziewczyny. I przypatrując się bliżej, nabrał pewności, a gdy widział ją, jak leży wyciągnięta na boku i patrzy na swój brzuch, wydawało mu się, że coś tam wewnątrz żyje i porusza się... W tej chwili zachciało mu się kopnąć ją w brzuch, ale tego nie zrobił...

Stary zamyślił się, podparł głowę i posmutniał. I jak gdyby jakiś żal, jakaś dręcząca obawa, wymurzyły się z odległej wygasłej młodości i napełniły jego ser-

W SKŁADZIE DRZEWA

ce. Tak, jak gdyby Duńka teraz umyślnie i na złość rozciągnęła mu się przed oczyma i naigrawała się z niego.

— Ty stare, suche, wyrąbane, uschnięte drzewo...

To, co starego tak bardzo zdziwiło i zaskoczyło, jednak nie wyszło na złe. Przeciwnie, gdy stary się przyzwyczaił i zastanowił nad całą sprawą, zdawało się, że go to cieszy. Tak — pewnie, że go cieszy. Dlaczego nie miałyby go cieszyć?

I nawet robotnicy znacznie się teraz zmienili w stosunku do Duńki, a o ile wykorzystywali tę historję do różnych żartów, które starego oburzały, to ona tego i tak nie rozumiała...

Gdy Panas z przyzwyczajenia pochylił się jeszcze niekiedy i podnosił kołek, Duńka nie uciekała przed nim, obracała się i patrzyła na niego tak przenikliwie i przyjaźnie, jakgdyby przemawiała mu do sumienia:

— Nie, nie zrobisz tego, w taki czas. Serce ci nie pozwoli.

I rzeczywiście, serce Panasowi nie pozwalało. Kołek wyślizgiwał mu się z ręki, jakgdyby się zawstydził sam przed sobą za swój zły zamiar.

Czas nie stoi i pewnego pięknego poranku, po całonocnem wiciu się i jęczeniu, którego nikt prócz starego Kostka nie słyszał, wydała Duńka na świat sześć malutkich, ślepych piesków. Natychmiast oblizwała je,

WILK I DZIECI



W SKŁADZIE DRZEWA

osuszyła, drząc cała, jak w gorączce i skowycząc ze szczęścia...

Gdy tylko przyszli pierwsi robotnicy, rozeszła się po składzie nowina, a gdy doszła do kuchni, przyniesiono stamtąd na chwałę tego wydarzenia miskę mleka z pokruszoną bułką...

Przez cały dzień Duńka nie odstępowała od małych ani na krok. A gdy zapadła noc, bramę zamknięto, w składzie się uciszyło, zaś stopy drzewa wraz z budą wtuliły się cicho w ciemność nocy, położyła się Duńka na bok, wysunawszy naprzód swoje pełne, ciężkie piersi. Przymknęła oczy i przysłuchiwała się jak sześć małych, drogich stworzonek łązi koło niej i po niej, przewraca się i zpowrotem się wydrapuje, szuka dużymi, ślepymi główkami, znajduje brodawki piersi i mocno się w nie wpija, od czego przejmuje ją przyjemne, szczęśliwe ciepło i słodkie drzemanie ogarnia... aż sen ją całkowicie zmorzy.

Zaś stary nocy tej nie spał. Nadśluchiwał do składu, skąd dochodził go oddech Duńki i ssanie małych — cs, csss, — i zdawało mu się, że się uśmiecha.

W ciemności, po ciasnej lepiance, do której dopiero co wtargnął kawał ciemnej nocy, unosił się uśmiech.

I tak minęło kilka pięknych, radosnych dni, Duńka nie odstępowała składu ani na chwilę. W tym czasie była bardzo zła i prócz starego nikogo nie dopuszczała do młodych. Karmiła je piersią, lizała, całowała i patrzyła z dumą jak rosną w oczach... a stary bawił się niemi, głaskał je, dawał im różne imiona, podkar-

miał i uważał, aby Duńka wszystko miała na czas i nie głodowała.

I kto wie jakiej pociechy byliby się jeszcze doczekali, gdyby się nie było zdarzyło to, co się zdarzyło. Akurat starego gdzieś posłano, Duńkę zwabiono do kuchni, a gdy wrócili oboje do budy, brakowało Duńce pięcioro piesków, stary zaś równocześnie spostrzegł brak zawiniątka ze srebrnymi rublami, których strzegł od lat dziesiątek. Kto wie jak zamierzał niemi rozporządzić przed śmiercią?...

Duńka rzucała się jak szalona po całym podwórzu, w jednej minucie obiegała wiele, wiele razy cały skład, wywąchała wszystkie kryjówki, zpowrotem przypadła do lepianki i obleciała ją wkoło. Potem u wejścia, jakgdyby się czegoś chwyciła, zawahała się z początku, była niepewna, ale zaraz opuściła głowę nisko i ciągnąc się powoli, jakby za sznurkiem, ruszyła naprzód.

Wkrótce zatrzymała się... waha się znowu, kręci się szukając na jednym miejscu, jakgdyby jakąś żywą istotę pochwyć chciała, a owa się wzbrania, cofnęła się o parę kroków i znowu biegiem ruszyła naprzód. I tak dalej, dalej... aż doszła do bagienka rozlewającego się daleko za składem. Tam poczuła jakgdyby sznurek nagle się urwał. Woda go przerwała. Zadrżała jak zbudzona z głębokiego snu... Tuż przy brzegu, w miejscu, gdzie widać było świeże ślady kroków, zatrzymała się. Pilnie obwąchała ziemię i wodę, wiele razy obiegała dookoła bagienko, ale jakoś szczególnie szybko, cała wyciągnięta, z brzuchem tuż przy ziemi.

W SKŁADZIE DRZEWA

Węszyła coś w powietrzu i dziko szczeakała wdał, jakgdyby goniła za jakimś cieniem, który drażni się z nią, znika i znowu się ukazuje.

I po raz drugi zatrzymała się na tamtem miejscu. Zawyla, zaprychała, szukając. Nagle przypomniała sobie dziecko, które zostało w domu. Zawahała się, chciała wrócić, ale stanęła i zpowrotem pobiegła do wody. Znowu zaczęła szukać, węszyć, kopać i wyrzucać piasek nogami.

Zmęczyła się, wywiesiła język i ciężko, zrzadka, wciągała powietrze. Położyła się na tem samem miejscu, na którym znikł ślad jej dzieci, twarzą do wody i gorzko zapłakała.

I tak minął dzień i noc i jeszcze jeden dzień. Tutaj — czuła to — zginęły jej dzieci. Tutaj przerwał i zagubił się ich ślad. I nie może się stąd oderwać. I serce jej się ścisza aż do omdlenia.

Drży cała. Wycie staje się coraz słabsze, jakby przez zęby, ale takie dziwacznie dzikie, jakgdyby psy całego świata razem z nią płakały. Aż umilkła... I tylko para otwartych, zastygłych, złych oczu patrzała w jeden punkt, a dwa szeregi zaciśniętych zębów wydawały od czasu do czasu słabe warknięcia. I tak zdawało się, usnęła... Tylko skóra na niej wciąż jeszcze drżała, sama ze siebie drżała — Duńki już przy tem nie było...

Duńska cicho i spokojnie leżała na brzegu, a w składzie dwie istoty czekały na nią niecierpliwie. Nie wie-

rzyły i nie chciały wierzyć, że już nigdy więcej nie wróci...

Żółty piesek pełzał głodny po budzie i wyciągając główkę węszył przed siebie i na ślepo szukał piersi, piszcząc przy tem uparcie i żałośnie.

Starego pisk ten jakby nożem krajał. Chciał je więc uspokoić, matkował szczenięciu jak mógł, tulił do starej, suchej piersi, grzał, dawał swój palec do ssania, żuł chleb i karmił z ust do ust. A gdy widział, że psina kona, opuścił budę, łąził po składzie i dookoła składu i prosił, wołał tak serdecznie i miękko

— Duńka, Duniuszka! gdzie jesteś? Dokąd cię Pan Bóg zaniósł?

Mijając robotników cisnął im spojrzenie pełne nienawiści i jadu. Zdawało się, iż zaraz rzuci się na nich i pokąsa ich swojemi gołemi, bezzębными szczękami.

I niedługo trwało, a w składzie drzewa zawakowały odrazu dwa miejsca.

Warka

Rano, skoro tylko zaszarzał świt, rzeźnik Symche już po modlitwie, z kawałkiem chleba w kieszeni, stanął pod domem szewca Zanwła i ostrożnie zapukał do okna:

— Zanwel! Wstajesz? Zanwel!

Z domu dało się słyszeć skrzypnięcie drewnianego łóżka, długie, przeciągłe ziewnięcie, a po każdym „Zanwel“ dochodziło stamtąd w odpowiedzi zaspane „co jest?“

Potem uprzykrzony kobiecy głos począł ze swej strony wołać Zanwła i przedrzeźniać jego „co jest?“

I dopiero gdy Zanwel wyraźnie i głośno powiedział: — zaraz, zaraz, już idę! — uspokoiło się i nastąpiła cisza.

Niedługo trwało, a w drzwiach ukazał się ruchliwy, blady młody Żyd z czarnym zarostem na twarzy, odziany w świąteczne palto z długim szalikiem na szyi, o jednym końcu zarzuconym zawadjacko na plecy, w ośmiokanciastej czapce na głowie i ładnej parze butów z twardymi cholewami na nogach.

Zamienili ze sobą parę słów pocichu, jakby nie chcieli obudzić miasteczka, skręcili przez groblę za

którą czatował jeszcze kawał czarnej nocy i opuścili miasteczko.

Nastał jasny, pogodny dzień późnej zimy. Wszystko dookoła pokryte było białym srebrzystym szronem — dachy, klamka u drzwi, gwóźdź w ścianie, nagie gałęzie drzew; we wschodzącym słońcu iskrzyło się to jak rozsiane djamenty, mieniło się tysiącem barw i olśniewało oczy.

Słońce poczęło się zwolna podnosić tuż ponad wilgotne ciemne pola, zasiane gdzieniegdzie białymi skrawkami śniegu. Śmiało, jasno i ostro spoglądało z góry na świat i zapowiadało jasny, ciepły dzień.

Symche szedł naprzód. W kącie warg trzymał mocnymi zębami małą fajeczkę i puszczał wąskie pasemka białego dymu, pykając w takt wargami paf, paf, paf... Od czasu do czasu drugim kątem ust spluwał głośno w powietrze.

Z pod zapiętego płaszcza wyglądał czerwony wutowany lejebik, opasany skórzanym paskiem, para zakrwawionych lnianych cycesów i para wielkich białawych butów z opuszczonymi cholewami a na nich gdzieniegdzie zaschłe, czarne plamy krwi.

Zanwel szedł za nim krok w krok. Na bladej twarzy jego zakwitł świeży, pełen wdzięku rumieniec, wywołany mroźnym porankiem, a na wargach rozlał się uśmiech zadowolenia.

Idąc modlił się z pamięci i myślał z zadowoleniem:

„Jud bejs Tejwes“ upłynął rok od wesela. Tej środy Welwele skończy już dziesięć tygodni. Gdy wy-

chodził z domu przed chwilą, dziecko leżało przy niej w łóżku i ssało pierś. Przez szparę w okiennicy przedostał się wąski sznureczek światła i igrał z jego jasnymi włoskami o dwu małych kołtunkach z tyłu. Od główki sznureczek światła spłynął przez jej pierś i sięgnął aż do białej szyi. Szyja stała się jakby bielsza, pełniejsza. Świetlisty sznurek powędrował dalej przez przymknięte oko, aż do różowego czepeczka...

Poprawił na nich pierzynę i ucałował małą, ciepłą główkę między kołtunki, teściowa zamknęła za nim drzwi i tak wyszedł z domu.

I jak to się szybko stało! Oto jakby wczoraj dopiero był jeszcze czeladnikiem u majstra, zakradał się letnią porą do obcych sadów, by natrząść gruszek, lub opasywał koszulę rzemieniem i nabierał pełną pazuchę bobu i strąków grochowych, a w Hejszane Rabe wyruszał wraz z całą chewrą, uzbrojoną w noże i kije do parku hrabiego, by naciąć nad stawem wierzbinę na „Hejszanes“.

A dziś — gospodarz przy własnym warsztacie, sam już trzyma sobie terminatora. U teściowej w domu ma osobny alkierz na mieszkanie, okno do pracy i parę grządek w ogrodzie; w bejs hamidraszu ma własne miejsce, a o szarej godzinie, między Mynche i Maariw zasiada już wraz wszystkimi poważnymi Żydami, by posłuchać ustępu „Ajin Jaakow“...

A teraz prowadzi go rzeźnik Symche dla oglądnięcia krowy. Cieszy go, że będzie miał więcej zajęcia. Łobuzy będą mieli dlań więcej respektu i przestaną

mu w bożnicy supłać cycesy z tałesu lub chować woreczek tałesowy.

Zajęty temi myślami zmówił Zanwel całą „Sze-mojne esrę“ i „Tachnun“, przy „Ułejnu“ splunął, zapatrzył się na szerokie plecy Symchy i jego brudny, zarośnięty, leniwy kark i wciąż następował mu na pięty. Myśli jego przeszły na krowę. Symche dokładnie mu ją opisał: Krasa, mała i żwawa, młoda, drugi rok na paszy i po pierwszym cielęciu. Jego nikt nie oszuka. Po rogach pozna. Po każdym cielęciu obrączka. Ogon ma być długi do kostek, dojki duże i grube. I jeszcze inne znaki zna Zanwel...

Słońce podniosło się wyżej. Pogodne niebiosa roz-toczyły się w krąg. Djamenciki poczęły topnieć i po jednym znikają.

Sanna się popsowała. Pod nogami było grzązko. Gdzieniegdzie pozostał jeszcze kawał zczerniałego lodu, który pryskał pod stopą i rozlaził się.

W wybojach, i w koleinach rozlały się małe ka-łużki. (Na noc zaciągają się cienką szklistą błonką, a we dnie znowu się topią).

Z okolicznych wsi poczęli się ukazywać chłopci w białych, niedzielnych siermięgach i łykowych posto-łach, zmierzający do kościoła w miasteczku. Chłopka w białym czepcu na głowie przyniosła kure i parę jaj w chustce, wiązaną szczeci; wiejska furka zaprzężnię-ta do brzuchatej, leniwej klaczy, nadwiozła parę wią-zek siana i ćwierć ziemniaków na sprzedaż do miasta.

Wreszcie doszli do wsi. Po obu stronach gościńca stało kilkadziesiąt zagród chłopskich. Chałupy rozłożyły się wszerz, jakby odwrócone od gościńca i patrzyły każda w stronę własnego obejścia.

Zwęszył ich jakiś pies. Wylazł z pod wrót i ochryple, głupio, natrętnie począł na nich ujadać. Wkrótce przyłączyło się do niego jeszcze kilka. Symche puścił Zanwła przodem, a sam z zimną krwią szedł za nim, z fajeczką w zębach i laską na tyle, odpędzając psy.

W małych szybkach pokazały się lniane główki dziecięce. Przez szparę uchylonych drzwi wyjrzała twarz i zawołała na jednego z psów po imieniu. Chłop z gołą głową, rozchełstaną koszulą na zarośniętej pierś, na której wisiał mały mosiężny krzyżyk na czerwonej tasiemce, wyszedł z chałupy i zamienił z Symchą „dzień dobry“.

Przed chałupą, o dwu małych okienkach do ulicy, oczekiwał ich gospodarz — Wasyl Baran.

Był to chudy, spracowany, szeroko-kościsty chłop, w średnim wieku, o szarych, małych i ostrych oczkach. Na twardej, ogorzałej twarzy fałdowały się liczne zmarszczki pełne samopoczucia. Broda i szyja usiane były jasnymi, strzyżonemi, kłującymi włoskami, a na głowie miał naciągniętą przez uszy dużą baranią czapę, otoczoną półwieńcem równych, długich brudnoblond włosów.

Biała, nowa, niedzielna siermięga zapięta była na szyi patyczkiem o pętelkę. Z obnażonej szyi wyglądała spiczasta grdyka, a para chudych nóg w wypranych,

połatanych, płóciennych spodniach tkwiła w nowych, dużych butach.

Na żydowskie „dzień dobry“ skłonił się głęboko i odpowiedział życzeniem „dobrego zdrowia“.

Wszedłszy na podwórze ujął za kark dużego kundłatego kundla, — który przez cały czas warował z głową między przednimi łapami, spoglądając z podejłą na gości — zaciągnął go do budy i uwiązał na łańcuchu.

Z chałupy ukazały się jasno-łniane głowy, białe chusteczki kobiece i z ciekawością, a nienawiścią patrzyły za nimi.

Gospodarz napędził wszystkich do chałupy, jakby stado owiec.

— Anu — do chałupy!

Posłuchali i skryli się do chaty, tylko jedna starsza kobieta w białym czepcu, z białymi zwisającymi przez szyję końcami i z miedzianą ogorzałą twarzą, natrętnie zakłęła w ślad za nimi, jadownicie wymachując obiema rękoma:

— Licho ich tu naniosło, żeby im nogi pokręciło... I sypała a sypała...

Wasył nie odrzekł ani słowa.

W jednym szeregu z chatą znajdowała się stodoła, z szerokim przydaszkiem, pod którym stał próżny wóz, para starych kół, socna i brona. Na ścianie wisiały rozmaite podręczne narzędzia: Widły, para grabi, kosa. Naprzeciwko stodoły sterczał stożek siana z wy-

skubaną z tyłu jamą i czarnym, zgniłym wierzchem, ze śladami szerniałego śniegu na szczycie.

Obok stodoły w poprzek podwórza — stajnia, niski stary budynek. W stajni stało kilka sztuk przywiązanego za szyję bydła: Para ogromnych, niezgrabnych wołów z szeroko rozpostartymi rogami, sięgającymi aż do krokwi. Para byczków jeszcze nie przyuczonych do zaprzęgu, cielęta z pierwszej paszy i kilka ocielonych krów z małymi cielątkami dookoła.

Przy drugiej ścianie u koryta stała brzuchata żrebna kobyła, a w kącie za przegrodą chrząkało kilka brudnych świń i tuliło się do siebie kilka białych, gęsto uwelnionych owiec. Gdy weszli do stajni, było obejrzało się ciekawie i patrzyło na przybyłych. Kobyła zarżała w stronę otwartych drzwi.

Wasył czuł się tu w stajni bardzo swojsko. Podszedł do bydła, każde pogłaskał, poprawił im coś, dorzucił karmu, jakby się z nimi witał i miał każdemu z osobna coś do powiedzenia.

Przystąpiwszy do jednej z ocielonych krów nazwał ją „Warka“ i kazał jej się odwrócić. Stała bokiem, odwróciła głowę i po bydłecemu się gapiąc, patrzyła na gości.

Wyglądała bardzo młodo, drobna i ruchliwa o małej, zgrabnej główce, grubych, krótkich nogach i skórze w duże białe i czerwone łaty. Boki miała wpadnięte i delikatnie miękkie po ocieceniu. Około niej skakał mały byczek na wysokich nóżkach — jak dwie krople wody podobny do matki, tylko głowę miał krótszej budowy, i szerszą w skroniach. Za każdym razem, gdy

przybliżał się do matki, ta zatrzymywała go i oblizywała mu każdy członeczek z osobna.

Zanwłowi podobała się bardzo. Piękniejszej krowy nie mógł sobie wyobrazić. Pozostał, by poczekać aż odstawią od niej byczka, aby zobaczyć, jak się doi. Symche odszedł za swojemi sprawunkami do drugiej wsi.

Gdy odebrano jej cielę i zamknięto do przegrody wraz z owcami, naciągnęła Warka mocno uwiązaną szyję, z ciekawością i strachem popatrzyła w ślad za niem i wydała żalosne „mu!“ Potem poczęła się kręcić i szarpać. Oczy jej powiększyły się i nabiegły krwią.

Wasył odwiązał ją. Jednym skokiem znalazła się przy chlewiku i poczęła pędzić wokoło przegrody. Cielę wewnątrz biegało również wzdłuż ścian i jej naprzeciw. Owce stłoczyły się ze strachu w kłęb i zamieniły w jedną bryłę.

Warka wynalazła dziurę w przepierzeniu, przyklękła na przednie nogi i wysunęła język. Cielę tuliło się do niej przez ścianę i po jednym podawało jej do lizania wszystkie członki.

Z chałupy wybiegła nagle mała dziewczynka w czerwonej barchanowej spodniczce. Bose nogi tkwiły w dużych trepach, wyciętych z ojcowskich butów. Była to pastuszka Warki. Wychowała ją i długie dni letnie spędzała z nią razem.

Wbiegłszy do stajni przypadła do nóg ojca, objęła buty małemi rączkami i drząc szlochała:

WARKA

— Bat'ku, nie sprzedawajcie naszej Warki! Batiu-gołabku-zazulko-ptaszku-sokoliku!...

— — — — —

Na dworze było ciepło i Zanwel pozostał przez cały dzień w zagrodzie chłopskiej. Wasyl uwijał się milcząc na podwórzu, wynajdywał sobie corazto inną robotę i unikał wstępowania do chałupy.

Zanwel przyglądał się pilnie wszystkiemu. Wypuszczono bydło do studni. Warka wyglądała wdzięcznie i zgrabnie. Gdy tylko przystąpiła do studni, rzuciła się zaraz z powrotem do stajni z przeciągiem „m-u-u!“ Zanwłowi podobały się jej kaprysy. Coś go w niej pociągało. A równocześnie czuł się jakby czegoś winny wobec rodziny Wasyla i unikał ich spojrzenia.

Przedwieczorem powrócił Symche ze swej wędrówki po wsiach. Pokosztowano i zbadano mleko Warki, potargowano się jeszcze trochę i wreszcie dobito targu.

Zanwel wydobył skórzaną torebkę, wiszącą u niego na piersi pod koszulą i wyjął pieniądze na zadatek. Krowę pozostawił we wsi do wtorku (pomyślny dzień — w ten dzień Pan Bóg rzekł dwa razy „ki tojw“, że dzieło jego stworzenia dobrem jest), wówczas przyjdzie ją odebrać.

Cicho i lekko opuściła się noc na pola, na wsie i miasta i legła na ziemię lotnym przymrozkiem. Wśród ciszy i ciemności szło gościńcem ze wsi do domu dwoje ludzi. Jeden stąpał leniwie, tępo i obojętnie,

a drugi nóg nie czuł ze szczęścia i ani się spojrzął, jak mu droga minęła.

Zanwel był zmęczony, z wypiekami na twarzy i blaskiem zadowolenia w źrenicach. Ze smakiem i słodyczą w ustach opowiadał wciąż, a opowiadał o swej dzisiejszej wyprawie i w końcu zasnął zmęczony, szczęśliwy jak dziecko.

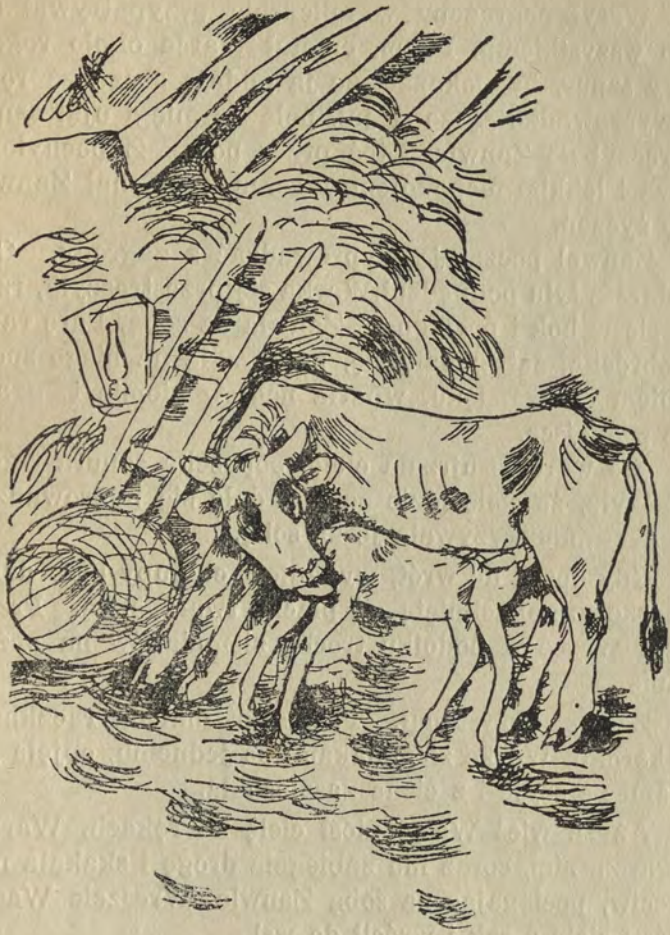
Przez cały poniedziałek robiono przygotowania. Wyprzątnięto stajenkę, wysłano ją miękko słomą, zdjęto ceber z pejsiecznego naczynia i oddano do kowala, by go okuł nowymi obręczami. Wreszcie — zanim zdarzy się kupić — pożyczono tymczasem u sąsiada worek plewy owsianej. We wtorek zaś o świcie, Zanwel przeliczył resztę pieniędzy, wziął ze sobą trochę chleba i soli i wyruszył do wsi.

Warkę zastał stojącą osobno (na uboczu) a przed nią nałożono na pożegnanie całą górę najlepszego siana.

Cielę brykało wesoło koło matki, co chwila zapadało w kupę siana i zpowrotem wyłaziło. Porywało się do ssania, buchnęło parę razy głową o wymię, ssało chwilę i ustawało... Gdy poczynąło ssać, Warka unosiła z siana żujący pysk i zwolna, ostrożnie, by mu nie przeszkodzić w jedzeniu, obracała głowę i przypatrywała mu się z miłością.

Zanwel podał jej chleb i sól. Miało to oznaczać: Od dziś przechodzisz na mój wikt.

Z początku bała się go. Potem wyciągnęła głowę, obwąchała chleb i wyjęła mu go z ręki. Jadła chleb, oblizywała się i lizała jego rękę, jakby godząc się na



wszystkie jego zamysły.

Wasył pogrążony w milczeniu przypatrywał się tępo wszystkiemu. Potem omotał Warce około rogów nowy sznur, by pokazać, że ją oddaje szczodłą ręką — wyprowadził ją ze stajni, połą siermięgi ujął sznur i wręczył go Zanwłowi też przez połę. Z pochyloną głową i lekkim niepokojem w sercu wysłuchał Zanwel jego życzeń.

Zanwel począł ją wyprowadzać z zagrody. Gospodarz z tyłu podpędzał, Warka się przestraszyła, rzuciła się w bok i pociągnęła Zanwła za sobą. Parę razy go obróciła, zatrzymała się, popatrzyła na niego spojrzeniem pełnym lęku, wparła nogi w ziemię i — ani rusz z miejsca.

Ale wkrótce ujrzała ciele, popuściła sznura i gdy zobaczyła, że cielę idzie za nią, dała się poprowadzić i cichem „mu“ wzywała je za sobą.

Gdy doszli do wrót, wypadło z chałupy bose dziewczętko, z zapuchniętą od płaczu twarzą. Przyniosła Warce w podółku trochę ziemniaków na pożegnanie.

Zanwel przystanął. Pastuszka małemi rączkami podkarmiła Warkę ziemniakami po jednym, objęła ją rękami za szyję i z cicha zaszlochała.

Aż za wieś Wasył niósł cielę na rękach. Warka biegła za nim, coraz mu zabiegała drogę i skakała na przeciw, pociągając za sobą Zanwła. Wreszcie Wasył spuścił cielę z rąk i wrócił do wsi...

Warka podbiegła najpierw do cielęcia, jakby się chciała przekonać, czy mu co złego nie zrobiono. Po-

WARKA

tem obróciła głowę w stronę wsi i przeciągle, donośnie zaryczała, jakby wzywała ze wsi pomocy. Odpowiedziały jej ze stajen stłumione głosy:

— Mu, mu!... My nic nie możemy pomóc...

Jak długo widać było wieś, Warka wciąż szarpała sznur i rwała się z powrotem. W końcu uspokoiła się i poczęła iść za Zanwlem gościńcem wiodącym do miasta. Cielę, przyzwyczajwszy się do chodzenia, postępowoło za nią. Parę razy zatrzymywała się, obracała i skakała głupio około cielęcia, patrzyła na pola i wołała wdal.

Często natrafiała na szczyrniały kawał lodu, spuszczała głowę wystraszona, rozdymała nozdrza i chrapiąc obwąchiwała biały przedmiot. Gdy zaś uparła się i nie chciała ruszyć z miejsca brał Zanwel cielę na ręce i Warka biegła za nim...

Do domu przywlekli się dopiero podwieczór. Zanwła wszystko bolało, ciężko sapał, a twarz płonęła mu ogniem.

Warka zatrzymała się pod domem, drząc na całym cielem, jak w febrze, a zapadłe boki wznosiły się do góry i na dół. Pysk ociekał pianą, oglądała się ostrożnie i pilnowała cielęcia.

Mały ledwo się na nogach trzymał, zwiesił główkę i wciąż tulił się do matki.

Wkrótce wprowadzono ich przez sień do stajni. Z początku Warka się opierała, ociągała się przed drzwiami.

Ale gdy wniesiono przed nią cielę, przesadziła próg jednym skokiem i weszła do środka.

Gdy znalazła się w stajni, była zmieszana, ciekawie oglądała się dokoła i wąchała powietrze. Żona Zanwła obchuchała ją przed urokami, zakreśliła około niej koło garścią soli, wysypała sól u progu i zabrała się do przyrządzania cebra. Warka długo obwąchiwała jedzenie, spróbowała i odstawiła. Wyszukała sobie kąt, zabrała nogi pod siebie, ze stękiem legła na ziemię i wyciągając, głowę ku pustym, ciemnym ścianom, ciekawie nasłuchiwała w stronę dalekiego świata.

Dzień się skończył. Ostatnia czerwień zachodzącego słońca rozesała się na drzewach, okalających groblę. Rzemieślnicy odkładali pracę — śpieszyli do bejs hamidraszu. Gospodynie doily krowy, a wydoiwszy, nakrywały skopek fartuszkami przed zawistnym okiem ludzkim i chyłkiem przebiegały ze stajni do izby. Z kominów wypełził wąski, błękitny dymek, zapowiedź przystawionej do ognia wieczerzy i cicho jął się unosić ku spokojnym, przedwieczornym niebiosom.

Zanwel wciąż jeszcze uwijał się około stajni. Przyrzucił słomy do podściółki, wody przyniósł, podarł starą koszulę i szpary pozatykał.

A gdy w miasteczku poczęły lampki wygasać, a żydzi zmawiali Kryszmę i zabierali się do spania, zdawszy ulicę pod opiekę nocy, — wówczas w stajence szewca Zanwła, gdzie dotychczas leżały tylko klepki po rozeschniętej balji i stare kopyta, oddychały w półśnie dwie żywe istoty i coś ciężkiego, niewyraźnego snuło im się po głowie.

WARKA

Przez parę dni Warka była smutna. Ze strachem patrzyła na stajnię, jednostajnie ryczała i wsłuchiwała się w echo swego ryku.

Jadła mało. Wody przynoszono jej do stajni. Ale gdy tylko wtykała głowę do wiadra, opadał ją strach, wyrывała głowę i szukała oczyma cielęcia.

Z początku nie dojono jej. Z tęsknoty utraciła była mleko, ledwo dla cielęcia starczyło. Później poczęto wykradać u cielęcia po pół garnuszka, po garnuszku. Mleko to poruszyło całą ulicę. Każdy kosztował i wypowiadał swoje zdanie. Nastawiano je na kwaśne. Odrobinę śmietany zebrano, dano do flaszki i tak długo, nią wstrząsano, aż poowstała grudka masła. Kwaśne mleko odegrzano, scedzono, porobiono małe gomuleczki sera i położono je na okno nad warsztatem do suszenia.

Potrosze Warka się przyzwyczaiła. Stajnia, ludzie stali się jej swojscy. Jeszcze jej się coś snuło po głowie o domu, o tamtem bydle, ale już zaczynała zapominać i tem silniej przywiązała się do cielęcia.

Z natury była ona łagodna, przystępna. Doić było ją bardzo łatwo, usuwała natychmiast prawą nogę, dawała sobie wymyć wymię i spokojnie wsłuchiwała się w dojenie.

Tylko cielę musiało się wówczas znajdować przed jej oczyma. Wystarczyło by się odwróciło na chwileczkę, a już stawała się niespokojna, wyginała głowę i miękko, prosząco poczyniała je wzywać... A gdy czasem nie zaraz przychodziło, Warka wyrывała się,

przewracała wszystko i podbiegała do cielęcia, drząc na całym ciele. Ciche, miękkie „mu-mu“. Jej lizanie i skakanie wokoło cielęcia było nieraz pijane i pełne radości, że mogło się wydawać, iż za chwilę oszaleje ze szczęścia.

Gdy rzeźnik Symche przyszedł na drugi czwartek po cielę, by je zarznąć na sobotę, wszedł sam do stajenki, zarzucił Warce worek na głowę, chwycił cielę za ogon i wyciągnął je na dwór.

Długo Warka zmagala się z workiem, ryczała i rzucała głową na wszystkie strony, uderzając nią co chwila o ścianę.

A gdy wreszcie zrzuciła ze siebie, worek, oglądała się pilnie wkoło siebie i wydawała smutne, rozdzierające „mu“, kręciła się na miejscu, jak pies, usiłujący złapać własny ogon. Potem przypadła do ziemi na przednich kolanach, poczęła rogami ziemię kopać, do góry je rzucać i tak dziko ryczała, że lęk powiał po ulicy.

Ludzie zebrali się dokoła stajni. Nikt nie śmiał wejść do środka...

Zanwel pobiegł jak szalony do Symchy, by odebrać cielę. Gdy poszedł do domu Symchy, poczuł jeszcze zdaleka zapach krwi i świeżego nawozu. Przed domem uwijał się chudy, wyleniały pies, z opuszczonym ogonem coraz przypadał do ziemi i coś węszył.

Stajnia była otwarta. Naprzeciwko bramy wisiał wielki tułów bydlęcy sięgający od pułapu aż po zie-

WARKA

mię. Para obłupionych kolan sterczała na dwór, a ze szyi sączył się sznurek czarnej, stygnącej krwi i mieszał się z nawozem.

Z boku leżała obłupiona głowa z resztkami czerwonej skóry wokoło pyska i dużemi, wybałuszonemi, większemi niż za życia oczyma...

Po drugiej stronie znajdował się stół, na stole wątroba i płuca. Symche trzyma przy ustach tchawicę krowią i czerwony jak burak nadymał ją...

Szołem-szojchet, dychawiczny żyd z wpadniętą piersią, płaskał ręką o nadęte płuco, tu i ówdzie dotykał go umaczanym w ustach palcem i pokaszliwał. W kącie za przepierzeniem stała żywa krowa i obojętnie przypatrywała się wszystkiemu...

Powyżej na belku wisiało parę cieląt. Zanwel zaraz poznał swoje. Na kołku, wetkniętym między związane tylne nóżki, zwisało ono z belka z otwartą na przodzie skórą, jakby w rozpiętym płaszczyku i z próżnym brzuszkiem, wypchanym kawałkiem drzewa.

Nóżki zwisały ze skórki, jakby były przyszyte i chwiałały się w powietrzu. Szyja była przecięta akurat na białej plamce, z czarnemi kroplami krwi dokoła. Oczy były otwarte i duże, a pełne przerażenia, jakby w nich reszta życia zastygła. Mały pyszczek był sztywnie zaciśnięty, z koniuszkiem języka między zębami. Na samym koniuszku zastygło czarne pasemko krwi...

Ciężka, duszna noc.

Noc — nie noc i nie dzień. Otchłań bez ziemi i bez

nieba. Nudna zieloność przebija skądciś i nie wiadomo, czy jasno jest, czy ciemno. Gdzieś wyrasta stajnia, a wokoło stajni psy pełzają przez całą noc i smutnie, bezustannie wyją.

Zanwell chciałby na nie krzyknąć:

— Obyście się zapadły pod ziemię, razem ze swymi gospodarzami!!

— Ale jakby ciężki kamień przytłoczył mu serce i głosu nie może wydobyć. Psy podkopały się pod stajnię i wywlekły stamtąd nagą, obłupaną głowę z oczyma błyszczącymi w ciemności. Nastąpiła bójka, kąsanie i szczekanie do ogłuchnięcia. Psy rozszarpały głowę na kawałki i skrwawione, na trzech nogach kulejące, z poodzieranymi uszami znikły gdzieś w pomroku, jakby w zaświatach.

Ze stajni występuje ciele — Warczyne ciele, takie samiuteńkie, jak je widział: Z otwartym brzuchem i przeciętym gardłem. Idzie na dwu podciętych kikutach, wlokąc za sobą skórę z nóżkami. Idzie wprost na niego. Oczy są wywrócone i odzwierciedlają w sobie zielony strach...

Doszło do domu — poznaje ten dom — jego dom, z nową tarcicą na dachu. Oto weszło do alkierza i podszło do kołyski dziecka. Najpierw pochyliło się nad kołyską i zaciśniętym, skrwawionym językiem liże twarzyczkę dziecka. Potem wyciąga gołe przednie kikuty nóg i chce wyjąć dziecko z kołyski. Dziecko rozumie i opiera się, wpija się rączkami w sznury, na których wisi kolebka i krzyczy:

WARKA

— Ma-me!...

Zanwel śpieszy mu na pomoc i usiłuje odciągnąć cielę od kołyski. Ale cielę się nie daje, borykają się, padają oboje na ziemię i dalej się zmagają...

I nagle Zanwel obudził się od własnych krzyków. Leżał na łóżku, skąpany w zimnym pocie. Rozpoznał alkierz, namacał tylną ścianę łóżka z gałeczkami po rogach. Z drugiej izby dochodziło swojskie stukanie zegara — „tak, tak“ — a z ulicy donosiło się wyraźne wycie psa.

Zaświecił światło i podbiegł do dziecka. Leżało w kołysce rozegrzane, z czerwoną, rozparzoną twarzą i szczęśliwie uśmiechało się we śnie.

Drżąc na całym ciele stał Zanwel u kołyski i wsłuchiwał się w oddech swego dziecka.

Wszyscy w domu przebudzili się i ze strachem patrzyli na Zanwła. Żona wydobyła śpiące dziecko z kołyski i nachuchała na nie, splunęła dziewięć razy i wzięła je do swego łóżka.

Z ulicy wciąż słychać było to samo znajome wycie. Zanwel zastukał w okno i trzy razy powtórzył.

— Obyś przepadł ze swoim gospodarzem razem!

Potem wstał, opłókał ręce, ubrał się i z niecierpliwością jał czekać świtania.

Rano zastano Warkę leżącą w głębokim dole, który sama wykopała i jęczącą cicho, jakby kto ze snu płakał.

Potem zwolna podniosła się, przeciągnęła, z trza-

skiem wypróbowała kości i sennie obejrzała się wokoło, jakby sobie coś przypominając. Wyciągnęła głowę i jak ślepa szukała przed sobą.

Ale gdy postawiono przed nią słomą wypchaną skórkę cielęcia na czterech drewnianych nóżkach, Warka zrazu jakby nasłuchiwała. Potem przyskoczyła i jak szalona jęła lizać, całować martwe wyłupane oczy, zeszytą brudno-krwawą szyjkę i pyszczek z którego wyglądało parę źdźbeł słomy. Aż raptem odskoczyła w tył, głęboko beknęła, głowę z rogami opuściła ku ziemi i zamierzyła się z rozmachem na wypchaną kukłę. Oczy miała wywrócone białkami na wierzch i nabiegłe krwią po kątach. Konwulsyjnie chrapiąc, podsadziła głowę pod wypchaną skórę, grzmotnęła ją z całej siły, podniosła na rogach do góry, trzasnęła na ziemię i poczęła ją szarpać i deptać nogami.

Po ulicy rozległ się niesamowity ryk...

Przez osiem dni szalała w stajence... Umocowano drzwi powrozami i belkami podparto, by się nie mogła wydostać na ulicę. Wyjęto deskę z powały i przez strych na sznurze podawano jej wody. Pokosztowała wody i zaraz ją przewracała, albo kopała wiadro i podrzucała je do góry, tak, że zostawały z niego tylko klepki.

Gdy się zmęczyła, kładła się na ziemię i przez chwilę leżała cicho z białą pianą około pyska. Potem zrywała się znowu.

Przez osiem dni biegał Zanwel jak zwarjowany, kazał zamawiać czary i odczyniać uroki. Nóż wbił do ściany dla odczynienia przekleństwa... Warstat stał



pustką, jakby w czasie żałobnej „szywy“ i był przez cały czas przykryty fartuchem.

Biegał do wsi z „gościńcem“ — chusteczką na głowę dla Warkinej pastuszki, by przebaczyła i powiedziała, że nie „żałuje“.

Dziewczynka patrzyła na niego dziecinnie wystraszona i nie powiedziała ani słowa....

Cała ulica, całe miasto, ogromna masa ludzi — obstępowała dzień w dzień stajenkę Zanwła i z zaciętymi zębami nasłuchiwała... Smutek, śmiertelny smutek pełen lęku i bojaźni wydobywał się stamtąd żalonym rykiem i czarnym krukiem wylatywał na ulicę.

Ze wsi przybył Wasyl-gospodarz. Zaglądnął przez szparę do stajni, długo patrzył i przypatrywał się. Na ogorzałej jego twarzy odbił się głęboki ból i posępność. Zmarszczki około oczu zadrżały. Ze strachem wezwał parę razy Boga, przeżegnał się i odszedł zpowrotem do domu.

Gdy Symche-Kacew i dychawiczny Szolem-szojchet weszli do stajni, leżała Warka z poodbijanymi rogami, skrwawiona i cała umazana, nie ruszając się z miejsca. Leżąc poczuła ich wejście, wyciągnęła głowę i obwąchiwała ich krwawe buty. Oczy jej sterczały wybałuszone i mętne i patrzyły w jeden punkt...

Symche położył ją na boku i zadął jej głowę do góry. Poddawała się i wyciągnęła, jakby nasłuchując.

Dopiero gdy nóż przejechał jej po białej plamie na szyji, Warka jakby zerwała się ze snu, silnie się

wstrząsnęła, głośno charcząc wyciągnęła szyję i wywiesiła język.

A gdy po przecięciu drugiej połowy szyji krew buchnęła jej przez gardło do pyska, Warka oblizwała się czerwoną ciepłą pianą. Zrobiło jej się dziwnie słodko i ciepło. Przez chwilę leżała spokojnie. Potem konwulsyjnie wyciągnęła nogi, sztywnie, drżąco... Po ciele jej przebiegło zimno.

Uciszyła się.

Symche przeciągnął parę razy nożem po haku, by go naostrzyć. Zrobił dziurę w dolnej wardze i począł łupać głowę.

Krew dymiła się ciepłym oparem. Miejscami pieściła się po ciele Warki, przechodziła gdzieś tam drobna fala — jakby małym wiaterkiem podpędzane drżenie — i lekko, lekko fałdowała skórę...

W letni dzień

— A co Srulu, spicie?

— A wyście chyba już wstali?

— Wstałem, wstałem, już i bydło wypuściłem, —
pochwalili się pierwszy — zdaje się, że będzie deszcz.

— Będzie, będzie, — zgodził się drugi.

Rozmowa ta miała miejsce między Denisem Ciapką, gospodarzem w średnim wieku, krzepkim i przysadzistym chłopem, odzianym w zgrzebną koszulę i także, płócienne spodnie, z bosomei nogami o stwardniałych stopach, a Srulem, rzeźnikiem z pobliskiego miasteczka, który jeździł przez całe życie po wsiach własnym koniem i wózkiem i handlował z chłopami. Z Denisem łączyła go zażyła przyjaźń i tej nocy spał u niego w stodole.

Rozmowa toczyła się w piątek o świcie; na dworze było duszno i parno — i zapowiadał się deszcz.

Denis obrządził zagrodę i wyprawił w pole — z bosą dziewczynką w krótkiej, czerwonej spodniczce: Dojną krowę, byczka na pierwszej paszy, parę młodych wołów, wielką chudą maciorę z całym tuzinem czarno-białych prosiąt i trzy duże gąski, prowadzące za sobą piętnaście żółciutkich małych gęsiąt. Zamknął

za nimi wrota i ocieężałe, a poważnie stąpając, ruszył do stodoły po owies dla konia. W rozmowie swej nie powiedzieli jeden drugiemu nic nowego. Sruł przebudził się już dawno. Jakiś dziwny ciężar przytłoczył mu serce tej nocy. Obracał się z boku na bok na postaniu i nie mógł zasnąć. A gdy człowiek nie śpi, wówczas leży i rozmyśla; myśli się mieszają, przychodzą, odchodzą i robią miejsce innym.

A są one różne. Naprzykład o tem, że kiedy zaczęła się pasza, podrożało bydło. Płać na wagę złota! Albo tem, że w Warszawie potaniało „trefne“; upały są wielkie, a tu nadchodzi „post“ i chyba wyrzucaj wszystko na dwór. Myśli o przeklętej „parnuse“. Tyłko w tę jedną sobotę człowiek dom swój ogląda. Dzieci rosą dzikie, jakby, broń Boże nie miały ojca. Niema się komu dowiedzieć, jak uczą się w chederze, niema komu uważać, by dziecko nie opuszczało czego przy modlitwie.

Na myśl o domu, opadła go wielka tęsknota i zimny pot go oblał. Życie odda, by móc teraz być w domu. Dom stał mu się taki miły, drogi i bliski, a zarazem tak dziwnie odległy, oderwany, jakby mgłą przesłonięty, że aż wątpić począł, czy ma jeszcze gdzie wogóle dom i czy jeszcze kiedyś doń dotrze.

O pierwszym promieniu słońca, który przedarł się przez szparę do stodoły, zrobiło mu się lżej. I leżąc na sianie, począł rozpatrywać stodołę, krokwy splecione u stropu i zwisającą na sznurku belki martwą wroną, osnutą pajęczyną i pokrytą grubą warstwą kurzu.

Skądciś zleciała gromada jaskółek i pięknym, lekkim lotem rozsypała się po stodole; latała na dół i do góry, znikwała przez szparę i znowu się ukazywała. Srul słyszał kiedy Denis wyszedł z chaty i jak mówił sam do siebie, potem słuchał dojenia krowy, gargotania gęsi i pluskania kaczek w małej kałuży obok studni.

Słyszał przelot jastrzębia nad zagrodą i głos kwoki, uciekającej z kurczętami.

A oto słyszy jak Denis wypuszcza trzodę i zamyka za nią wrota, słyszy przeciągłe „mu“ wołu i stłumione echo, które powraca z oddali.

Był pewny, że będzie dziś deszcz. To duszne powietrze, mdłości koło serca, opuszczenie, smutek i tęsknota za domem i lot jaskółek taki niski, niski, że prawie skrzydłami klepiska stodoły sięgający, wszystko to wróżyło deszcz.

Gdy Denis otworzył drzwi, wtargnął do stodoły strumień światła i świeżego powietrza ze dworu. Srul wstał, umył ręce przy studni, napił konia, nasypał mu obroku i obaj z Denisem rozeszli się, każdy swoją drogą.

Srul wrócił do stodoły, nałożył tałes i tfiln, stanął twarzą do wschodu i z wielką tęsknotą i ciężkiem sercem wylał swą duszę przed Panem.

Denis poszedł do chaty, rzucił się na kolana w kącie przed ikoną z czerwoną lampką, dziewięć razy się przeżegnał przez całą szerokość piersi, silnem potrząśnięciem głowy odrzucił w tył czuprynę i siadł do stołu.

Skończywszy modlitwę wszedł i Srul do chaty

z pozdrowieniem „dzień dobry“ i do stołu podszedł z życzeniem „chleba i soli“.

Denis pokłonił się za błogosławieństwo siedząc i pełnemi jadła ustami zaprosił go do stołu.

Denisowa odpowiedziała przyjazną twarzą na „dzień dobry“, a na nieme zaproszenie gospodarza dodała:

— „Czem chata bogata, tem rada“.

Srul umył po żydowsku ręce pełną kwartą wody przede drzwiami i odmówił błogosławieństwo nad chlebem. Denisowa podała mu pienisty kubek mleka i siedząc przy stole rozgadali się o świeckich sprawach jak starzy przyjaciele. Denis chwalił mocno Srulowego konia i po raz dziesiąty pytał go, gdzie go kupił i ile zań zapłacił.

Srul odpowiedział mu poraz dziesiąty, gdzie go kupił i ile zań zapłacił i ucieszony dobrem słowem Denisa dodał „bez uroku“.

I chociaż Denis wstawił już był spory kawał chleba i dużą misę kartofli w łupkach, gdy Srul dopiero zasiadł do stołu, mimo to Srul pierwszy skończył ucztę i zmówił modlitwę po posiłku.

Ale że z drugiej strony Denisowa modlitwa po jeździe trwała krócej, wstali od stołu jednocześnie, podziękowali gospodyni i wyszli z chaty.

Denis zaprzągnął do brony chudą, brzuchatą kobyłę z dużą głową, Srul — młodego smukłego konia do okutej bryczki o żelaznych osiach i wyruszyli każdy w swoją drogę.

Słońce podniosło się wyżej, powietrze było parne i spokojne. Listek się nie zakolysał, przydrożne trawki pospuszczały łebki z pragnienia i drzemały w powściągliwej ciszy.

Pola zieleniły się, wśród żyta i ozimej pszenicy czerniły się gdzieniegdzie ciemne pasy jarego zboża, dopieroco zasiane i zabronowane.

Chłopi z motykami w ręku ubijali grzędy i grabiami wyrównywali i wygładzali ziemię pod jarzyny. Sruł coraz wołał do nich to „dzień dobry“ to „szczęść Boże“. Chłopi odpowiadali na życzenie, prostowali grzbiety, opierali się o motyki i patrzyli na niebo:

— A będzie deszcz?

— A będzie widać, będzie.

W jednej wiosce Sruł miał zabrać byczka. Gdy wjechał do wsi, panowała tam dziwna cisza, jakby cała wieś wymarła; prócz dzieci w długich koszulinach i kilku staruszków podobnych do cieni z tamtego świata, nie było we wsi żywej duszy.

Uwiązał konia przy znajomej chałupie, zabrał ze sobą powróż i poszedł w pole.

Trzoda była szeroko rozprószona na wygonie za brzozowym laskiem. U wejścia do lasu siedziało parę pastuchów w krótkich siermięgach i szerokich słomkowych kapeluszach własnej roboty i nakładali ogień. Zgrzebne stare spodnie były u spodu sztywno zawiązane i mokre powyżej kolan. Od rana parali się oni z łowieniem ryb na obiad w pobliskich moczarach. Nic nie

złowili, byli źli, przemoczeni i nałożyli ognisko, aby przeschnąć.

Gdy Srul podszedł do nich i powiedział o byczku, sprawa im się podobała. Zerwali się wszyscy i rozbiegli się po lesie szukać byczka.

Z początku nawoływano go miękkimi dobrymi słowami. Jeden próbował go zwabić kawałkiem chleba. Byczek podsunął się do chleba — powoli, ostrożnie, wyciągnął szyję i węszył przed sobą. Ale gdy podszedł bliżej i parobczak chciał go pochwyć za rogi, byczek skoczył w tył, rycząc głośno i rzucił się do ucieczki.

Przez długi czas wodził ich za sobą, przeskakiwał przez pnie i zwalone gałęzie. I im dłużej za nim goniono, tem dzikszym się stawał. Z pobliskich zagonów pospieszono z pomocą. A gdy wszyscy byli już pomęczeni i z mokremi od potu koszulami, a byczkowi biała piana biła z pyska, zatrzymał się nagle w gonitwie, obrócił się do parobków, ciężko sapiąc poszedł im naprzeciw, pełen ufności i poddania.

Jeden z pastuchów chwycił go za szyję. Srul zarzucił mu sznur na maleńkie rogi. Nie bronił się, tylko z dziwną ciekawością i lekkim dreszczem wsłuchiwał się we wszystko, co z nim robiono.

Wkrótce ruszyli do wsi. Z początku rzucał się, opierał i ani rusz z miejsca. Po raz pierwszy miał sznur na rogach, było mu niewygodnie i wogóle czuł się nieswojo. Potem jednak uspokoił się i jak ujeżdżony koń pomarszerował wąską miedzą w kierunku wsi.

Srul szedł z boku ze sznurem w jednej ręce, a



drugą wodził mu po grzbiecie, obmacywał szyję, pierś i jeszcze raz stwierdził, że jest tłusty i że będzie miał tych trzy i pół puda, na które go ocenił. Byleby się tylko broń Boże nie strefnił!

Przyszedłszy do wsi, założył mu Srul pętlę na przednie nogi, zaciągnął jedną tylną i powalił go na ziemię, jak wielki ciężar, z hukiem. Potem przechylił bryczkę, wrzucił go i puścił się w drogę.

Gdy znalazł się na gościńcu, prowadzącym do domu, południe było już blisko. Dzień był gorący. W powietrzu zawisła parna duszność, utrudniająca oddychanie. Koń włókł się zwolna, w gorącym, rozpalonym piasku, pilnie i niecierpliwie smagając ogonem, by odpędzić rój much, który jeszcze od rana usadowił mu się na grzbiecie i nie chciał ustąpić. Ogon nie mógł much dosięgnąć. Wstrząsał więc skórę od czasu do czasu, od czego muchy podnosiły się na chwilę i zaraz siadały z powrotem. Tylko mała obrączka na szczycie kabłąka odzywała się pilnie na wstrząśnięcia i długo — długo pobrzękiwała.

Chłopi odkładali robotę i szykowali się do „połudzienku“. Przejeżdżając Srul kiwał do nich głową. Miało to znaczyć „chleba — soli“. A ich niema odpowiedź oznaczała: — Bóg sprawił, że rośnie, kto głodny, niechaj przybędzie i posili się...

Potrosze niebo poczęło się zasnuwać chmurami. Skądciś wypłynęła mała jak garść chmurka i przyciągała do się spojrzenia chłopów.

Z lasu naprzeciwko zapachniało jakby paloną smołą.

W lesie było jeszcze duszniej. Wysokie sosny stały z zadartymi do góry czubami, jakby nadśluchując.

I naraz skąd-ciś nadleciał lekki wiaterek, wdrapał się na szczyty drzew i począł je lekko kołysać. Drzewa pochylały się jedno ku drugiemu, jakby się obejmowały, całowały i z ust podawały wieść o deszczu.

Po lesie przebiegł cichy, tajemniczy szept. To gniewny, to łagodny. Koń i cielę zadarły głowę do góry i nadśluchiwały. I znowu nastąpiła cisza...

Mała czarna plamka na niebie poczęła rósć, rozrastać się i rozpościerać; zakryła lekkie, białe obłoczki i pochłonęła je wszystkie — coraz szersza i szersza; za chwilę zasnęła całe niebo i zakryła słońce.

W lesie pociemniało, a w niemych pomroku czuć było coś zateńłego i ciężkiego, jakby lasowi coś padło na piersi, jakby próbował to wykaszlać i nie mógł.

Niedługo trwało, a ognista błyskawica przerznęła nagle ciemności i na chwilę rozjaśniła las. Po błyskawicy dało się słyszeć „kr.. kr.. kr...” krótkie i złe, przybywające skądciś z daleka, jakby się staczało z wierzchołka góry nadół.

Srul zaszeptał w skupieniu modlitwę na gromy i błyskawice, wydłubał ze słomy tańs i tefiń i położył je obok siebie.

Las rozjuszył się, jakby mu kto przykrą nowinę obwieścił, która go z równowagi wyprowadziła. Z minuty na minutę stawał się coraz posępniejszy i bardziej

gniewny. Po drugim i trzecim grzmocie poczęły się odrywać od nieba pojedynczo, duże krople. Uderzały o rozwścieczone drzewa, spadały z nich na ziemię i głębokimi dołkami grzęzły w piasku.

W powietrzu zelżało cokolwiek, jakby lasowi ciężar spadł z piersi.

Przez chwilę zdawało się, że las się uspokoił i wsłuchuje się w deszcz. Raptem silna błyskawica, ni-by wąż ognisty, przecięła całe niebo. Wszystko wstrzymało oddech w oczekiwaniu. Po błyskawicy dał się słyszeć grzmot, jakby skądś z bardzo daleka, z innego świata nadchodzący, a coraz bliższy, silniejszy.

Las zadrżał. Koń stanął, byczek podskoczył na wozie i upadł z powrotem.

Srul rozpoczął werset Psalmu i nie skończył. Przez chwilę był ogłuszony. Piorun zaczepił o wóz, przeszedł przez oś, a gdy z osi do ziemi spłynął, Srul już nie żył. Ze skrzywioną twarzą wyciągnął się raptem na wozie, tylko raz zębami zgrzytnął i zwiesił głowę przez drabinę...

Lunał silny deszcz, koń i byczek, ogłuszone przez chwilę, odetchnęły i przyszły do siebie.

Jeszcze jedna błyskawica, jeszcze jeden grzmot i deszcz ustalił się równomierny, rytmiczny, jak dobrze zgrana orkiestra. Powietrze stało się lżejsze i jakby odświeżone.

Koń poczuł wolne lejce, spuścił więc głowę i zaczął skubać trawkę przy drodze i jakby wcale nie za-

przagnięty z wolna począł zbaczać z drogi, szukać lepszej trawki.

Wózek zahaczał od czasu do czasu o pniak, lub o jaki dołek, odskakiwał, przeskakiwał. Wtedy zmarły chwiał się wraz z wozem i przytakiwał głową.

Byczek wpatrywał się przez chwilę w twarz Sruła, tępo, po cielęcemu. Było mu zimno i niewygodnie, prze-giął głowę przez drabinę wozu i rwał się do świeżej trawy.

Za parę godzin deszcz naraz ustał. Niebo wypogodziło się i wyglądało jak dziecko, gdy się wypłacze. Na wypogodzonym niebie ukazało się wielkie, czerwone przedwieczorne słońce, jakby świeżo wymyte.

Nad ożywioną ziemią rozniósł się zapach świeżych ziół i kwiatów polnych i napełnił powietrze.

Z drzew zwisały krople krystaliczne, przejrzyste i duże; odrywały się pojedynczo i z szelestem spadały na ziemię. Gdzieniegdzie kropla zatrzymywała się jeszcze w zagięciu listka, na krawędzi trawki lub w kielichu kwiatka, jak duża łąza dziecięca, jasna i srebrzysta i odzwierciedlała w sobie ostatnie promienie dnia, niby purpurę na srebrze.

Jasny, lekki i świeży podwieczór rozlał się po całej ziemi.

Srul leżał na wozie jak przedtem. Odkryta głowa zwisała, z wozu, wymyta przez deszcz, twarz pokryła się brunatną żółtością, mokra broda przylepiła się do szyi, a wygasłe oczy były otwarte i patrzyły w jeden punkt. W fałdach chudych policzków i w oczodołach

stały krople deszczu, jak nicotarte łzy i odbijały w sobie las i resztki słońca jego ostatniego dnia...

Odzież była przylepiona do ciała, z pod rozpiętego kaftana widać było brudne „tales-koten“, para kolan u chudych nóg patrzyła w niebo. Jedną ręką trzymała tales i tefiń, a druga zwisała i chwiała się wraz z wozem.

Koń i byczek były przemoczone i skurczone. Koń otrząsnął ze siebie wodę i wciąż skubiąc trawkę ciągnął się drogą wiodącą do domu.

Na sobotę już nie zdążyli. Gdy dojechali do miasteczka, świąteczność sobotnia ogarnęła już była całe miasteczko. Blask świeczek sobotnich wylewał się z domków na ulicę i z sobotnią serdecznością pozdrowiał dalekie pola.

Stary pies Sruła zdaleka poczuł ich przyjazd. Zadarł głowę do góry i smutnym rozdzierającym lamentem, przeciągle zawył. Zwolna wjechali w ulicę i spokojnym, wolnym truchtem koń podjechał do domu, wioząc martwego gospodarza i żywe cielę.



Krowa

Jedyną rzeczą, która jeszcze jako tako podtrzymuje Weiwła, syna Ester Bejli, (dawniej był zamożny), to jego krowa. Ładnieby wyglądał, gdyby się tak spuścił tylko na swoje zarobki! Dzieci jego zapomniałyby nawet o smaku gotowanej strawy. Tak zaś, z bydlęciem przy domu niema nic strasznego: Jako tako można sobie dać radę! Jest kropla mleka, można krupnik zabielić, łyżka śmietany, można chleb posmarować; grudeczka masła, łyżka mleka kwaśnego. Jest czem dziecku gębę zatkać, jest czem samemu głód przepędzić, utarguje się parę groszy i dom nie stoi pustką. Dobrobyt w domu.

Człowiek czuje się jakiś pewniejszy siebie, śmielszy, nie tak przygnębiony. Czuje, że sztuka bydła stoi w jego stajni. Ze stajni słychać jej oddychanie, przeżuwanie i ciepło aż przenika całe ciało. Tak miękko się robi na sercu. Stajnia nie jest próżna. Jest w niej żywa istota, o którą trzeba się troszczyć, pamiętać by jej dać na czas ceber, garść siana, wiadro wody. Ona wywdzięcza się za to, pozwala się doić rano i wieczorem, daje dobre, gęste mleko, a przez zimę nazbiera w dodatku nawozu za dziesięć, piętnaście rubli, które

przed świętami będą jak znalezione...

Prawie zawsze posiada Wełwł najładniejszą krowę na całej ulicy, najdojniejszą w całym mieście. Sąsiadki mruczą z zawiścią: Co za szczęście! Kupił padlinę, a jak ci się u niego poprawiła!

W mieście powiadają, że Wełwł ma jakiś sekret do krów. Kiedy kupuje krowę, zmawia coś i krowa poczyna zaraz lać mlekiem bez miary, a sprzedając ją, odbiera zakłęcie swe zpowrotem i krowa staje się zwyczajnem bydłem jak przedtem.

W całej jego postawie rozlana jest pewna pycha i dumne zadowolenie: „Wiecie, ja jestem gospodarz... własna krowa... najlepsza w całym mieście...” Ma żal do świata o to, że trzyma w poważaniu właściciele domów. „Co się ma z domu?” — prawi zawsze, — wpuści się komornika na mieszkanie i później wysługuj mu się. A gdzie podatki? Podatek od placów i inne historie... Omal, że się sobie samemu nie płaci komornego.

Ogród — i owszem. Ogród mi się podoba. Tutaj ma się do czynienia z Panem Bogiem. Oto n. p. wybrało się wczoraj wszystkie ogórki, a rano wychodzisz i znowu — pełno! Na zimę jest trochę fasoli, kartofli, parę buraków.

Ale wszystko to nie to, co krowa. Krowa jest ci żywą, wierną istotą, codzień daje świeże mleko, a gdy chce to jeszcze podaruje na Purim cielę, za które rzeźnik Symche da parę rubli, płucka z wątroba i nóżki na sobotę.

KROWA

A samemu w domu — jak się można obyć bez krowy? Coby się poczęło z łupą od kartofli? Pójsz sprzedawać? Nie mógłby ścierpieć takiego wstydu. A on sam, coby począł przez cały dzień, gdyby nie było krowy. Zwarjować by mu przyszło chyba.

W ciche, długie noce zimowe wstaje na długo przed świtaniem. Zapala małą zakopconą lampkę i z worka tałesowego wyciąga książkę — sama ręka to robi, nikt jej nie każe, ona sama wie. Otwiera w którymkolwiek miejscu, gdzie bądź i poczyną szeptać. A łyzy już stają w pogotowiu, jakby wiedziały, że teraz na nie pora. Na sercu smutno... Świątynia nasza w gruzach leży, a myśmy rozpróserni po świecie na pośmiewisko i poniewierkę wszem narodom, Tora Boża w zapomnienie idzie... Zgroza przejmuje Wełwła. Ma wrażenie, jakby sam błąkał się teraz po szerokim świecie wśród ciemnej, czarnej nocy... Nikogo niema, wszyscy wymarli... Głucho — niema cisza zalega cały świat, a mała lampka jest świeatełkiem zadusznem po wymarłym wielkim świecie... Przykro mu, że wszyscy śpią.

Strasznie mu zaczyna być samemu z ćmiącym ognikiem i z długimi, dużymi cieniami, tańczącemi na ścianach...

Wtem daje się słyszeć wołanie krowy „mu, mu!“ i wszystko pierzcha odrazu, jakby wołanie to pocieszało: „Nie martw się! Niezadługo pocznie świtać! Jestem żydowska krowa! Jestem wraz z wami w golusie, et głupstwo! Nastaje noc i nastaje dzień... Po ciemno-



ści następuje światło... Niezadługo wszyscy wstaną i nie będziesz sam“...

Robi mu się lżej na sercu. Zadowolenie go ogarnia, że jest jeszcze jedna istota, która nie śpi, która wsłuchuje się wraz z nim w głuchą, niemą noc. Człowiek nie jest sam, ma towarzysza, idzie dalej — byle dalej. Czemu jest życie?...

Otacza ją taką miłością i troskliwością, jakby była dlań najdroższą istotą na świecie. Na twarzy jego zawsze rozlany jest niepokój, zatroskanie, jakby prosił wciąż: „Nie zatrzymujcie mnie! Dajcie mi pójść! Mam krowę w domu!“

I zanim znajdzie się w domu niepokoi się jak matka, która pozostawiła małe dziecko bez opieki: Kto wie czy nie płacze? A może wypadło z kołyski i zabiło się, broń Boże? Dreszcz ją przejmuje ze strachu, nie chce tego słowa wymówić, aż znajdzie się w domu. Z bijącym sercem przystępuje próg, wszystko w porządku! Uśmiech rozlewa się na jej wargach:

„Chwała Bogu! Chwała Najwyższemu! Niemasz się na co uskarżać“.

Jeść daje jej sam, o oznaczonej porze. Akurat jak łehawdł-modlitwę odprawia. Nie umyje rąk do jedzenia, póki jej nie nakarmi. Nie spuszcza się na nikogo. Zdaje mu się, że nikt nie wie, jak trzeba chodzić około krowy, jak jej dawać jeść... Mogą ją zepsuć, zabić, zatruć...

Prawie nigdy nigdzie z domu nie wyjeżdża. Gdy

wypadnie mu pojechać gdzie, wymawia się:

„Jestem człowiek zajęty, mam krowę, muszę być w domu. Nie mogę się na nikogo spuścić. Nie wiem jak kto — ja nie mogę“...

W sobotę wieczorem po Hawdole, skoro tylko minął niby Szabes-Kojdesz, zaraz zaczyna się troszczyć: Jutro dzień targowy; trzeba przygotować parę złotych, wstać rano i starać się coś kupić...

W niedzielę wstaje też o świcie, wcześniej się pomodli, puszcza się za miasto; złapie gdzie chłopca z dobrą wiązką siana lub workiem owsianej plewy (innej jego krowa nie je — rozpieszczona) i prowadzi go do domu (pod miastem nie chce sprzedawać).

Kroczy obok chłopca tak ostrożnie, jakby temten był ze szkła. Serce mu bije. Rzuca wokoło niespokojne spojrzenia i błaga spojrzeniem: Nie zaczepiajcie! Nie psujcie! Alboż ja potrzebuję tego dla siebie?... Przecież u mnie krowa stoi w stajni!...

Każdy czuje, że nie należy „psuć“. Nikt nie chce brać na swe sumienie żywego stworzenia, wszak u tamtego krowa stoi w stajni... Przystępuje więc niejedni i jeszcze mu pomaga, wtrąca słówko niby od niechcenia:

Tfu... Taką wiązkę siana ty kupujesz? Przecież krowa ci tego do gęby nie weźmie!...

Chłop skrobie się w głowę, obiema rękami załazi w potylicę...

KROWA

Tak i siak wiązka siana przechodzi w ręce Wełwła i dobrze jest.

Gdy nadchodzi zima i trzeba zakupić całą furę siana a Wełwł uzbierał już parę rubli na ten cel, poświęca temu cały dzień. Ogląda, wącha, liczy listki na źdźbłach, rozbiera je i ogląda pojedynczo. Znaczków przyprowadza i pyta: „A czy może które siano jest niezdrowe?“ Akurat jakby miał ochotę przebrać całą furę siana i wyrzucić, co niedobre. Bierze po garści z każdej fury i niesie do domu, by dać skosztować krowie.

Skosztowawszy, krowa liże mu rękę łaskocząc ją szorstkim językiem i obficie zraszając śliną, a jemu robi się przy tem tak dobrze i przyjemnie, jakby od ukochanego dziecka dostał całusa. Zapomina się i przystaje przy niej, głaszcze ją po głowie, po plecach, skrobie ją w czoło. Krowa wyciąga szyję, nastawia uszu, wsłuchuje się w głaskanie z przyjemnością i ani się poruszy.

Dopiero na ulicy przypomina sobie o furze siana. Bez tchu biegnie z powrotem. Kto wie, czy już mu jej kto nie wykupił? Ludzie dadzą to czemu ustać!

Zastaje ją jeszcze, oddycha z ulgą. Płaci i każe ją odwieść do domu. Byle tylko nie za prędko — by siana nie zawieruszyć. Po drodze nie daje się przez nikogo zatrzymywać. Uśmiecha się tylko, jakby mówił: „Jak wam się podoba? Prawda, że Wełwł syn Ester Bejli zakupił ładną furę siana?“

Do wieczora pozostaje potem na stajennym strychu. Składa i układa siano pełen zadowolenia: Spełnił dziś ładny kawał roboty!...

Gdy na dworze zrobi się porządnie ciemno, Wełwł udaje się do boźnicy na Mynchę. Jest cały czerwony, spocony, rozplamieniony, jakby mu kto czemś policzki wysmagał. Zmęczony zapycha się gdzieś do kąta, jakby się wstydził pokazać w świętem miejscu z taką twarzą gojską .

Każdy wyczytuje z jego twarzy: „wyładowałem dzisiaj ładną furę siana“.

Ktoś pyta go o cenę. Inny mówi ze znawstwem: Widział dziś przez okno piękną furę siana, zdaje mu się, że to siano sadowe.

Kramarz Chaim powiada, że potrafi poznać po sianie z jakiej okolicy pochodzi.

Czuć zawiść: „Takie ci szczęście! Ma żyd krowę ładną i akurat trafi mu się dobra fura siana do kupienia“...

Gdy się komu wiedzie — wiedzie się ze wszystkim...

W lecie przedwieczorem, gdy krowa ma nadejść z pola, Wełwł wychodzi jej naprzeciw. Ogląda ją ze wszystkich stron, czy jej gdzie guza nie nabito, broń Boże, a czy się dobrze napasła, głaszcze ją po grzbiecie, aż dojdzie do domu. Przed drzwi wnoszą jej tymczasem co jest, co Bóg dał: trochę łupy kartoflanej, nieco zielska (to sam dla niej narywa, gdy żo-

KROWA

na ma czas, pomaga mu, w piątek pomagają chłopcy chederowi — musi starczyć na dwa dni).

Jest to rodzaj przywitania: „Na masz! Wiedz, że jesteś dla nas miłym gościem!“...

Ona, ze swej strony, nie jest wprawdzie głodna, ale chce pokazać, że posiada jeszcze tyle uprzejmości i nie odrzuca poczęstunku...

Żona złości się, powiada, że on rozpieszcza wszystkie krowy, przyzwyczajają je, by zawsze podsuwać im pod nos przysmaki. A gdy kiedy ich zabraknie, nie dadzą się wydoić...

Wełwł się uśmiecha. Bawi go to, tak, jakby ktoś mówił o jego chłopcu — urwiszu, figlarzu, a doskonałej głowie, który rebemu głowę urywa a lekcję umie lepiej od wszystkich...

„Wielkie ci zmartwienie“, — powiada, — „niech nam tylko zdrowa będzie, jeszcze ją wykarmię!“

Gdzie złodziej ?

I.

Złodziej w młynie.
Kury i ich zwyczaje.

Trwało to przez dłuższy czas.

Co nocy znikwały kurom jaja z gniazd u nas w młynie.

Z początku nic sobie z tego nie robiono i dopiero, gdy się ten stan rzeczy ciągnął dłużej bez zmian, wyszła mama pewnego poranku z młyna i powiedziała :

— „Dzieci, złodziej się do nas zakradł, trzeba go wysledzić“. „Trzeba wysledzić!“ — Nikt z nas nie otworzył ust, aby temu zaprzeczyć. Złodzieja każdy nienawidzi, a już tego, który kradnie u nas, nienawidzi się siedmokrotnie.

I cała sprawa stała się zajmująca.

Mały wstęp :

U nas w młynie przebywało stale po kilkadziesiąt kur. Prawdziwej ich ilości nigdy nie znano, chodziły bowiem luzem i nocowały, gdzie im się chciało.

Niekiedy kur przybywało. Obce kury przybłąkiwały się i pozostawały już w młynie na stałe. Albowiem tyle pokarmu, ile u nas, nie miały one w całym mieście. Ale najczęściej kur ubywało. Kilka zarzynano w ciągu zimy. Gdy kura przestanie się nieść i utyje, że

GDZIE ZŁODZIEJ?

ledwo nogami włóczy — jakże jej nie zarznąć? Przecież sama prosi się pod nóż...

Inna znowu postawi fałszywy krok, zaczepi o pas, dostanie się pod koła i już zabita. A jeszcze inne znikają tak sobie, niewiadomo gdzie i jak. Stanowi to nocną tajemnicę wszystkich młynów i fabryk i rzadko tylko udaje się ją wysledzić — tak, że do świąt pesachowych pozostaje kur coraz mniej i mniej i można je łatwo zliczyć i rozpoznawać. I ciągnie się to tak, dopóki nie nastanie nowe pokolenie. To o czym zacząłem opowiadać przydarzyło się wśród zimy. Wszystkie kury chodziły wówczas z czarnymi, odmrożonemi grzebieniami i nie dawały się zaciągnąć do ciepłej izby. Niosły się mało. Zapytajcie pierwszej lepszej gospodyni, a poniosą się coraz rzadziej.

Te, które się niosły, wyszukiwały sobie dziury i tajne zakątki, aby im było ciepłej. A może chciały ustrzec się przed okiem ludzkim i doczekać się przyrostu, choćby wśród zimy...

Kto zna kury, ten wie, jaki to dziwnie optymistyczny naród. Gdy kura zaczyna się nieść, wpada jeszcze na jakiś czas przedtem w dobry humor, poczyną śpiewać i wyśpiewuje hymny pochwalne na cześć pokolenia, które wybiera się wydać na świat. Wyszukuje sobie jakieś ukryte miejsce — szczęście rodzinne zakwita w ukryciu.

Ale mimo to, taka kura nie może się powstrzymać, by nie wyjść co dnia z wesołem ko-ko-ko! — Niech świat i wszystkie stworzenia na świecie wiedzą, że wy-

dała dziś jaje i że jeszcze jest nadzieja na jutro!

Jest przekonana, że to najważniejsze wydarzenie dnia.

Gniazda wyścielają sobie osobno — dwa szczęścia nie mogą gnieździć się razem — z wyjątkiem leniwych i mądrych, które niosą się, gdzie im wypadnie. Gdy która kura gniazdo wyściele, one przychodzą i dokładają swoje jaja. Dla leniwych, rzecz prosta, gotowe wygodniejsze. Mądre zaś wiedzą z doświadczenia, że ilekolwiek by jaj naskładały, to ludzie zawsze porobią z tego babki i jajka na miękko, a one niczego się nie doczekają. Ale co prawda, to prawda, od prawdy nie można ustąpić na włos.

Wielka masa kur jednak, jak wspomnieliśmy, wierzy i widzi w przyszłym pokoleniu wielką doskonałość. I w tej to wierze kury niosą się co dnia; ludzie zabierają te jaja, a one się dalej niosą.

I chodzi tak mama co rana po młynie i zbiera jaja z gniazd. Kury niosą się zrana tak, że do południa wszystkie już się zniosły. Kiedy więc odbywają się kradzieże? Chyba tylko w nocy. Noc jest matką złodziejów. A teraz zapyta kto, co można ukraść, skoro przedpołudniem zbiera się wszystko, co przybyło?

Odpowiedź na to brzmi: „Podkładki“. Podkładki są to jedyne jaja, które znajdują się stale po gniazdach, by każda kura znała swoje miejsce i nie czuła jak ją krzywdzą. I te właśnie podkładki poczęły teraz znikać na noc. Gdy zaś kura nie znajduje podkładki na miejscu, staje się niespokojna i chodzi, szuka, sądząc,

GDZIE ZŁODZIEJ ?

że zabłądziła. Tymczasem zacznie jej się zbierać na zniesienie nowego jajka, poczyną więc na gwałt swoje „ko-ko-ko“...

A że kury są narodem solidarnym, zwłaszcza w taki czas, więc nawet te, które wcale nie mają zamiaru się znieść, pomagają jej i nastaje taki klekot, że ziemia rozstąpi się! Tymczasem jedna gubi jaje na chodząco. Inne zjadają własne jaja, a z kury, która raz poczęła zjadać własne jaja, nic już porządnego nie będzie.

Możecie sobie teraz wyobrazić, jakie wrażenie wywarła wiadomość: Złodziej zabiera podkładki. Podkładki!... Musi to być złodziej zupełnie bez sumienia. I gdzie, u nas, w młynie i to noc, w noc!

Więc gdy mama powiedziała: — Dzieci trzeba go wyśledzić — odpowiedzieliśmy wszyscy jak jeden mąż: „Tak jest, trzeba go wyśledzić!“ Przytem każdy z nas myślał: — Hej ty złodzieju, taki, a taki, niech się nie nazywam, jak się nazywam, jeżeli ci nogi nie podstawię. I rozeszliśmy się z myślami ciemnymi jak noc, a chytremi jak djabeł.

II.

Robotnicy młyńscy. — Szukamy złodzieja. — Zamki na lodzie.

Zabraliśmy się bardzo pilnie do roboty, we trójkę — ja i jeszcze dwaj bracia moi — a tak ostrożnie, żeśmy własnym krokiem nie dowierzali.

Pracą podzieliłiśmy się w następujący sposób:

U nas w młynie pracowało dwunastu ludzi na zmianę, w dzień i w nocy.

I oto na trzech z pośród tych dwunastu padło nasze podejrzenie. Przeciwno nim skierowaliśmy nasze groźne zamysły.

Jeden z nich był to chłop ze wsi, parobek około lat trzydziestu, chudy, wysoki, o rzadkiej bródce i wystającej grdyce, z lusterkiem spinającym koszulę pod grdyką. Nosił kożuszek, ubielone buty, a na głowie sukieną czapkę z błyszczącym daszkiem, niegdyś granatowego koloru.

Każdego piątku popołudniu odchodził on do domu odległego o jakie piętnaście wiorst i wracał stamtąd w niedzielę rano z dziesięciofuntowym bochnem chleba, który wystarczał mu na cały tydzień. Do chleba nigdy nic nie przynosił — ani krupy, ani kartofli, ani omasty. Stąd też byliśmy pewni, że to on, — nikt inny tylko on — zabiera jaja.

Powtóre nocował w młynie i przebywał blisko miejsca kradzieży.

Potrzeniec pochodził ze wsi, słynącej ze złodziejów. Nie koniokradów, broń Boże, ani włamywaczy. Przeciwnie, co się tyczy towaru, można go im było powierzyć, nigdy nie zabrakło ani włoska. Zato byli wielkimi amatorami na drobiazgi: Pudełko zapalek, kawałek kołacza, nóż, łyżkę. Wystarczyło odwrócić się na jedną chwilkę, a już rzecz znikąca za ich pazuchą.

Chwedor — tak się nazywał nasz parobek — uchodził wprawdzie za uczciwego i nigdyśmy się go nie strzegli. Ale cóż skoro pochodził z takiej wsi — natura ciągnie wilka do lasu.

To był pierwszy.

GDZIE ZŁODZIEJ ?

Drugi był Bezruczyk. Przewisko to pochodziło stąd, że brakowało mu trzech ostatnich palców lewej ręki, gdzieś pozostawionych w młynie, nie u nas.

Ten pochodził z dobrego domu i miał matkę wdowę, poczciwą kobietę, ale sam miał złą sławę w miasteczku. Para złodziejskich oczek, czapka z błyszczącym daszkiem na bakier i ceratowa opaska wkoło czapki potwierdzały tę opinię.

Jemu naprzykład mało jeszcze było tego, że ularnie nieraz kawał chleba umaczanego w gorącym oleju i napcha sobie oba policzki bez umycia rąk i bez Bożego słowa — w dodatku jeszcze lubił się droczyć o to ze starszym robotnikiem reb Meirem, pobożnym żydem o grubych pejsach, świadomym Pisma:

— Reb Meir, widzicie, nie dławię się.

Reb Meirowi ścisnęło się serce na ten widok i pocieszał się tylko tem, że Bóg cierpliwy, ale sprawiedliwy.

Do miasteczka jeździł Bezruczyk w czasie świąt jesiennych na zimowy pobyt, w nowych butach i wytwornej kamizelce. Zaś pierwszego dnia po Pejsach, tylko kur zapieje, a jego już niema. Gdzie przepędza lato, tego nikt nie wiedział. On sam opowiadał, że gdzieś tam sadu pilnuje. Ludzie zaś opowiadali, że widziano go chodzącego po proszonem... Ale wszyscy byli pewni, że prowadzi jeszcze bardziej ciemne interesa. Po nim można się było wszystkiego spodziewać.

To był drugi.

Trzecim był „koronowany“ — chłopak około lat piętnastu, ze słynnej rodziny „ukoronowanych“...

Wszyscy — ojciec szewc i jego około pół tuzina synal-ków, od kołyski do grobowej deski nosili na głowie tak zimą jak latem ogromne baranie czapy, nasunięte przez uszy, aż na kark. Nawet w Purim, gdy wraz z innymi odgrywali sławne „Achaszwejrosz - szpil“ wdzie-wali oni prawdziwe papierowe korony dopiero na czapki.

Kradli wszyscy, a gdy którego złapano w obcym sadzie czy na strychu, nie bito go. Próbowano mu tyl-ko zerwać czapkę z głowy...

Wówczas rzucał się na ziemię, ryczał w niebo-głosy, w nogi całował i błagał, by zrobić z nim wszy-stko byle tylko nie ruszać czapki z głowy. To był wła-śnie ów trzeci.

Każdy z nas obrał sobie jednego i za parę dni tak się uwikłał w **swoim złodzieju**, że cokolwiek tamten robił, gdziekolwiek stał, czy leżał, wszystko wydawa-ło mu się podejrzanem. Wszystkiemu nadawaliśmy znaczenie, we wszystkim widzieliśmy nieomylny znaki.

I między każdym z nas, a jego złodziejem za-dzierzgnął się węzeł szczególnej bliskości. Za swego złodzieja, którego sam w swojej wyobraźni wychuchał i wypieścił i tak wielką otoczył ostrożnością, każdy z nas dałby sobie teraz palec odciąć... Gdyśmy się ze-brali i omówili wyniki naszego śledztwa, był każdy z nas tak bardzo pewny swego, że żadną miarą nie można było orzec, kto ma więcej słuszności. I Bóg wie, czemu to się było skończyło, gdyby nie następujące zdarzenie:

GDZIE ZŁODZIEJ?

Oto co się przytrafiło:

W piątek popołudniu zamknięto młyn. Chłop poszedł do wsi, Żydzi do łaźni, by się oczyścić na sobotę. Przez całą sobotę ni żywa dusza do młyna nie weszła. Wedle naszego planu nie powinno było tej nocy brakować w młynie jednego jaja.

Biegniemy więc w sobotę rano prosto z łóżek, by zobaczyć co się stało i ba-a....

Akurat to samo co wczoraj i przedwczoraj, to co każdej nocy...

Stanęliśmy jak wryci. Mieliśmy uczucie, jakgdybyśmy coś trzymali już w ręku, a to coś nagle nam się wymknęło...

I każdy z nas, przypominając sobie swoje plany i zamki na lodzie miał wrażenie, że właśnie jego pomysły były najgłupsze i najdziwsze.

Wstydziliśmy się i nie mogliśmy sobie przebaczyć, żeśmy tak brzydko wpadli.

Jakkolwiek sprawa się przedstawiała, musieliśmy przyznać, że droga którąśmy dotychczas postępowali, była niewłaściwa i że trzeba szukać innych.

I do tych to nowych dróg trzeba przybrać do pomocy robotników. Oni są starsi od nas i widzieli już coś niecoś w swoim życiu.

I o tem w następnym rozdziale.

III.

Wielka narada w młynie. Dyskusja.
Niema wyjścia.

W niedzielę wieczorem staliśmy przy robotnikach, przyglądaliśmy się ich pracy i wydobyliśmy kwestję, która nas tak dręczyła i na którą nie znajdowaliśmy odpowiedzi.

Sprawa zainteresowała robotników i natychmiast jęli ją gorąco rozpatrywać.

Podjęcie co do człowieka zostało natychmiast zupełnie wykluczone z rozważań. Wszyscy musieli przyznać, że to robota jakiegoś czworonoga. Ale jakiego?... Oto co do tego właśnie trudno było dojść do jednomyślności. Wchodziły tu w rachubę: kuna, tchórz i szczur.

Z początku wypłynęła nawet myśl o psie. Ale ta myśl została natychmiast odrzucona, a to z tego powodu, że własnego psa nie mieliśmy, gdyby zaś obcy był się podkopał pod młyn, byłoby to zaraz wpadło w oko. Dlatego mówiło się tylko o tych trzech.

Niektóre zdania przechylały się do myśli o szczurze, albowiem jedno zachodziło pytanie, na które trudno było dać odpowiedź.

O ile się przyjmie, że to kuna lub tchórz, to dlaczego nie tykają samych kur? Na to przyszło dalsze pytanie niemniej logiczne i dawało odpowiedź na

GDZIE ŻŁODZIEJ ?

pierwsze: Któż to widział, by szczur mógł przenieść w zębach całe jaje?...

Młynarz Naftołe był za tchórzem, bo — jak mówił — zanim stary młyn się spalił, gnieździły się tu tchórze i łąziły po dachach jak koty. Kołnierz, który on nosi przy kożuszku pochodzi właśnie z owych tchórzów. Na kunę się nie zgadza. Tu w młynie nie było jeszcze nigdy kuny. Kuna znajduje się przeważnie w lesie. Jaja znikają w całości. W takim razie musiałyby ona wracać po parę razy w ciągu nocy — przychodzić, odchodzić i znowu przychodzić, a w to trudno uwierzyć. Co zaś najważniejsze — po kunie zostałyby ślady, na śniegu. Zima jest śnieżysta. To mniemanie nie znalazło dużo zwolenników, a mianowicie z powodu poprzedniego logicznego pytania: Kto to widział żeby tchórz mógł przenosić całe jaja? Z tego, że Naftołe nosi tchórzowy kołnierz nie wynika jeszcze, by tchórz mógł nosić w zębach całe jaja.

Zatrzymano się więc przy kunie. Po pierwsze potrafi ona przenosić jaja. Powtóre, ma zwyczaj, że co upoluje tego nie zjada na miejscu, tylko przenosi do swojej kryjówki.

I utrzymywano dalej, że gnieździ się ona właśnie tutaj w młynie, pod podłogą, ponieważ są kuny, które przebywają w osadach ludzkich. A czemu nie czepia kur? Pewnie nie jest głodna.

Zresztą, skąd wiemy, że ich nie czepia? Prawdopodobnie to robi. Najlepszy dowód mamy w tem, że czasami przepada i kura...

Tchórz natomiast nie zabiera ze sobą łupu. Tchórz dusi ofiarę, wypija krew i zostawia ją na miejscu. Taki był ostateczny wynik narad. Znaczyło to, że jaja zabiera w całości kuna, która gnieździ się pod podłogą, wychodzi z pod kół młyńskich i znowu znika.

Myśl ta wszystkich ożywiła. Bezruczykowi zaraz zapalały oczy: Taka facetka podczas mrozów jest warta co najmniej trzy ruble...

Zostanie w młynie na noc, wie gdzie można dostać łapkę. Łapkę — odezwał się Chwedor — łapkę tylko on sam umie nastawiać. On już nawet lisy chwycił — ot takie duże. (Rozłożył ręce, by pokazać jakie były duże).

Dalibóg, że nie kłamię. Może nawet wskazać, komu je sprzedał... Oho — łapkę trzeba umieć nastawiać! Kuny są jeszcze chytrzejsze od lisów. A gdy raz łapkę źle nastawić, to już drugi raz nie przyjdzie.

No, a może by tak spróbować trucizny? Bezruczyk wie, jak się sporządza truciznę. Najpierw owija się ją w płachtę z łoju, potem trzeba posiekać drobno kawał mięsa, porobić z niego gałki, dużo gałek, włożyć smalec z trucizną do środka i powkładać do wszystkich gniazd kurzych.

— A gdzie jej potem będziesz szukał?

Przez chwilę Bezruczyk stoi bez odpowiedzi, ale zaraz się połapał. Będzie, powiada, za nią śledził, wyśledzi norę i rozerwie podłogę.

Ale reszta robotników nie jest w tak gorącej wodzie kąpana.

GDZIE ZŁODZIEJ?

— Sza, sza! Nie palić się. Tak prędko nie zrywa się podłogi!

Na to jest gospodarz, a gospodarz nie pozwoli ruszać podłogi dla jakiejś zdechłej kuny. Powtóre, szczury zawloką truciznę i zatrują mąkę. Najlepsza byłaby łapka, ale tu w młynie chodzi pełno kur i zanim kunie zechce się wleść do pułapki, kury padną tymczasem pierwszą ofiarą.

Cóż tu zrobić?

— Nic nie robić. Trzeba tylko uważać, by nie zostawiać jaj na noc.

— A cóż będzie z podkładkami?

— W tem cały sęk. Nad tem trzeba pomyśleć.

I dwunastu ludzi, — jedenastu Żydów i dwunasty Goj, łehawdł, oraz nas troje dzieci — stanęło bezradnie. Szukano sposobu, jak rozpocząć walkę z małym zwierzątkiem, które królowało sobie bez przeszkody w naszym młynie. A o tym samym czasie wyglądała może ta kruszynka gdzieś z pod kół młyńskich, chytrze patrzyła na nas swojemi błyszczącemi, ognistemi oczkami i myślała sobie:

— Szkoda waszego trudu, jestem o wiele mądrzejsza. niż wam się wydaje...

IV.

Robię podkładki. Letnie noce. Wyjaśnienie zagadki.

Myślano i myślano, aż wymyślono sposób. Polegał on na tem, żeby na podkładki kłaść wydęte jaja.

Zadanie to ja wziąłem na siebie i wykonywałem je nadzwyczaj zręcznie, a to w następujący sposób:

Brałem jaje, nakłuwałem igłą dziurkę u dołu i u góry rozbełtywałem je, wydmuchiwałem, napełniałem je z powrotem wodą przez cieniutką słomkę i zalepiałem dziurki z obu stron tak, że żadne stworzenie nie mogło tego poznać. Żadne żywe stworzenie... za wyjątkiem — kuny. Dziwna rzecz: Z pomiędzy wszystkich fałszywych jaj nie brakowało nigdy ani jednego, a gdy tylko kiedy zostawiono prawdziwe jaje, znikало ono tej samej nocy. A jednak tajemnicze odwiedziny w młynie zdawały się teraz być rzadsze. Pewnie złodziej nasz zwąchał ludzkie palce, a z ludźmi trzeba być ostrożnym. Czegóż dobrego trudno oczekiwać po nich. Po paru tygodniach zupełnie przestał przychodzić. Chcieliśmy to koniecznie stwierdzić i poczęliśmy podrzucać kawałki mięsa. Mięso znikало. Pewnie szczury je zabierały. Ale jaja pozostawały nietknięte...

Ogarnęło nas uczucie szczególnej przykrości. Mieliśmy wrażenie, jakgdyby ktoś dorosły, mądry i zły stał nad nami dziećmi, i znając nasze myśli, kpił sobie z nas. Gniewaliśmy się na tego ktosia, równocześnie

GDZIE ZŁODZIEJ?

coś nas w nim pociągało i wzbudzało dlań szacunek. Co zrobilibyśmy na przykład, gdyby się teraz dostał w nasze ręce? Nie! Zdaje mi się, że ja nic-bym mu nie mógł zrobić. Dobrze bym mu się tylko przyjrzał, kopnął go nogą — na masz i idź na złamanie karku! I puścił bym go wolno. Krwiożerczy nie jestem, a to, że futerko się teraz dobrze płaci, teżby mnie nie skusiło.

Ale czemuż to ten ktoś znika akurat wtedy, gdy chcemy, by jeszcze został? I czemu on sobie tak samowolnie gospodaruje w naszym młynie, przychodzi i odchodzi kiedy mu się podoba i kiedy uzna za stosowne. Byliśmy skłonni przypuszczać, że jest jeszcze tu. Tyle tylko, że się ma na baczności. Czem się jednak żywi? Oczekiwaliśmy, że pocznie teraz zabierać kury. Czekaliśmy wszyscy. I sam nie wiem dlaczego nie ze strachem, tylko raczej z ciekawością. To byłby najlepszy znak, że jeszcze znajduje się tutaj. A tego, żeby nie opuścił młyna, chcieli wszyscy. Ale kur nie brakowało, przynajmniej nie można tego było zauważyć. Poznaczyliśmy je wszystkie i mieliśmy je na oku. Także śladów krwi nie widać było nigdzie...

Tak skończyła się zima i upłynął kawał lata.

Tego roku chodziło u nas pięć kwok z kurczętami. Dwie sami nasadziliśmy, a trzy ukradkiem układały gdzieś jaja, wysiedziały je i przyszły do domu z gotowymi kurczętami.

Odłączyło się to wszystko od matek w jednym czasie. I wraz z kurczakami, które mama zakupiła na

odpuŝnym jarmarku, przebywała teraz w naszym młynie ogromna armja kurcząt i zapełniała cały ŝwiat.

Na noc przybito dla nich dwa długie drążki, niebardzo wysoko, by im łatwo było wskakiwać i zeska-kiwać, a umieszczone blisko mieszkania, by przez drzwi można było słyŝeć, co się wśród nich dzieje. Ale oprócz drążków siadały one wszędzie, gdzie tylko można było usiąść — na zasiekach, na workach, na wadze, na drabinie, na szafie — słowem wszędzie.

Letnie noce są krótkie, a gdy dzieci bywają jeszcze pogrążone w pierwszym smacznym śnie, budzi się już młody poranek. I wraz z nim dochodzi do nas we śnie dziwne miłe i swojskie szeptanie, piskot i gorgotanie z młyna.

— Ki-ki-ki!! zadziera szyjkę młody kogucik i zamyka oczka.

— Kia-kia-kia! — odpowiada mu drugi.

— Gi-gi-gikia! — rozstrzyga spór trzeci.

Jeden pyta, drugi odpowiada i jeden drugiemu przerywa w samym ŝrodku... A nagle pogodzili się wszyscy, poczynają ćwiczyć wspólnie, za chwilę znowu zosobna, tak delikatnie i soczyście, jak młody niewinny poranek, który dopiero co obudzili swoim gi-gi-gi i kia-kia-ki.

Mama ma lekki sen. Pewnego razu wstaje rano i opowiada, że w nocy kury były niespokojne.

— Niespokojne? Nic sobie z tego nie robimy. Przypuszczamy, że może nietoperz przelatywał, albo kot przebiegł i nastraszył kury. Nieraz znowu zdarza się,

GDZIE ZŁODZIEJ ?

że które kurczę straci równowagę, chwyci się silniej nogami za drążek, na którym siedzi i załopocze skrzydłami, by odzyskać równowagę. Wówczas budzą się sąsiadki po obu stronach i sąsiadki sąsiadek -- i nastaje wielkie i powszechne łopotanie skrzydeł. Obudzone, przystępują z nogi na nogę, sadowią się wygodniej, chowają główki pod skrzydła i znowu zasypiają.

Na drugi dzień rano opowiada mama znowu, że kury były niespokojne.

Wreszcie trzeciej nocy, tylko co zasnęliśmy, aż tu rozległ się rozpaczliwy krzyk młodego kogucika -- wołanie na pomoc: „gaj-gaj-gaj!!“.

Napół martwi pozeskakiwaliśmy z łóżek i nagle otworzyliśmy drzwi prowadzące z mieszkania do młyna.

W tej samej chwili krzyk ustał. Coś białego zamigotało nam przed oczyma. Nad naszymi głowami zaszobował ze szafy biały kogucik i wpadł do mieszkania, do światła. Z drugiego końca szafy zeskoczyło małe żółte zwierzątko wielkości kota, na niskich nóżkach i pobiegło pędem w stronę kół młyńskich. Dopadłszy kół przystało i spojrzało na nas parą czerwono - zielonych płomyków.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy tak nawzajem na siebie. Ja stałem w krótkiej koszulce, trzymając w jednej ręce lampę, a drugą przytrzymując drzwi jakby tarczę, gotów je w każdej chwili zatrzasnąć i pozostać po bezpiecznej stronie. A zwierzątko stało sobie spokojnie, bez śladu strachu i patrzyło z cieka-

wością i zdziwieniem. Nie wiem, kto z nas dwojga bardziej się dziwował.

Koniec niemej scenie położyło zwierzątko. Obróciło się do mnie tyłem i znikło.

Leżeliśmy już zpowrotem pod nakryciem i wciąż jeszcze nie mogliśmy się uspokoić. Ja byłem szczególnie dumny z tego, że je widziałem. Byłem wzburzony i długo nie mogłem zasnąć. Z młyna donosiło się aż do białego dnia gorgotanie na przemian z dzikim wrzaskiem to tego, to innego kogucika. Kury wciąż nie mogły się uciszyć i usadowić spokojnie.

A ten, który zajął śmierci w oczy, błąkał się po izbie ze ślepymi otwartymi oczyma i ślepem nocnym gorgotaniem. Wyglądał po nocy jak nie z tego świata, jak senne przewidzenie... Zagadka, czemu kury były niespokojne ostatniej nocy została rozwiązana. A co dalej? A dalej nic. Zwierzątko nie pokazało się więcej. Mnie to nie dziwiło. Przy naszym spotkaniu czerwono - zielone ogniki błyszczały tak chytrze, jakby mówiły:

— Bratku, my się nie dajemy zwabić...

GDZIE ZŁODZIEJ?

V.

Wiosna. Erew - Pesach. Znowu kuna.
Łapka w robocie.

Skończyło się lato, po lecie jesień, po jesieni zima, a po zimie nadeszła nowa wiosna.

Jak nadeszła wiosna? W dzień po Purim wyskoczył na wysoki parkan duży grecki kogut z paru ostremi ostrogami u nóg i o dużym wielozębnym grzebieniu, zarzuconym zawadjacko na prawy bok. Wyskoczył, stanął na parkanie, zapiał głośno na całe miasto — kuku-riku!! Uczynił to tym razem z taką pewnością siebie i godnością, że gdy zeskoczył z powrotem na ziemię, serce białej kury z pięknym czubem i brodą należało już całkowicie do niego...

I zaraz nadleciał z południa ciepły wiaterek i obwieścił nowinę:

— Idzie, idzie. Wiosna jest już w drodze, pod miastem i milion nadziei z sobą niesie. Na to śnieg od razu skurczył się ze strachu, a zima na dachu zapłakała.

A potem płacz ten krążył przez cały dzień strumyczkiem po mieście, aż nadeszła noc i białym przykryła go przymrozkiem i poświatą osrebrzyła księżycową.

A nazajutrz słońce podniosło się bardzo wysoko, wyżej niż co dnia i było tak jasno, jak jeszcze nigdy. Pierwszą rzeczą, którą napotkało były posrebrzone

dachy, jakby usiane opiłkami djamentów, a z dachów zwisały kryształowe różnobarwne świeczki — dzieło nocy.

I podeszło słońce do nocy i do wszystkiego, co do niej należało tak miękko i ciepło, jak to tylko ono potrafi. I tak w całusach i pieszczotach pierzchła noc i wszystko nocne...

Do południa już kury grzebały w śmieciu. Konie i krowy i wszelkie czworonogi znajdowały się na dworze, grały się do słońca, skrobały się, leniły z zimowego włosa.

I wraz z pierwszą zapowiedzią wiosny zapachniało u nas w domu świętem pesachowem. Cokolwiek się robiło i czegokolwiek się dotknęło, — wszystko stało pod znakiem świąt...

Najpierw wykaszerowano młyn. Potem zdjęto podwójne okna, nakiszono beczkę barszczu, zabrano się do pieczenia macy i zamówiono ubranka dla dzieci. A gdy do świąt pozostawało już tylko ze trzy tygodnie, wsadzono do kojca dwie kury. O tem właśnie chciałem powiedzieć.

Wsadzono jedną dużą, greckiej rasy, o grubych wysokich nogach i długiej szyi, o wąskiej spiczastej główce i bez śladu grzebienia — dość chudą, ale mającą na co nabrać tuszy.

Druga była zwykłą prostaczką. Niewielka, cała żółta jak wosk, z dobremi paru gałkami tłuszczu pod skrzydłami. Tuczyć już jej nie było trzeba, uważali tylko, żeby nie opadła z tuszy. Kojec stanął w spichle-

GDZIE ZŁODZIEJ?

rze, w zacisznym kącie. Postawiono w nim miseczkę wody, nasypano trochę prosa, i całą kupę knedli z gotowanych ziemniaków, zmieszanych z mąką, zmówiono, co należało i zamknięto spichlerz: — Siedzicie, jedzcie, pijcie i miejcie się dobrze.

W dniach tych bywa dużo pracy. Noce są mroźne, zdrowe i świeże. Przesypia się całą noc na jednym boku, a rano przed wszelką pracą trzeba pójść do spichlerza, zajrzeć, co się tam dzieje, dolać wody i dosypać prosa. Podchodzimy do kojca — cicho, sza, nic nie słyhać. W spichlerzu ciemno, więc trzeba przykucnąć, by zobaczyć, co jest na rzeczy. Aż tu w kącie kojca coś się rusza. Wtykamy ręce i dopiero ukazuje się wtulona w kąt i śmiertelnie przestraszona — większa kura. Drugiej niema. Zaczęliśmy pilnie szukać i badać dookoła, aż znaleźliśmy w kojcu pióra, a wokoło kojca ślady krwi...

W tej chwili przyszła nam wszystkim do głowy jedna i ta sama myśl — musimy coś zrobić — myśl tę można było wszystkim z oczu wyczytać. Ale co zrobić? Stańło na tem, że trzeba nastawić łapkę. Łapkę można było dostać u Berla Felczera — najlepiej zagospodarowanego obywatela naszego miasteczka. Pierwszą śliwkę i pierwszą gruszkę można dostać tylko u niego. Tam też zawsze znaleźć można każdy sprzęt i narzędzie potrzebne w gospodarstwie. Tylko do pozyczenia nie był tak łatwy.

Usłyszawszy o naszej historii, sam przyniósł łapkę. Na mnie padł los, bym się nauczył od niego, jak ją nastawiać. Wkrótce zabraliśmy się do nauki.

Dwa dni trwały lekcje. Nastawiano łapkę i zamykano ją znowu, otwierano i znowu zamykano, a dookoła stali wszyscy domowi, sąsiedzi z ulicy i robotnicy z młyna. Czułem wielką dumę z tego powodu, że nikomu na świecie nie wolno tknąć łapki, prócz mnie. Ale gdy tylko zrobiłem jeden ruch nie taki, jak należało, Berl porywał się zaraz na mnie ze swoją trzcinką:

„Ty Szajgec, mało ci ręki nie przychwyciło. Z łapką trzeba być ostrożnym!“

Tyle mi w uszy nakładał o tej ostrożności, że miałem tego aż nadto. Potem zaczął się spór o to, jak ustawić i gdzie postawić łapkę, by kuna jej nie zauważyła.

— Można ją czemś przykryć.

— Czemby to ją można przykryć?

— Może plewą.

Kwestja ta została również omówiona przy udziale ludzi z młyna i paru sąsiadów, z Berlem Felczerem na czele.

— Ale jak to zrobić, by plewa nie wywołała u niej podejrzenia?

Na to jest rada — sypać plewę stopniowo, potrzebe każdego dnia.

I tak też było. Od tego dnia poczawszy, jęła w spichlerzu rosnać ścieżka z plewy — od drzwi do kojca i na każdą noc kładziono do kojca jaje lub kawałek mięsa.

Z początku wszystko szło jak najlepiej. Jajko lub kawałek mięsa znikało co nocy, a ścieżka wciąż rosła.

GDZIE ŻŁODZIEJ?

Aż pewnego razu przed wieczorem, gdy kury usadowały się już były na noc, a w spichlerzu porządnie się ściemniło, ustawiono łapkę, uwiązano w niej przynętę, przykryto ją plewą i ze dwadzieścia razy obejrzano ją ze wszystkich stron, dwadzieścia razy podchodzono i cofano się znowu. Zaś żeby przynętę tem ponętniejszą uczynić, daliśmy tym razem kawałek gotowanego mięsa, nasmarowanego smalcem.

I pewni swego, a szczególnie podnieceni nadzieją, że jutro... jutro... będzie w naszych rękach, opuściliśmy spichlerz.

Nie pamiętam u nas w domu takiej ciszy, jak owego wieczoru. Wszyscy siedzieli milczkiem i nadśluchiwali. Wieczerzę jedli i milczeli, wieczerzę jedli i słuchali, ścielili łóżka i milczeli, odmawiali Kryszmę i nadśluchiwali. Chodziliśmy na palcach, a gdy trzeba było coś powiedzieć, mówiło się krótko i węzłowato. Oczekiwaliśmy trzasku łapki ze spichlerza i nie chcieliśmy go przesłyszeć...

Spać poszliśmy tym razem dość późno i po jednym, aż zasnął ostatni, nie doczekawszy się niczego.

Rano, skoro tylko otworzyliśmy oczy, było we wszystkich to samo pytanie — i cóż? A że pytanie było takie same u wszystkich, a odpowiedzieć na nie nikt nie umiał, rzuciliśmy się wszyscy naraz do spichlerza, by zobaczyć, co się tam dzieje.

To, co tam ujrzeliśmy, trudno było opisać. Przeszło to wszelkie nasze przewidywania.

Łapka była zamknięta, a w łapce?... W łapce nie

było nic. Była całkiem pusta...

Stanęliśmy jak wryci i nie mogliśmy wymówić ani słowa. Potem ktoś zaklął. Wszyscy w duszy odpowiedzieli „amen“, ale czuć było, że to jest przekleństwo słabych i bezradnych. Serce ścisnęło mi się z przykrości. U mnie zawsze tak, byle co, chwyta mnie ból za serce.

Później, gdy wydarzenie to rozpatrywano w szerszym gronie, wypłynęło parę rozbieżnych mniemań. Jedno z nich głosiło, że potrzask przygniół może kuhnę nóżkę lub ogon, ale zdążyła go jeszcze wyciągnąć. Pewnie sprężyna zbyt słaba. Za takie wyjaśnienie Berl Felczer gotów był zapłacić kijem. Drugim mniemaniem było, że na deskę, którą trzeba nacisnąć, by łapka się zamknęła, nastąpiła myszka, łapka się zamknęła i nie złapała jej.

Zaś wedle ostatniego mniemania, łapka zamknęła się sama przez się.

Jakże to sama przez się?

Oto jak: W nocy był przymrozek i gdy jakiś wóz przejechał szybko przez ulicę zatrzęsła się ziemia, a z ziemią śpichlerz, a ze śpichlerzem podłoga, z podłogą łapka — i zamknęła się.

Którekolwiek z tych mniemań było słuszne, jedna rzecz nie ulega tu dla nikogo żadnej wątpliwości. A mianowicie, że w całej tej grze przegrana była po naszej stronie.

VI.

Moja zawziętość. Wigilja pesachowa
w sobotę. W potrzasku. Koniec.

O człowieku i historii nie wiadomo nigdy jak skończą. Cobyście wy naprzykład zrobili na mojem miejscu? Pewnie plunęlibyście na wszystko, umylibyście ręce i staralibyście się czempredzej o wszystkim zapomnieć.

Ja jednak jestem zawzięty (bodajbym nim nie był) i niczego się tak prędko nie wyrzekam. I tak wieczorem łapka stała znowu na swoim miejscu, przykryta plewą i zaopatrzona w kawałek mięsa, jak nigdy nic.

Poco ja to zrobiłem, wie chyba tylko jeden Bóg. Nazajutrz zastałem ją, akurat taksamo, jak ją zostawiłem i sam ją zamknąłem. Wieczorem znowu ją nastawiłem. I tak dzień w dzień — wieczorem nastawiałem, a rano zamykałem. Czyniłem to ze szczególnie głupią zaciętością, jak małe dziecko, które uderzyło się o kamień i dopóty potem bije ten kamień, póki rączka go nie zacznie boleć.

I kto wie jak długo byłoby się tak ciągnęło, gdyby nie było się przytrafiło to, co musiało się przytrafić...

Jak już wspomniałem, zwykłem był codziennie rano zamykać łapkę.

Robiłem to dla uniknięcia niebezpieczeństwa,

zwłaszcza z powodu kur, były bowiem miejsca, któredy kury mogły się dostawać i wydostawać ze śpichlerza. A że w sobotę nie wolno łapki zamykać, więc nakrywałem ją sitem lub rzeszotem.

Tego roku wypadła wigilja świąt pesachowych w sobotę. W domu zamieszanie. Ojciec wygania nas z łóżek i napędza do modlitwy, o trzy kwadransy na dziewiątą nie wolno już jeść chomecu. Zapomniałem więc zupełnie o śpichlerzu i o łapce.

Wracamy z bożnicy, a tu popłoch jeszcze się wzmaga. Do trzech kwadransów na dziewiątą pozostało wszystkiego dwadzieścia minut. Chomec już potrosze wyparty z domu. Obecnie tułał się już tylko w kuchni, koło drzwi. Skulił się tu w kąciaku, ale za chwilę nie pozostanie po nim ani śladu.

Ojciec objął komendę. Do jedzenia mamy niewiele i nie mało. „Czołent“ zasunięto do pieca już w pajsecznym garnku. Mięso z kartoflami — to będziemy jedli później. Teraz jemy tylko zakąski. Są babki parowe i mleczone, do których nie potrzeba rąk umywać, „fludeny“ i makowniki, pozostałe jeszcze od Purim, wiśniak i parę słoików konfitur. A wszystko trzeba zjeść, inaczej się to wyrzuci. Moja mama ma zwyczaj, winiszować sobie przy smażeniu konfitur, byśmy je zdrowi spożytkowali. Ale przez cały rok, zdrowy człowiek konfitur jeszcze u nas nie skosztował.

Do trzech kwadransów na dziewiątą brakuje tylko ośmiu minut.

Wypiłem kieliszek wiśniaku i już mi się głowa kręci...

GDZIE ZŁODZIEJ?

Nagle dał się słyszeć ze śpichlerza trzask, jakby wystrzał z rewolweru. Na chwilę osłupieliśmy z jedzeniem w ustach, ale wkrótce przyszliśmy do siebie i sypnęliśmy się wszyscy do śpichlerza.

Tu przedstawił nam się następujący obraz:

W potrzasku znajdowała się kura, schwytna za nóżkę. Nóżka była przełamana pod kolaniem i trzymała się na ścięgnie, a duże oczy na wpeł przymknięte, jakby od udaru słonecznego. Chwiała się zwolna i wciąż szarpała kawałek nóżki, mniemając, że go wyciągnie...

Co się ze mną stało w owej chwili, nie mogę sobie po dziś dzień przypomnieć. Ścisnęło mnie nagle za serce i poczułem w gardle dławienie, że się omal nie udusiłem. Z gardła powędrowało mi to do oczu, jakby mi się czemś przesłoniły i nie widziałem, co się wokoło mnie dzieje.

Nagle ojciec wskazał na mnie z udaną wesołością i wszyscy skierowali ku mnie swój wzrok:

„Patrzcie! Wszak ten dorosły bocher płacze!”

„Nie płaczę“ — wyksztusiłem ze łzami i oburzeniem i wybiegłem ze śpichlerza.

Nic na świecie nie idzie na marne, a każde stworzenie posiada swój los, zawczasu wyznaczony przez Opatrzność.

Minęło lato, po lecie jak zazwyczaj jesień i nastąpiła wczesna zima. Od połowy miesiąca Kislew leżał już na ziemi suchy śnieg.

Pewnego poranka wyszedł Berl Felczer ze stajni, by zajrzeć do bydła i widzi w ogrodzie na śniegu ślad, prowadzący do stodoły.

I tej samej jeszcze nocy łapka stała przywiązana do płotu, pokropiona śniegiem i zaopatrzona w ładny kawałek gęsiny. A nad ranem, zanim zebrało się na świtanie — kuna była w łapce.

Gdy wiadomość dotarła do nas i przybiegliśmy na miejsce, stał już tam duży tłum ludzi z całej ulicy.

Żyła jeszcze. Potrzask przychwycił ją za przednie łapki, które silnie krwawiły. Nie szarpała się, patrzyła tylko bokiem na tłum i drżała na całym ciele.

Miała już na sobie zimowe futerko. Z gniewu i bóleści było ono nastroszone i wspaniale wyglądało — niby złocisty kobierzec przyprószony srebrem.

Nie wiem dlaczego, ale jakoś cała nienawiść, która nagromadziła się we mnie do niej przez te lata, ulotniła się w jednej chwili.

— Żydowski „gazien“. W tej chwili czułem tylko jedno: żal i litość dla niej, że się tak męczy.

To samo uczucie mieli zdaje się także wszyscy inni, którzy stali dookoła. Ale nikt z nas nie podniósł ręki, by położyć koniec jej mękom...

KONIEC.



Objaśnienia

Arbe-kanfes — patrz taleskoten

achaszwejrosz-szpil — amatorskie przedstawienie uliczne w dzień święta „purim“

a gut ojg — uroki

Ain Jakow — zbiór legend talmudycznych

ałef — „a“ pierwsza litera w alfabecie hebr.

aszrei jejszwei — początek psalmu

Bar mycwa — chłopiec który ukończył 13-ty rok życia i w sprawach religji uważany jest za dojrzałego.

bejs-hamidrasz — bożnica

belemor — ołtarz

beloszn aszkenaz — po niemiecku

będnia — duża beczka

Bobe Meczyja — jeden z traktatów Talmudu.

bocher — młodzieniec

bojre-pri-hoadoma — błogosławieństwo odmawiane przed spożyciem jarzyn

broche — błogosławieństwo

Cadei — litera hebr. od-

pow. łąc. „c„

cadyk — wielki rabin

cene wyrene — przeplatane legendami tłumaczenie pięcioksiągu na jęz. żydowski dla kobiet

chaje odom — kodeks rytualny

chała — bułka szabasowa

chazan - kantor

cheder — pokój, stary typ szkoły żydowskiej

chewre — towarzysze, towarzystwo, banda

chof — litera hebr. odpow. łąc. „ch“

choge — święta chrześć.

chojw — obowiązek, obowiązkowe

choł hamoed-Pesach — 4-rodniowa przerwa o charakterze półuroczystym między uroczystemi świętami Paschy

chomec — kiszone, zabronione w święto „pesach“

chosen — narzeczony

chumesz — pięcioksiąg

chupa — baldachim ślubny

cyces — kiście, rodzaj pętlicy umieszczonej na

OBJAŚNIENIA

czterech rogach talesu, wzgl. tales koten
czołent — obiad sobotni przechowywany w gorącym piecu od piątku
Drosza — wykład-popsis z zakresu Talmudu
Ejruw — granica — drut (rozpięty dokoła wylotu osiedla) dzięki któremu cała okolica nabiera charakteru jednego wspólnego domostwa, dla umożliwienia zakazanego przepisami Talmudu przenoszenia przedmiotów w sobotę z domu do domu
elul — miesiąc przed „Nowym Rokiem“
erew - pesach — wigilja święta Paschy
esrim w'arba — 24 ksiąg biblii
Fluden — przekładaniec
Gazlen — rozbójnik
gemara — Talmud
goał Jisroel — koniec pierwszej części hagady
Gott von Awrohom— modlitwa odmawiana po żydowsku przez kobiety w sobotę wieczorem
gut morgen — gut jor — wzajemne pozdrowienie — dzień dobry
gut szabes — pozdrowienie w sobotę

Hagada — historia wyjścia Żydów z Egiptu, odczytywana przy sederze
hamojce — błogosławieństwo nad chlebem
hawdołe — modlitwa na ukończenie soboty
hej kol come — wszyscy spragnieni (wiedzy)
hejszane rabe— 7-my dzień święta Kuczek
hejszanes — wiązanki łoziny brane w „hejszane rabe“ do bożnicy
hesebet — specjalne siedzenie przypominające starodawne łoże biesiadnicze, na którym siada ojciec rodziny w wieczór sederu
ho łachma anja — „oto chleb ubogi“, początek hagady
Jamojd hachosn — tak wywołuje się młodzieńca do odczytania ustępu tori
jejcer hory — pokusa
jemach szemoj — „zmazane niech zostanie imię jego“ przekleństwo
Jeszaja — prorok Jezajasz wzgl. księga jego proctw
jizkor — modlitwa za umarłych
jom kipur — Sądny dzień

OBJAŚNIENIA

jud — litera hebr., łac. „j“
jud bejs tejwes — 12-ty
dzień miesiąca teweth

Kaszerować — czyścić dla
święta pesach

katarzyna — sto rubli

kiddusz — uświęcenie, mo-
dlitwa nad winem w wi-
gilję soboty i świąt

kiddusz zman chejrusej-
nu — kiddusz w „pesach“

kobiecinniec — przedział w
bożnicy dla kobiet

kacew — rzeźnik

ktejres — modlitwa przed
mynchą

kryszma — modlitwa przed
spaniem

Laban Haarami — szwa-
gier patriarchy Izaka

Lerner — studujący,

łychwojd baali hanichbad,
hamyflag etc. — do mał-
żonka mego szanownego
i t. d., frazes grzecznoś-
ciowy na początku listu

łamden — uczony

łamed — lit. hebr. łac. „ł“

łhawdl — dla odróżnienia

łymchojs chefci — do ce-
lu podróży

Maariw — modlitwa wie-
czorna

maase b' reb Gamliel —
początek jednej z opo-
wieści hagady

mace-szmure — maca, przy

której wypieku były prze-
pisy rytualne ze szcze-
gólną skrupulatnością
przestrzegane

Maharsza — komentator
talmudu, żył w Polsce.
Pochowany w Ostrogu.

mamzeirim — ściśle - po-
chodzący z obcego na-
rodu określenie dla osób
nieczysto żydowskiego
pochodzenia, które dla-
tego były wykluczone
z gminy, stosowane tak-
że jako pogardliwe okre-
ślenie dla dzieci nie-
prawego pochodzenia.

mazeł-tow — „pod dob-
rym znakiem“ formuła
gratulacji u Żydów

mełamed — nauczyciel

meor ejnajim — nazwa
modlitewnika.

mesechta — traktat w Tal-
mudzie

mezuzy — umieszczane na
framudze drzwi, (z pra-
wej strony wchodzącego)
pergaminy z wypisane-
mi pewnymi rozdziałami
Biblii

Micrajim — Egipt

minjen — liczba dziesię-
ciu modlących się, prze-
pisana dla zbiorowej mo-
dlitwy

mi szebejrach — „kto bło-

OBJAŚNIENIA

- gostawit“ pierwsze wyrazy i nazwa błogosławieństwa udzielanego w pewnych okolicznościach, przede wszystkim przy tygodniowym i świątecznym czytaniu rodaków, pojedynczym osobom i całym zborom
- misznajes-miszna**, — zbiór politycznego prawodawstwa żydowskiego wraz z objaśnieniami, zawierający oparte na przepisach biblij, a często z praktyki życiowej czasów drugiej świątyni wzięte szczegółowe przepisy religijne i prawne. T. zw. Tora przekazu (tradycji ustnej). Dziś przedmiot nauki tych dla których Talmud jest niedostępny
- moce szabes-kojdesz-parsze achrej-mojs-kedojszim** — wieczór po sobocie w którym czytano wymienne odcinki biblij
- mojce** - patrz hamojce — kromki kołacza, rozdzielane po błogosławieństwie, członkom rodziny
- morer** i **kojrech** — dwa punkty obrzędu sederu, polegające na spożyciu przy zachowaniu pewnych formalności chrzanu na pamiątkę pańszczyzny w Egipcie
- myucha** — modlitwa przedwieczorna
- Na pełny tydzień** — wróżba na początku tygodnia decydująca o powodzeniu w ciągu jego trwania
- nezikin** — jeden z działów Talmudu
- nigun** — melodia
- nun** — litera hebr., łać. „n“
- Olejnu** — początek jednej z ostatnich modlitw
- Parnose** — dochód
- perek** — rozdziały traktatu „Abot“ odczytywane w letnie popołudnia sobotnie
- perek misznajis** — rozdział miszny
- pesach** — święta wielkonoce
- pesachówka** — śliwowica
- pirkej owojs** — zob. perek „porusz“ — Żyd oddany wyłącznie nauce
- Rac kacwi** — rączy jak jeleń
- Raszi** — znany twórca komentarza Tanachu i Talmudu
- rebe** — nauczyciel
- reb** — pochodzi od rabi, w odezwaniu się do poważnego mężczyzny
- rejszys** — popierwsze

OBJAŚNIENIA

przedewszystkiem
rochco — „mycie rąk“
punkt obrządku sederu
rosz chojdesz kislew —
pierwszy dzień miesiąca
kislew,
rosz chojdesz tamuz —
pierwszy dzień miesiąca
tamuz
rszus — nieobowiązujący
Seder — obrząd uroczystej
uczty w wigilję pesachową
sedre — rozdział Bibiji od-
czytywany w sobotę każ-
dego tygodnia
seu-jedejchem — modlitwa
przy obmyciu rytualnym
rąk
sfiry — „liczenie“ mian.
dni od drugiego dnia św.
pesach do Zielonych
Świątek obowiązujące
według tory; także sam
czasokres wymieniony,
w którym obowiązują
pewne obrzędy żałobne
sidur — modlitewnik
sijum — zakończenie. Uro-
czyste zakończenie czy-
tania wzgl. nauki dzieła
Talmudu
stoły — uczta
sukot — święta Szałasów
syc — rodzaj materji
Symches tojre — „radość
z prawa“ — ostatni dzień
święta Szałasów

sanhedrin — jeden z trak-
tatów Talmudu
szabes kojdesz — święta
sobota
szabasowa myncha — mod-
litwa przedwieczorna w
sobotę
szabes nachmi — sobota
pocieszenia — pierwsza
sobota po „tysze be'aw“
tak nazwana od pierwsze-
go wyrazu czytanego w
tym dniu, rozdziału z
proroków
szalom alejchem — pokój
z Wami. Modlitwa przed
pierwszą ucztą sobotnią
szalaszides — trzecia uczta
sobotnia
szames — obsługujący boż-
nicę
szatnys — tkanina z mie-
szanej (niejednolitego
pochodzenia) przędzy za-
bronionej u Żydów
szehakl — błogosławień-
stwo przed piciem wody
szehejuno — że pozwolił
nam dożyć. Błogosła-
wienie dziękczynne
odmawiane przy spełnia-
niu przepisów religijnych
i obrzędów związanych
ze świętami i okresowo
powtarzającymi się oko-
licznościami

OBJAŚNIENIA

szejgac — łobuz
szemojny-esry — 18 modlitw odmawianych 3 razy dziennie stojąco
szewues — Zielone Święta
szofar elulowy — Trąbki rozbrzmiewające przez cały miesiąc elul po rannej modl. dla przypomnienia grzesznikom bliskiego nadejścia „sądnego dnia“
szojchet — rzeżak
szydech — partja (małżeńska)
szywy — pokuta. 7 dni głębokiej żałoby, obowiązująca po śmierci czł. najbliższej rodziny
Tachnun — błagalna modlitwa odmawiana w poniedziałek i czwartek
tacz-chumasz — patrz cenne wyrene
tales — stuła, niejako płaszcz modlitewny na którego rogach znajdują się „cyces“.
tales koten — mały tales, część ubioru Żyda ortodoksyjnego wdziewana pod szatą wierzchnią. Na jej rogach przymocowane są pętlice „cyces“
talmud-tora — utrzymywana przez zbory, szkoła w której biednej dzia-

wie udzielano nauki hebrajskiego, modlitwy i początków biblii oraz Talmudu
tanach — pełny zbiór biblii
tifilyn — rzemienie modlitewne. Specjalnego kształtu schowki mieszczące pergaminy z wypisanymi rozdziałami z Tory przymocowane rzemieniami do lewego ramienia naprzeciw serca, (siedziby uczuć, i pragnień) i głowy (na czole), Ich nakładanie w czasie modlitwy porannej przepisane jest Żydom od 14-go roku życia (patrz bar micwa)
tojra-tyzmo — nauka dla nauki
tojsfes — komentarz do Talmudu
tof — litera hebr. łąc. „t“
tysze beow — 9 dzień mies. aw, rocznica dwukrotnego zburzenia świątyni jerozolimskiej
trzy tygodnie — żałobne dni przed „tysze beow“
Ulejnu — patrz olejnu
Wej mir — biada mi
wow — litera hebr. odpow. łąc. „w“
Zmires — pieśni przy uczcie sobotniej

Spis rzeczy :

	Strona
Meir Noachke	9
Historja o łaciastej świni	80
Żółta kokoszka	93
Laban Haarami	105
Joel i Cipe	134
W składzie drzewa	149
Warka	161
W letni dzień	184
Krowa	197
Gdzie złodziej	206
Objaśnienia	233



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-230 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>

